

GNIEW I LĘK
Prawdziwe skutki
gier aborcją

DRUH CHAOSU
Jak Dworczyk
Polskę szczepi

KOŚCIOŁOWI W OCZY
Skrzywdzona chce
pomóc innym ofiarom

CESARZ ETIOPII
Jagielski o nobliście,
co wywołał wojnę

NIEDENTHAL
Jaka barwna
ta szarżyzna

Kraków 7 lutego 2021 nr 6 (3735)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

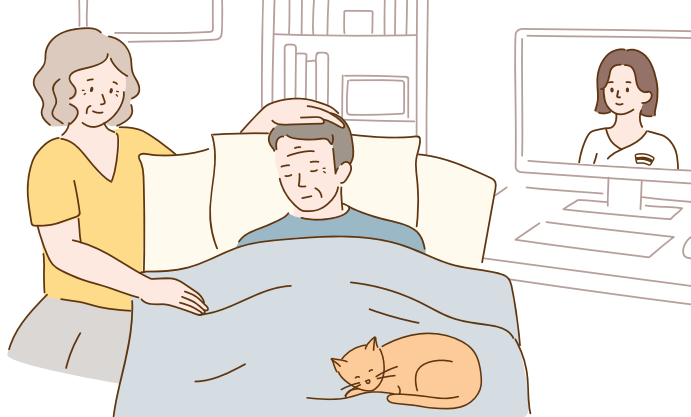
Długa droga Nawalnego

Kim jest człowiek,
który rzuca
wyzwanie Putinowi





bliskochorego.pl



Jeśli opiekujesz się osobą chorą w domu zapamiętaj ten adres:
www.bliskochorego.pl



Opieka

Przygotowanie domu,
 pielęgnacja leżącego
 chorego, profilaktyka,
 żywienie i diety, fizjoterapia,
 postępowanie przy
 dolegliwościach chorego



Formalności

Wsparcie w przejściu
 przez formalności
 niezbędne do
 uzyskania pomocy
 w opiece (przepisy,
 dokumenty)



Emocje

Porady psychologa
 w zakresie komunikacji
 z chorym oraz wsparcia
 dla opiekuna na różnych
 etapach choroby
 podopiecznego



**SPECJALISTYCZNE
 WSPARCIE**



**PRAKTYCZNE
 PORADY**



**INSTRUKCJE
 KROK PO KROKU**

**Każdy obszar został opracowany w formie prostych,
 praktycznych instrukcji z opisem działania krok po kroku:**

jak należy postępować? / czego unikać? / jak łatwiej poradzić sobie w danej sytuacji?
 / jakie rozwiązania są bezpiecznym standardem w opiece?

Materiały w serwisie są tworzone przez specjalistów opieki paliatywnej Puckiego Hospicjum.

Zależy nam na edukacji w opiece nad chorym, ze szczególnym naciskiem na ważną rolę bliskich, ich uważności na potrzeby chorego z zachowaniem szacunku dla jego autonomii, niezależnie od stanu w jakim się znajduje.

Środki na jego rozwój, kontynuację pomocy dla opiekunów domowych Puckie Hospicjum pozyskuje od Darczyńców.

Projekt można wesprzeć poprzez darowiznę lub przekazanie 1% podatku, wpisując nr **KRS 0000231110**



**PUCKIE
 HOSPICIUM
 PW. ŚW.
 OJCA PIO**

KS. ADAM

Boniecki: Kompromis przed trybunałem

PO WYROKU TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO Odżył pełen emocji spór, u podstaw którego pozostają odwieczne pytania: kim jest człowiek? I – od kiedy człowiek jest człowiekiem? Znane są odpowiedzi stron sporu i wysuwane przez nie racje. Gwałtowne protesty kierowane są nie tylko przeciw Trybunałowi i rządowi PiS, ale także przeciwko Kościołowi.

Przekonanie jest takie, że to Kościół dążył do położenia kresu tzw. „kompromisowi aborcyjnemu” – przyjętemu w 1993 r. prawu dopuszczającemu aborcję w przypadku dużego prawdopodobieństwa ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu, gdy ciąża stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety ciężarnej lub gdy zachodzi uzasadnione podejrzenie, że ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego. Ogłoszony 27 stycznia w nocy w Dzienniku Ustaw wyrok usunął pierwszy powód jako niezgodny z Konstytucją.

Kościół katolicki, zresztą nie tylko Kościół, był i jest przeciwko wszelkiej aborcji, widząc w niej zabójstwo niewinnego i bezbronnego człowieka. Papież Franciszek uważa, że nie jest to kwestia religijna, ale „etyki ludzkiej”. Na pytanie, dlaczego Kościół w Polsce przez 27 lat akceptował tzw. „kompromis aborcyjny”, odpowiedź jest prosta: bo alternatywą była ustawa znacznie bardziej liberalizująca aborcję. W 2010 r. kardynał Kazimierz Nycz w wywiadzie dla Onet.pl powiedział, że chociaż kompromis „nie jest idealny z punktu widzenia nauki Kościoła”, to jednak dyskusja nad nim „była bardzo trudna, ale owocna. Uczestniczył w niej też papież Jan Paweł II, nie zapominajmy o tym” i „każdy, kto odpowiedzialnie patrzy na tak ważne dziedziny dotyczące godności człowieka, jak prawo do życia od poczęcia aż do naturalnej śmierci, nie powinien chcieć naruszenia tej zasady”.

Tempora mutantur. 3 kwietnia 2016 r. w kościołach czytano komunikat prezydium KEP (z 30 marca), w którym autorzy – abp Stanisław Gądecki, abp Marek Jędraszewski i bp Artur G. Miziński stwierdzają, że „nie można poprzestać



na obecnym kompromisie wyrażonym w ustawie z 7 stycznia 1993 roku, która w trzech przypadkach dopuszcza aborcję”, i wzywają „wszystkich ludzi dobrej woli” do podjęcia działań mających na celu „pełną prawną ochronę życia nienarodzonych”. Ale dwa tygodnie później, w komunikacie z konferencji plenarnej Episkopatu czytamy, „że życie każdego człowieka jest wartością podstawową i nienaruszalną” oraz że „jego

obrona stanowi obowiązek wszystkich, niezależnie od światopoglądu”, nie ma już zaś mowy o tym, że „nie można poprzestać na kompromisie”, ani wezwania do „pełnej prawnej ochrony życia” – biskupi podkreślają wręcz, że „nie popierają karania kobiet, które dopuściły się aborcji”. Widać tu rozdarcie biskupów, którzy mają świadomość rozdziewku między nauką Kościoła a zgodą na kompromis (prezydium), jednocześnie zdając sobie sprawę (konferencja plenarna), że jego naruszenie może mieć konsekwencje przeciwnie do zamierzonych.

„Stanowisko Kościoła katolickiego na temat prawa do życia jest niezmiennie i publicznie znane – napisał w tych dniach przewodniczący KEP abp Stanisław Gądecki. – W tej kwestii Kościół – jak często powtarza papież Franciszek – nie może iść na żaden kompromis”. Jednak, przypomniawszy, że „Kościół nie stanowi prawa w Polsce i nie decyduje o zgodności ustaw z Konstytucją”. Zresztą doświadczenie mówi, że wystarczy zmiana rządów, żeby po prawie restrykcyjnym przyszło prawo krańcowo liberalne. Wtedy jedynym polem pracy Kościoła będą już tylko sumienia.

Tak, Kościół nie jest od stanowienia prawa. Bo, jak pisze w zimowej „Więzi” z Watykanu Wojciech Giertych, dominikanin, teolog Domu Papieskiego: „W centrum chrześcijańskiej moralności znajduje się nie grzech, który należałoby potępić; nie prawo moralne, które należałoby uzasadnić; nie kazusy moralne, które należałoby rozstrzygać; nie społeczny porządek, który należałoby zabiegami politycznymi ustanowić, lecz łaska Boża, która uzdalnia do wybierania dobra”.

© P

TP

PRACOWNICY, ZARZĄD I DYREKCJA DUKARNI QUAD/GRAPHICS WYSZKÓW

zechcą przyjąć nasze serdeczne podziękowania
za ponad siedem lat owocnej współpracy.



Był to dla nas dobry czas. Quad/Graphics w Wyszkanie towarzyszył nam przy zmianie formatu „Tygodnika Powszechnego”, dokonanej w 2014 roku, zmianie, która zapoczątkowała stałe wzrosty sprzedaży naszego pisma, trwające do dzisiaj.

Dziękujemy, że byli Państwo z nami w tym czasie i że zawsze mogliśmy polegać na Was i Waszym profesjonalizmie.

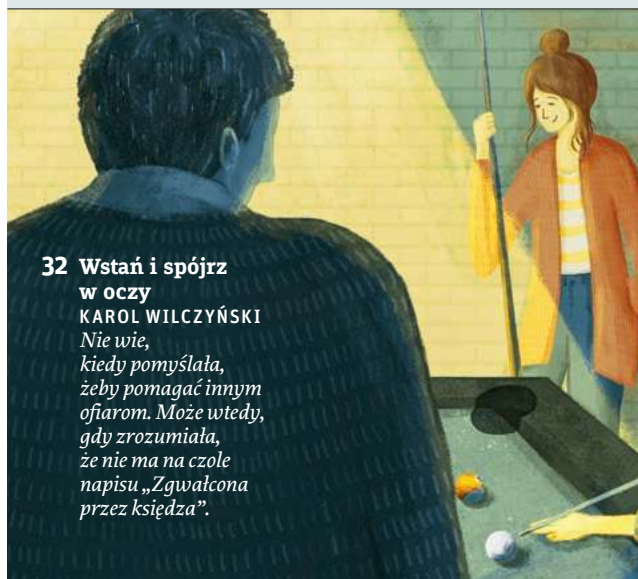
REDAKCJA, WYDAWCA I FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

22 Druh chaosu

ANDRZEJ STANKIEWICZ
Michałowi Dworczykowi wpadki uchodzą płazem. A co, jeśli rozłoży narodową akcję szczepień?

**42 Byle do wiosny**

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU I PANGBOURNE
Wielka Brytania notuje rekordy liczby zaszczepionych. I zmarłych. Do tego na życie wpływa tu też brexit.

**32 Wstań i spójrz**

w oczy
KAROL WILCZYŃSKI
Nie wie, kiedy pomyślała, żeby pomagać innym ofiarom. Może wtedy, gdy zrozumiała, że nie ma na czole napisu „Zgwałcona przez księdza”.

**58 Mikroagresje**

JAREK GRYZ
Jaki będzie wpływ „kultury bezpieczeństwa” na kształt debaty politycznej i społecznej, nie tylko w USA? Wzbudzenie negatywnych emocji u słuchacza jest tu już wystarczającym argumentem do zamknięcia ust mówcy.

**64 Powiększenie**

ROZMOWA Z CHRISEM NIEDENTHALEM:
Transformacja ustrojowa kompletnie mnie znokautowała, długo nie mogłem nic mądrego zrobić. Komuna w swojej szarzyźnie była jednak skrycie barwna.

**78 Pan Marek od zabawek**

MONIKA ŚLIZOWSKA
O rzeczach myślimy, że nie mogą mieć woli i że to my po nie sięgamy. A co, jeśli bywa odwrotnie?

6 Prawdziwe ofiary gier aborcją

MAŁGORZATA NOCŮ

7-11 Obraz tygodnia**20-21 Czytania / Widzenia**ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA■ ■ **KRAJ****22 Druh chaosu**

ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 Na oparachPRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
*Domowi opiekunowie
niewidzialni dla państwa***28 Byle łośo był na stole**ROZMOWA
Z KRZYSZTOFEM WOJTASEM,
DZIAŁACZEM ŚRODOWISKOWYM,
o kosztach polskiej konsumpcji■ ■ **WIARA****32 Wstań i spójrz w oczy**

KAROL WILCZYŃSKI

36 Moja globalna parafiaANNA JASTRZĘBIEC-WITOWSKA:
*Czy msze online zmieniają Kościół***38 Nietykálny**BARTOSZ HLEBOWICZ
Z FLORENCJI: *Sędzia walczący
z mafią zostanie błogosławionym***40 Sakrament lojalności**ARTUR SPORNIĄK
*o łamaniu charakterów
przed bierzmowaniem*■ ■ **ŚWIAT****42 Byle do wiosny**PATRYCJA BUKAŁSKA
Z LONDYNU I PANGBOURNE**46 Widziane z Belfastu**ROZMOWA Z PROF. KATY
HAYWARD, SOCJOLOŻKĄ:
Brexit a zjednoczenie Irlandii

TEMAT TYGODNIKA



SERGEI BOBYLEV / TASS / FORUM

12 Więzień numer jeden

ANNA ŁABUSZEWSKA

Powrót Nawalnego do Rosji rozkołysał tamtejszą scenę polityczną i stał się katalizatorem zmian. Kim jest człowiek, który rzuca wyzwanie Putinowi?

16 Sprawa osobistaPETER POMERANTSEV,
AUTOR KSIĄŻEK O WSPÓŁCZESNEJ ROSJI:
Byłbym ostrożny z opinią, że gdy zabraknie Putina, jego miejsce zajmie polityk jeszcze bardziej twardogłowy. Taki stereotyp jest po myśli kremłowskiej propagandy.■ ■ **FELIETONY** ■**31** JACEK PODSIADŁO **41** WOJCIECH BONOWICZ**56** HANNA KRALL**76** JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO**82** STANISŁAW MANCEWICZ**82** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:

Aleksiej Nawalny, Moskwa, wrzesień 2019 r.

SERGEI BOBYLEV / TASS / FORUM

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

48 Żywie Białoruś i ja będę żyćMONIKA ANDRUSZEWSKA
Z KIJOWA o aresztowanych
dziennikarkach Bielsatu**50 Cesarz z Addis Abeby**WOJCIECH JAGIELSKI:
*Jak etiopski laureat pokojowego
Nobla wywołał wojnę*■ ■ **HISTORIA****53 Siła samoorganizacji**ROZMOWA Z PROF. SZYFRĄ
SZWARC, HISTORYCZKĄ:
*Za sukcesem izraelskich szczepień
stoi tradycja kas chorych*■ ■ **NAUKA****58 Mikroagresje**

JAREK GRYZ

61 Tacy samiKATARZYNA DZIADOWICZ:
*Nowe badania podważają
popularny pogląd, że długoletni
partnerzy się do siebie upodabniają*■ ■ **KULTURA****64 Powiększenie**ROZMOWA Z CHRISEM
NIEDENTHALEM, FOTOGRAFEM**70 Obolały umysł**MAGDALENA
NOWICKA-FRANCAK:
*Timothy'ego Snydera
lekcja niemocy***74 Ostatnia wyspa**ANITA PIOTROWSKA
*o filmie „Epicentrum”
Huberta Saupera***76 Historia narasta**LEKTOR o książce Ireny
Grudzińskiej-Gross
„Miłosz i długi cień wojny”■ ■ **ZMYŚŁ****78 Pan Marek od zabawek**

MONIKA ŚLIZOWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Woś się jeży**W pandemii widzimy na własne oczy, że koncerny farmaceutyczne stały się zbyt potężne. Czy da się coś z tym zrobić? – o „Big Pharmie” pisze **RAFAŁ WOŚ**
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy➔ **Własny pokój [Podkast Powszechny]**W momencie, kiedy doświadczyłam depresji, to zaczęłam ją zauważać wokół mnie. Wszędzie – opowiada pisarka **OLGA HUND**
w nowym cyklu rozmów o tym, jak w kobiecie tworzy się i umacnia niezależność
powszech.net/podkast**Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA**

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ
TYGODNIA



PRAWDZIWE OFIARY GIER ABORCJĄ

Nowe prawo pozbawi kobiety odpowiedniej opieki.
Na świat przyjdzie więcej chorych niemowląt, których wady
można było zoperować w łonie matki. I więcej z nich umrze.

MAŁGORZATA NOCUŃ

SPOTKAŁAM JE NA ODDZIALE PATOLOGII Snowerodka. Odciągałyśmy mleko w pokoju laktacyjnym. Mój syn urodził się przedwcześnie, ich dzieci miały wady letalne, choroby genetyczne, wady serca. „Gdyby w ciąży zrobiono mi szczegółowe badania, moje dziecko miałoby większe szanse” – to zdanie, wypowiedziane przez lży, padało prawie codziennie. Kobiety przeklinały system, winiły się. „Gdyby wykonali echo serca płodu, wiedzieliby, jak poważna jest wada”; „Gdyby zrobili mi

na czas dobre USG, wiedzieliby, że łożysko jest niewydolne, płód od dawna nie rośnie i się nie dotlenia”.

W dużych miastach, w szpitalach o najwyższym stopniu referencyjności, opieka nad ciężarną jest na najwyższym poziomie. Inaczej niż w mniejszych miastach: kobieta po USG otrzymuje małe, rozmazane zdjęcie, najczęściej bez opisu. Wie, że płód żyje, i tyle. W małych państwowych przychodniach lekarze często nie widzą konieczności wysyłania pacjentek na badania prena-

*Pod izbą przyjąć
Ginekologiczno-
-Położniczego
Szpitala Klinicznego.
Poznań,
19 stycznia 2021 r.*

talne. Uważają, że to „niepotrzebny wydatek” (80 proc. ciężarnych refundacja nie przysługuje). No i po co młoda kobieta, z nieobciążonym wywiadem, ma się badać?

Argumentu tego nie zbija nawet fakt, że najczęściej chorych dzieci rodzą młode kobiety, m.in. właśnie dlatego, że się nie badają. Środowisko perinatologów (obejmując opieką matkę i płód) obawia się, że teraz odsetek badań jeszcze się zmniejszy. Często – za ruchami *pro-life* – rozumie się je bowiem jako „wstęp do aborcji”. Ta jest już nielegalna, więc i badania przestają być potrzebne. Brakuje świadomości, że niejednokrotnie ratują one życie i matki, i płodu. Jeśli lekarza coś zaniepokoi, wykonuje pogłębioną diagnostykę. Wiele wad można leczyć przy pomocy zabiegów wewnątrznaczyniowych (np. rozszczep kręgosłupa, wady serca, przepuklinę przeponową). Muszą być tylko wcześniej wykryte. Niektóre z porodów przedwczesnych da się przewidzieć i przedłużyć czas przebywania płodu w łonie matki (tym samym ratuje się życie dziecka i zwiększa szansę na jego sprawność w przyszłości). Zmiana prawa oznacza, że więcej kobiet będzie powtarzać to zdanie: „Gdyby zrobili na czas...”. Uderzy w kobiety najsłabsze: z małych miejscowości i niezamożne.

Nowe prawo obniży też komfort pracy lekarzy. Dobry ginekolog-położnik mówi: „Jeśli coś panią zaniepokoi, proszę dzwonić o każdej porze”. W tej relacji musi istnieć zaufanie. W nowych realiach położnicy mogą czuć się zastraszeni. Wada wykryta w badaniach prenatalnych zostaje w dokumentacji. Kobieta może poronić (to naturalne: ciało „pozbywa się” chorej ciąży). Łatwo wyobrazić sobie kontrole i pytanie: „Czy ktoś tej pani nie pomógł?”. Lekarz, który niedawno był tym „walczącym o życie”, może stanąć w roli oskarżonego.

Kiedy na świat przychodzi zdrowe dziecko, mówi się o „sukcesie położniczym”, na który składa się też świadomość kobiet. W atmosferze ostatnich dyskusji o aborcji młode kobiety tę świadomość będą tracić. Może to wpłynąć na dane dotyczące umieralności okołoporodowej. Do niedawna polscy położnicy chlubili się, że w naszym kraju wskaźnik ten należy do najniższych w Europie. Zmiany w prawie mogą ten powód do chwały odebrać. ©

Po wyroku TK: punkty nierównowagi

PAWEŁ BRAVO



W TREŚCI UZASADNIENIA OPUBLIKOWANEGO przez Trybunał Konstytucyjny znalazły się furtki, które mogą pozwolić na uściślenie interpretacji przesłanek przerywania ciąży. Choćby po to, by zostawić tę możliwość w przypadku tzw. wad letalnych, ale wykluczyć w przypadku płodów z trisomią. Wielu polityków i działaczy prących do zmiany prawa powoływało się właśnie na przypadek dzieci z zespołem Downa – na który wskazuje też sporo przeciwników zaostrzenia przepisów.

Ale z faktu, że furtka została otwarta, nie wynika, że ktoś przez nią przejdzie. PiS nie skorzystał z darowanego czasu między listopadem a styczniem, aby się do ruchów ustawowych przygotować. A napędze przygotowany przez prezydenta projekt trafił w próżnię, bo wiele kręgów uznało go za zbyt „liberalny”.

Decydując o zmianach w prawie, Kaczyński będzie brał pod uwagę także siłę ulicznych protestów. Ale ich liderki powtarzają hasła sprzed kwartału. Czy zrobiono przez ten czas cokolwiek na rzecz budowy platformy, w której podmiotowość i prawa kobiet byłyby postawione na pierwszym miejscu,

ale tak, by mogła to przyjąć milcząca większość, która w sondażach wcale nie przesunęła swojej preferencji w stronę dostępu do przerywania ciąży na życzenie?

Przez zbieg okoliczności w takim momencie partia Szymona Hołowni pokazała swój program reform w relacjach Kościoła i państwa. To rozwiązania przeważnie połowiczne (np. nauka religii w szkole, lecz bez stopni na świadectwie), ale to ich zaleta.

Do niedawna prawny zakaz aborcji siedział parze z jej powszechną dostępnością. Zmowa milczenia nad fałszem prawnym – taki był stosunek państwa do nauczania Kościoła. Teraz jedna ze stron próbuje ją zerwać, działając w logice frakcyjnych rozgrywek. Warto z tego skorzystać i dać Polakom okazję do przedyskutowania relacji państwo-Kościół.

W kwestii przerywania ciąży nie zmieni się bezpośrednio nic – karty pozostają w rękę PiS, który im bardziej słabnie, tym bardziej będzie dla swej władzy potrzebował kościelnego alibi. Ale dyskusja o roli i miejscu religii w życiu publicznym pozwoli może w przyszłości zmieniać prawo o aborcji – i nie tylko – tak, by znaleźć punkt równowagi potrzeb i wartości wszystkich stron. ©P

Katoliczki nie mogą się odnaleźć

ZUZANNA RADZIK



CZY SPÓR O ABORCJĘ PRZEBIEGA MIĘDZY sekularyzującym się społeczeństwem a Kościołem? To jednak nie takie proste, bo obywatelki demonstrujące na ulicach były w dużej mierze katoliczkami. Nagle wyłoniło się to, co skrzętnie ukrywaliśmy: że postawy katoliczek i katolików wobec zdrowia reprodukcyjnego kobiet są bardziej złożone, a dylematy bardziej skomplikowane, niż życzy sobie tego urząd nauczycielski Kościoła.

W ogniu sporów wielu katolików mówi: nie mogę się w tym odnaleźć. Nie jest im po drodze ani ze stroną dążącą do pełnego zakazu, ani ze skandującymi „moje ciało, mój wybór”. Chcieliby życie chronić, ale są przekonani, że restrykcyjne prawo, ubieżwłasnowolniając matkę, jest tej ochrony pozorem.

Czy katolik może protestować wobec prawa, za które biskupi triumfalnie dzie-

kują mówiąc, że chroni ono życie? Prawo-mocność rozważania tego tematu we własnym sumieniu może wzmocnić choćby fakt, że podobny spór zaczyna się właśnie między nowo wybranym prezydentem USA Joe Bidenem (praktykującym katolikiem) a tamtejszym episkopatem. Wygląda na to, że rozmowa o politykach zbijających punkty na zakazywaniu aborcji i realnej ochronie życia czeka nas w bardziej globalnym wymiarze.

Ale w tym wszystkim naprawdę palące są dylematy kobiet – bo cała dyskusja dotyczy tego, co dzieje się w obrębie ich ciał. Sam katolicyzm nie wyleczy ich strachu ani traumy. Wiele z nich nie wie, jak zachowałyby się same. Albo już wie. Przyciśnięte do muru i zastraszone wyrokiem TK zaczęły rozmawiać o tym wszystkim bardziej otwarcie. ©

Przed trzecią falą

MACIEJ MÜLLER



NIECO PONAD 3 PROC. POPULACJI ZASZCZEPILIŚMY do końca stycznia przeciw COVID-19. Plasuje nas to daleko za Izraelem, Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi czy Wielką Brytanią (55, 34 i 14 proc.). Niemniej w gronie państw Unii Europejskiej nie wypadamy źle.

Ostatnie dwa tygodnie upłynęły pod znakiem ograniczenia dostaw preparatów Pfizera i Moderny. W Polsce wiązało się to z zahamowaniem szczepień w „grupie zero” – czyli osób związanych z systemem ochrony zdrowia – a potem z bałaganem podczas zapisów na szczepienia seniorów z „grupy pierwszej”. Akcja szczepień na razie nawet nie nabrała rozpędu i nie zmienia się to, dopóki produkcja preparatów przez koncerny farmaceutyczne nie ruszy pełną parą (więcej na ten temat pisze obok Marek Rabij).

Tymczasem rząd zdecydował się na częściowe odmrożenie gospodarki: od początku lutego mogą działać m.in. galerie handlowe i muzea. Wskaźniki dziennych zachorowań rzeczywiście dają wrażenie ustabilizowania sytuacji (szczególnie, że nie rośnie też liczba hospitalizacji), ale ekspertów niepokoi wysoka liczba zgonów. Dr Paweł Grzesiowski wskazuje, że 260 zgonów odpowiada ok. 15 tys. nowych dziennych zakażeń, tymczasem w rządowych statystykach widnieje 4,5 tys. Niedoszacowanie zakażonych wynika m.in. z jesiennej reformy systemu testowania i raportowania, a także z rosnącej niechęci Polaków do poddawania się badaniom na SARS-CoV-2.

Epidemiologów niepokoją też informacje o nowych szczepach koronawirusa: wiadomo, że w Polsce pojawił się wariant brytyjski, który zakaża 50-70 proc. skuteczniej i wypiera starsze warianty patogenu. Populacja zaszczepionych i ozdrowieńców jeszcze długo nie będzie w stanie ograniczyć rozprzestrzeniania się koronawirusa. „Sytuacja jest straszna” – powiedział ostatnio premier Portugalii, gdzie gwałtownie wzrosła liczba chorych (i gdzie obowiązują nadal surowe obostrzenia). Nie ma powodów, dla których Polskę miałyby ominąć trzecia fala zachorowań. Tym bardziej że narasta zmęczenie restrykcjami – potęgowane przez nieprzewidywalne manewry i nieprzemyślaną komunikację rządu.

Dopiero w najbliższych dniach poznamy epidemiologiczne skutki częściowego otwarcia szkół 18 stycznia. Jeśli trzecia fala zacznie się z wysokiego pułapu nowych dziennych zakażeń oraz zakażeń aktywnych, grozi nam sytuacja znacznie gorsza niż ta z późnej jesieni.

© P

KRAJ W SKRÓCIE

NAGRODA

Do listy czasopism, które przyznały ostatnio jakieś wyróżnienie prezesowi Orłenu, dołączył tygodnik „Wprost”, choć szlak wyznaczył i tak Jarosław Kaczyński, mówiący o Danielu Obajtku: „Ma ogromne możliwości, niezwykłą determinację i coś takiego, co daje Pan Bóg, a co trudno zdefiniować: aurę, która pozwala mu ludzi mobilizować, jednoczyć wokół jakiegoś celu”.

NORMA

Wypada żałować, że celem prezesa Obajtka nie stała się dotąd walka ze smogiem: stężenie pyłów PM10 na terenie południowej Polski przekracza 500-700 proc. normy; ponad połowa miast UE z największym zanieczyszczeniem leży na terenie naszego kraju.

ANOMALIA

„Piękna zima, jak zapowiadali zwolennicy ocieplenia klimatu. A my poszliśmy na sanki” – napisał na Twitterze wiceminister edukacji i nauki Tomasz Rzymkowski, dla którego kilka dni mrozu zdaje się być argumentem w debacie o globalnym ociepleniu.



BŁĄD

Na sankach z pewnością bezpieczniej niż na nartach. „Popełniłam błąd i bardzo za to przepraszam” – wyznała Jadwiga Emilewicz, która mimo nałożonych przez własny rząd obostrzeń towarzyszyła niedawno synom na stoku. „Niestety, mama wygrała we mnie z posłanką” – dodała niedawna wicepremierka.



JACEK TARAN

POMIMO PANDEMII 120 tys. wolontariuszy włączyło się w 29. finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Zebrane pieniądze wspomogą dziecięcą laryngologię, otolaryngologię i diagnostykę głowy. Tego roku Orkiestra grała w warunkach sanitarnego reżimu, a niemal wszystkie wydarzenia przeniosły się do internetu. „Zrobiliśmy wszystko, by nie stracić szansy na bycie razem” – podkreślał Jurek Owsiak. © P (JT)

Jak pożegnać franka?

BANK PKO BP zawarł pierwszą ugodę z klientem, który miał w tym banku kredyt we frankach. Czy to oznacza, że w sprawie frankowiczów dojdzie wreszcie do przełamania wieloletniego impasu?

To największy bank w Polsce, do tego kontrolowany przez Skarb Państwa, dlatego wielokrotnie był używany jako nieformalny regulator, który ma narzucić całej branży zachowania zgodne z wolą władz. Tym razem może się to nie udać – portfel walutowych kredytów hipotecznych PKO PB (przejęty głównie wraz z bankiem Nordea) nie należy do największych.

Szczegółów umowy nie podano. Nieoficjalnie mówi się, że zaskarżający umowę klient przyjął warunki zbliżone z propozycją, którą sformułował niedawno szef KNF: kredyt miałby być przeliczony tak, jakby od początku był złotowy, oprocentowany według odpowiedniej stopy WIBOR powiększonej o stosowaną historyczną dla takich kredytów marżę. Dług statystycznego polskiego frankowicza stopniałby dzięki takiemu przeliczeniu o około 20-25 proc. To wciąż mniej, niż można ugrać w sądzie (po wyroku TSUE banki niemal seryjnie przegrywają procesy frankowe), za to obciążone mniejszym ryzykiem.

© P MR

Przychodzi Unia do szczepienia

MAREK RABI



WYSTARCZYŁO KILKA TYGODNI LOGISTYCZNO-PRAWNICZYCH PRZEPYCHANEK – i nie ma śladu po baśniowym sojuszu państw i koncernów farmaceutycznych wymierzonym w pandemię. Urzędnicy w Brukseli mówią wręcz o stanie wojny między Wspólnotą a firmą AstraZeneca, od której już latem 2020 r. Unia kupiła 400 mln dawek szczepionki przeciwko SARS-CoV-2.

Komisja Europejska podejrzewa, że porcje preparatu przeznaczone dla europejskich szpitali AstraZeneca dostarczyła kontrahentom, którzy zaofiarowali jej wyższą stawkę od wynegocjowanej latem ubiegłego roku. Do końca pierwszego kwartału 2021 r. koncern zobowiązał się dostarczyć 120 mln dawek, ale pod koniec stycznia ogłosił, że będzie w stanie zaopatrzyć Unię jedynie w 31 mln dawek – rzekomo wskutek problemów logistycznych w fabryce koncernu w Belgii. „Firma podpisała z nami kontrakt. To nie jest lokalny sklep mięsny,

żeby stosować zasadę, kto pierwszy, ten lepszy” – oburza się unijna komisarz ds. zdrowia Stella Kyriakides.

Z kolei rząd Szwecji – jak pisze dziennik „Dagens Nyheter” – postanowił wstrzymać płatności kolejnych faktur od Pfizera w związku z tym, że koncern jednostronnie podniósł cenę szczepionki, gdy okazało się, że jedna fiolka wystarcza nie na pięć, ale sześć szczepień.

Światowa Organizacja Zdrowia szacuje, że do zaszczepienia światowej populacji do poziomu gwarantującego osiągnięcie globalnej odporności stadnej potrzebne będą preparaty o wartości ok. 40 mld dolarów. Dla rekinów branży farmaceutycznej, która rokrocznie notuje przychody rzędu 1,25 bln dolarów, to niewielkie pieniądze. Konflikt, jaki rozgorzał między producentami a krajami Unii Europejskiej, wygląda zatem na demonstrację brutalnej siły ze strony koncernów: nie mamy szczepionek, za które zapłaciliście, i co nam zrobicie? ©®

Walka o dusze Rosjan

W NIEDZIELĘ 31 STYCZNIA przez Rosję przetoczyła się druga fala demonstracji. Tydzień wcześniej głównym hasłem było uwolnienie Nawalnego, teraz częściej wznoszono okrzyki „Putin złodziej”. To był sprzeciw wobec opresyjnego reżimu jako całości, a nie tylko poszczególnych jego działań, jak prześladowanie Nawalnego.

Najliczniejsze demonstracje odbyły się w Moskwie i Petersburgu. Trudno oszacować liczbę uczestników, gdyż protesty miały charakter rozproszony: rozpędzane przez policję, przenosiły się w inne miejsca. Ulice blokowano, stacje metra zamykano, by utrudnić przemieszczanie się ludzi. W niektórych miastach protestujących było więcej niż tydzień wcześniej, w innych mniej; w Južno-Sachalińsku protestował jeden mężczyzna.

Policja interweniowała brutalnie, wedle wariantu białoruskiego: ludzie byli pałowania, wleczeni za ręce i nogi. W całym kraju zatrzymano co najmniej 5135 osób (najwięcej w Moskwie: ponad 1600). To rekord pu-



DMITRI LOVETSKY / AP / EAST NEWS

tinowskiej Rosji. Wobec demonstrantów wszczęto sprawy administracyjne i karne (na zdjęciu: zatrzymani demonstranci w Petersburgu).

Reżim zastrasza, pokazuje, że nie cofnie się przed stosowaniem przemocy. Walka o dusze Rosjan toczy się nie tylko na ulicach, ale także w sferze symbolicznej: zaufanie do prezydenta spada, władzom coraz trudniej jest konsolidować społeczeństwo pod portretem wiecznego Putina. Zwłaszcza że na portrecie pojawiają się coraz głębsze rysy.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

O Nawalnym piszemy też w numerze.

Birma: czy armia weźmie wszystko?

PO JESIENI LUDÓW – jak nazywano zwycięstwo partii Aung San Suu Kyi w wyborach do birmańskiego parlamentu w listopadzie 2020 r. – nie ma już śladu. 1 lutego armia znów przejęła tam władzę, dokonując zamachu stanu.

Najpierw nocą z niedzieli na poniedziałek zaczął szwankować internet. Około trzeciej nad ranem przestały działać komórki w stołecznym Naypyidaw. Nad ranem czasu polskiego rzecznik NLD, partii Suu Kyi, zdołał przekazać za granicę informację, że liderka ugrupowania, które z miażdżącą przewagą wygrało listopadowe wybory, została aresztowana. Jej los podzielił prezydent Win Myint. A jeszcze kilka godzin wcześniej armia, będąca też drugą siłą polityczną, zapewniała o woli poszanowania reguł demokracji.

Legitymacja zdobyta przez Suu Kyi była niezwykle silna: jej partia uzyskała więcej głosów, niż potrzebowała do ostatecznego odsunięcia wojska od wpływów, które armia miała zagwarantowane w konstytucji z 2008 r. Już po poprzednich wygranych wyborach, w 2015 r., NLD pozbyła się z władz centralnych wielu ludzi powiązanych z wojskiem.

Tym razem to armia ubiegła atak. Paradoksalnie paliwa dostarczyła jej sama Suu Kyi, która parla do wyborców, balansując na granicy prawa. Pod pretekstem zagrożenia terrorem lub pandemią głosowanie nie odbyło się w obwodach, w których NLD nie miała zwycięstwa w kieszeni. Ostatecznego wyniku to nie zmieniło – w ten sposób partia Suu Kyi dodała sobie kilka punktów do i tak pewnej wygranej – ale dziś dało armii pretekst: wojskowi twierdzą, że przyczyną ich wystąpienia są listopadowe „falszerstwa wyborcze”. ©® MAREK RABI

Więcej w autorskiej rubryce Wojciecha Jagielskiego na tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata



WOJCIECH JAGIELSKI

opowie o konflikcie w Etiopii (czytaj tekst na s. 50) Agnieszka Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM, w środę 3 lutego o godz. 15.00 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI:

Głos o roli kobiet



ARCHIWUM PRYWATNE

ARTUR SPORNIAK:

Czy zaskoczyła Pani propozycja wygłoszenia referatu na forum Komisji Episkopatu ds. Apostolstwa Świeckich?

ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI:

Tak. Ale bardzo się z niej cieszę i doceniam to, że przewodniczący rady bp Adrian Galbas szuka nowych sposobów, by posłuchać o doświadczeniu kobiet. Biskup napisał do mnie maila z zaproszeniem i poprosił, bym opowiedziała o swojej pracy dla Voices of Faith – inicjatywy, która dba o większą przestrzeń decyzyjną dla kobiet w Kościele. Poprosił również, żebym opowiedziała o niemieckiej drodze synodalnej, w pracach której uczestniczę, i skomentowała nową decyzję papieża Franciszka dopuszczającą kobiety do lektoratu i akolitu. Spotkanie odbyło się online.

Zdaniem KAI powiedziała Pani, że temat kobiet będzie w Kościele coraz ważniejszy. W Polsce także?

Kobiety w Polsce mają mało do powiedzenia zarówno w swoich wspólnotach parafialnych, jak i odnośnie do decyzji dotyczących całego Kościoła. Narasta pęknięcie między tym, czego doświadczają, żyjąc w społeczeństwie, gdzie coraz częściej podejmują decyzje i są aktywne społecznie, a Kościołem, gdzie kobietom proponuje się ograniczone role określane przez kulturową tradycję.

Na przykład?

Kościół niechętnie widzi kobiety w roli liderki czy wykładowczyń.

Co Pani doradziła na forum rady?

Przed wszystkim poprosiłam, by rada naciskała biskupów, aby jak najszybciej wprowadzili do polskiego prawodawstwa kościelnego zmiany dotyczące akolitu i lektoratu. Chodzi m.in. o zorganizowanie formacji dla kobiet, które czują powołanie do tych posług. Mówiłam też o potrzebie wspierania kobiet na uczelniach katolickich czy w radach parafialnych.

W Austrii Rady Kobiet mają wpływ na obsadzanie stanowisk w diecezjach. To możliwe u nas?

Każdy kraj ma własną drogę. Mam nadzieję, że Kościół w Polsce także kiedyś do tego dojrzeje.

©© Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI jest historyczką sztuki i teolożką, współzałożycielką Fundacji Tekla, która pomaga kobietom odkrywać ich powołanie w Kościele. Pracuje w międzynarodowej organizacji Voices of Faith.

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DZIEŃ OSÓB STARSZYCH

Papież ustanowił Światowy Dzień Dziadków i Osób Starszych. Będzie obchodzony w czwartą niedzielę lipca, „w pobliżu wspomnienia świętych Joachima i Anny, dziadków Jezusa” – powiedział Franciszek. Dzień ten w tym roku przypada 25 lipca. „Dziadkowie są łącznikiem między różnymi pokoleniami, przekazując młodym doświadczenie życia i wiary” – tłumaczył papież.

FILOZOF ODSŁONIĘTY

W dominikańskiej bazylice Santa Maria Novella we Florencji orestaurowano odkryty dwa lata temu najstarszy wizerunek św. Tomasza z Akwinu. Fresk przedstawia filozofa podczas inauguracyjnego wykładu na uniwersytecie paryskim. Powstał w 1323 r., niespełna 50 lat po śmierci świętego. Zastonięte tynkiem w ramach barokowej przebudowy świątyni malowidło zostało przypadkiem odkryte podczas prac konserwatorskich.



VATICAN NEWS

ZAKAZ

NOSZENIA BURKI

Konferencja Episkopatu Szwajcarii razem z Kościołami ewangelickim i prawosławnym oraz organizacjami żydowskimi i muzułmańskimi zrzeszonymi w Szwajcarskiej Radzie Religii jest przeciwna zakazowi noszenia burki, który ma być głosowany w referendum 7 marca. Oświadczenie stwierdza, że zakaz ograniczyłby „nieproporcjonalnie” wolność religijną, choć „zakrywanie twarzy przez kobiety może być wyrazem degradacji związanej z płcią”.

Teolodzy spierają się z Watykanem

ZAOSTRZA SIĘ SPÓR o interkomunię między niemieckimi teologami a Kurią Rzymską. „Po tym, jak ponad 20 stron zostało poświęconych na wykazanie, że w rzeczywistości żaden z wniosków Kongregacji Nauki Wiary dotyczących dokumentu Ekumenicznej Grupy Roboczej Teologów Protestantckich i Katolickich (ÖAK) nie jest uzasadniony, można się zastanawiać, jak poważne znaczenie ma wyrażona na końcu przez autorów oświadczenia gotowość zaangażowania się w dalsze dyskusje z Watykanem” – powiedział przewodniczący Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijań kard. Kurt Koch.

Chodzi o opublikowaną przez „Frankfurter Allgemeine Zeitung” odpowiedź ÖAK na niedawną watykańską krytykę swojego dokumentu z 2019 r., postulującego „wspólnotę posiłku eucharystycznego”. Teolodzy chcą większej odwagi w myśleniu o interkomunii, Watykan z kolei przypomina katolickie rozumienie Eucharystii. ©© ASK

Aktualny św. Tomasz

POLSCY DOMINIKANIE – a ściślej Instytut Tomistyczny i wydawnictwo „W drodze” – zapowiedzieli, że wraz z fundacją Pro Futuro Theologiae wydadzą tłumaczenie dzieł wszystkich Tomasza z Akwinu. Inicjatywa o tyle ważna, że dziś bardzo potrzebna jest w Kościele postawa Tomasza – jego otwartość i zdolność krytycznego przemyślenia wiary.

Akwinata często kojarzy się ze sztywnym, neoscholastycznym tomizmem, który wydaje się zupełnie nie przystawać do współczesnej umysłowości. Warto jednak pamiętać, że taki tomizm to przeciwieństwo Tomasza. Np. jego pomysł, by wykorzystać w myśleniu nad wiarą filozofię Arystotelesa, był w ówczesnym kontekście krokiem, jakim dzisiaj jest inspirowanie się przez teologów buddyzmem albo wynikami badań uzyskiwanymi w ramach *gender studies*. Podobnie otwarty charakter ma podstawowa metoda teologiczna Akwiny – nie tyle wykład ustalonych treści, co krytycyzm, rozważanie za i przeciw, argumentacja.

Czyż nie tego nam trzeba?

©© PIOTR SIKORA

KULTURA W SKRÓCIE

GARDOLIŃSKA W OPERZE

Dyrygentka Marta Gardolińska została dyrektorką muzyczną Opéra national de Lorraine we Francji. Jest pierwszą kobietą na tym stanowisku i będzie pełnić swoje obowiązki przez najbliższe trzy lata. Najbliższą okazją, by wysłuchać występu Gardolińskiej, będzie koncert „Dream or Destiny” zaplanowany na 4 i 5 lutego i transmitowany przez Radio France.

STAFIEJ Z NAGRODĄ GŁÓWNĄ

Debiutująca na dużym ekranie Zofia Stafiej została nagrodzona na 51. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Indiach za najlepszą rolę żeńską w filmie „Jak najdalej stąd” Piotra Domalewskiego. To kolejne wyróżnienie dla Stafiej za tę kreację. Wcześniej aktorka odebrała nagrodę za najlepszy debiut na 45. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

KRALL W FINALE WOŚP

Przekazany przez Hannę Krall rękopis jej najnowszego felietonu wylicytowano na rzecz 29. Finału WOŚP. Gdy oddawaliśmy numer z tekstem reporterki do druku, oryginał „Wiesi” osiągnął cenę 1 878 zł. Zwycięzca licytacji wraz z rękopisem otrzyma także aktualne wydanie „Tygodnika Powszechnego” ze specjalną imienną dedykacją od naszej felietonistki.



ANNA MUIITA



ARCHIWUM PAP

W WIEKU 75 LAT ZMARŁ RYSZARD SZURKOWSKI, zmagający się z powikłaniami po wypadku na rowerze. Był w PRL-u skrzyżowaniem Małysza z Lewandowskim. Transmisji z wyścigów kolarskich słuchał wtedy cały kraj. Medalista olimpijski i mistrz świata, ale z polskiej perspektywy przede wszystkim czterokrotny zwycięzca Wyścigu Pokoju – fenomenu społecznego, w którym mety etapów organizowano na stadionach, by pomieścić tysiące widzów, i którego namiastki urządzano na podwórkach przy pomocy wyrysowanej kredą trasy i ścigających się po niej kapsli. Ten najlepszy nazywał się Szurkowski, oczywiście. © PŁ MO

Wenus: coraz mniej argumentów za życiem

WE WRZEŚNIU grupa astronomów ogłosiła wykrycie fosforowodoru (PH_3) w atmosferze Wenus. Wieści te powtórzyły niemal wszystkie media na świecie – badacze zasugerowali, że mogłoby ono świadczyć o obecności życia na tej planecie. Niektórzy komentatorzy zwracali uwagę, że w rozumowaniu są luki, i wypominali autorom, iż zamiast ujawnić swoje dane – czego nie zrobili do ostatniej chwili – wolą bawić się w pompowanie medialnej bańki. Z każdym tygodniem odkrycie coraz silniej podważano. Najpierw okazało się, że w wyniku nieprawidłowej obróbki danych z radioteleskopu ALMA w Chile sygnał obecności PH_3 jest siedmiokrotnie słabszy, niż stwierdzili autorzy i ci w listopadzie musieli poprawić swój artykuł, określając już detekcję jako „wstępna”. W tym tygodniu opublikowane zostały dwa nowe artykuły wykazujące, że to, co pierwotnie uznano za ślady PH_3 , pochodzi raczej od mało interesującego dwutlenku siarki, SO_2 .

Ostatecznie historia o „życiu na Wenus” przejdzie najwyraźniej do historii jako podręcznikowy przykład *science by press release*: nauki adresowanej bardziej do dziennikarzy i masowego odbiorcy niż do innych naukowców.

© PŁ ŁUKASZ ŁAMŻA

Elektryczna współpraca

STRĘTWY, najczęściej zwane węgorzami elektrycznymi (choć z właściwymi węgorzami nie są blisko spokrewnione), uznawano dotąd za samotnych, nocnych łowców, ogłuszających ofiary przepływające w bliskiej odległości (ok. 30 cm) silnymi wyładowaniami elektrycznymi. Okazuje się, że nie jest to jedyna strategia polowania tych ryb. W jednym z niewielkich jezior Amazonii zespół Douglasa Bastosa odnalazł populację strętów, które nauczyły się współpracować.

Dwa razy w ciągu doby, o brzasku i zmierzchu, nawet setka strętów udaje się na wspólne łowy. Przepływają do płytkiej części jeziora, gdzie wśród zatopionych pni schronienie znajduje mnóstwo mniejszych rybek, otaczają je i zmuszają do zebrania się w ciasnej formacji. Wtedy kolejne niewielkie grupy napastników podpływają bliżej – i zsynchronizowanymi, silnymi atakami obezwładniają wiele ofiar jednocześnie.

Polowania grupowe wymagają rozwiniętych zdolności poznawczych, dlatego rzadko spotyka się je u ryb. U strętów umożliwia je sprawny system komunikacji, prawdopodobnie opartej na wyładowaniach elektrycznych o niskim napięciu. © PŁ ŁK

WIEŹIEŃ NUMER JEDEN

Powrót Nawalnego do Rosji rozkołysał tamtejszą scenę polityczną i stał się katalizatorem zmian. Kim jest człowiek, który rzuca wyzwanie Putinowi?

ANNA ŁABUSZEWSKA

W MINIONĄ NIEDZIELĘ 31 STYCZNIA na rosyjskie ulice znów wyszli demonstranci, drugi weekend z rzędu. Nie tylko mieszkańcy Moskwy i Petersburga, lecz wszystkich większych miast od Władywostoku po Kaliningrad. I nie tylko zwolennicy Aleksieja Nawalnego, ale także ci, którzy mają zwyczajnie dość wiecznego i coraz bardziej toksycznego prezydenta, jego kleptokratów, propagandy i bezprawia.

System przechodzi kryzys. Przeprowadzona w 2020 r. operacja wyzerowania kadencji Władimira Putina, by umożliwić mu start w kolejnych wyborach prezydenckich w 2024 r., miały w zamiarze Kremla uspokoić sytuację. To się nie udało. W społeczeństwie rosyjskim od dłuższego czasu narasta niezadowolenie z rządów wiecznego władcy. Powrót Nawalnego, który 17 stycznia przyleciał do Moskwy z Berlina, gdzie przechodził rehabilitację po próbie otrucia przez FSB, stał się katalizatorem zmian. Nawet jeśli Putinowi uda się dziś okiełznać oponentów, mocno dokręcając śrubę, za chwilę kryzys znów zastuka do bram Kremla.

Mniej niż zero

Prezydentem Rosji Putin jest od 2000 r. Putinizm osiągnął więc pełnoletność – i jako dojrzały system coraz bardziej twardnieje, jednocześnie coraz mocniej kruszejąc. Zajądł też broni swej aspiracji do wiecznego trwania. Podległe media i serwilistyczni politycy przekonują społeczeństwo: Putin jest jedyny, nie ma dla niego alternatywy. Teza ta znalazła sublimację w słowach przewodniczącego Dumy Państwowej Władimira Wołodina: „Jest Putin, jest Rosja. Nie ma Putina, nie ma Rosji”.

System skupiony jest na zapewnieniu sobie przedłużania rządów i utrzymywaniu ich monopolu. W poprzednich latach Kreml starał się – przynajmniej na poziomie przekazu werbalnego – stwarzać pozory demokratycznych procedur. Przeprowadzona w 2020 r. nowelizacja konstytucji, umożliwiająca przedłużanie władzy Putina w nieskończoność, przypieczętowała ewolucję systemu w stronę autorytaryzmu. Spadły ostatnie figowe listki z fałszywej demokracji: uzurpator nie

Aleksiej Nawalny na korytarzu
w trakcie przeszukania siedziby
jego Fundacji Antykorupcyjnej.
Moskwa, 26 grudnia 2019 r.

DIMITAR DILKOFF / AFP / EAST NEWS



ma demokratycznej legitymacji władzy, musi ją zatem oprzeć na siłowych filarach. Ich nadrzędnym zadaniem jest stałe wymiatanie ze sceny politycznej potencjalnych rywali, mogących zagrozić pozycji autokraty, a także trzymanie w ryzach społeczeństwa, zachęcanego odgórnie do apolityczności, bierności i uległości.

Jednak nie wszyscy potencjalni rywale chcą trzymać się z daleka, a społeczeństwo też nie stoi w miejscu i zgłasza zapotrzebowanie na zmiany. Widać to nawet w sondażach serwilistycznej pracowni badań socjologicznych FOM: według najnowszych pomiarów zaufanie do prezydenta spadło do 53 proc. Dla putinowskiej Rosji to niemal mniej niż zero.

„Bogurodzico, wyzeruj Putina”

Na te niekorzystne z punktu widzenia Kremla tendencje nałożyła się epidemia. Z obawy przed zakażeniem Putin zamknął się w marcu 2020 r. w bunkrze w podmoskiewskim Nowo-Ogariowie i do tej pory stamtąd rządzi, z rzadka wychodząc na otwartą przestrzeń. Trudno się oprzeć wrażeniu, że przy tym coraz bardziej odkleja się od rzeczywistości. Telewizowie co kilka dni mogą zobaczyć pobladłego przywódcę, który rozmawia z ekranem wypełnionym przez gadające głowy ministrów czy gubernatorów.

Podczas takich zdalnych narad zapadają decyzje co do epidemicznych restrykcji i programów pomocowych. W tych ostatnich rząd skupiał się głównie na pomaganiu wielkim państwowym korporacjom, resortom siłowym i sferze budżetowej, znacznie mniej uwagi i pieniędzy udzielając firmom małym i średnim. Ta pierwsza grupa to na ogół zwolennicy Putina. Druga to ludzie niezależni od władz, samodzielni, krytyczni wobec Kremla. I w miarę trwania pandemii tracący grunt pod nogami oraz perspektywy. Skłonni są więc do okazywania nieposłuszeństwa i niezadowolenia, a nierzadko otwarcie deklarują chęć całkowitego „wyzerowania” Putina, a nie tylko jego dotychczasowych kadencji. „Bogurodzico, wyzeruj Putina” – to hasło często pojawiało się w mediach społecznościowych.

Niewydolna gospodarka, która pozostaje na służbie wąskiej grupy trzymającej władzę (niezdolnej do innowacji ze strachu przed konkurencją i utratą stanowisk, a nade wszystko skorumpowanej do szpiku kości),



→ pogrąża Rosję w stagnacji. W warunkach epidemicznego kryzysu władza skupia się na stabilności finansów publicznych i domykaniu budżetu (Putin nie zdecydował się nadszarpnąć funduszy specjalnych, odkładanych na czarną godzinę). Ale społeczeństwo ubożeje i jest coraz bardziej rozczarowane.

Czy to dobry moment, aby na scenę wmaszerował ktoś nowy, z alternatywnym programem i spojrzeniem na życie?

Epizod nacjonalistyczny

Ten ktoś nowy nie wyskoczył jak diabełek z pudełka.

Aleksiej Nawalny swoje zaangażowanie w politykę zaczął w odległym roku 2000, a więc u progu rządów Putina. Miał wówczas 24 lata i zapisał się do partii Jabloko, założonej w latach 90. XX w. przez rosyjskich demokratów „pierwszej fali”. Nawalny zdobył tam szybko wysoką pozycję, objął funkcję szefa moskiewskiego oddziału. I przystąpił do porządkowania spraw w partii, która zajęła wygodną kanapę i z biegiem lat coraz rzadziej wychylała się z krytyką Kremla. W 2007 r. popadł w konflikt z partyjną wierchuszką, domagał się odwołania wiecznego przewodniczącego Grigorija Jawlińskiego. Został wykluczony z partii – oficjalnie za sympatyzowanie z nacjonalistami. On sam twierdził, że za zadarcie z Jawlińskim.

Niemniej zarzut bliskości z nacjonalistami nie był wzięty z sufitu. Nawalny ma zdolność wyczuwania nastrojów społecznych, wyłapywania ważnych trendów. A wtedy w rosyjskim społeczeństwie, zwłaszcza w wielkich miastach, rósł opór wobec napływu migrantów zarobkowych, oprawiony w nacjonalistyczne hasła wyższości narodu rosyjskiego itd.

Później Nawalny wielokrotnie tłumaczył, że sprawy narodowe widzi przede wszystkim w aspekcie społecznym, a nie etnicznym (w zebranych w książkę dialo-

gach z Adamem Michnikiem określił siebie jako „nacjonalistę obywatelskiego”). W 2007 r. został współzałożycielem ruchu „Naród” – wraz z pisarzem Zacharem Prilepinem (dziś Prilepin jest politykiem lojalnym wobec Kremla, walczył w Donbasie po stronie separatystów, jest nacjonalistą bez dodatkowych przymiotników). W ówczesnym manifestie ruchu ten określono jako narodowo-demokratyczny.

Nawet jeśli za jakiś czas
okaże się, że Nawalny nie jest
w stanie dalej walczyć,
**Putin nie odzyska utraconej
sakralnej pozycji.**
Rosjanie widzą, że
alternatywa jest możliwa.

Jednak ruch „Naród” nie zaistniał. Romans Nawalnego z nacjonalizmem trwał jeszcze przez rok, w tym czasie podejmował on próby aliansów z innymi organizacjami umiarkowanych nacjonalistów, ale i z tego nic nie wyszło. Swoje poszukiwania miejsca na scenie politycznej zaczął więc z zupełnie innej strony.

Człowiek z internetu

Nawalny sięgnął po umiejętności zdobyte na studiach ekonomicznych (skończył także prawo): zaczął wykupywać mniejszościowe pakiety akcji wielkich firm, a jako mniejszościowy akcjonariusz zyskiwał prawo wglądu w firmową dokumentację. Dzięki temu wyciągał na światło dzienne malwersacje w korporacjach państwowych i komentował je na swoim internetowym blogu.

Dużo szumu narobiła zwłaszcza publikacja o przekręcie przy budowie rurociągu z Syberii do Chin. Z audytu wewnętrznego wynikało, że kierownictwo firmy Transnieft (transport ropy rurociągami) wypłukało na swoją osobistą korzyść z projektu ok. 4 mld dolarów, m.in. przez zawyżanie kosztów, zawieranie kontraktów z wykonawcami bez przetargów itd. Ten proceder nazywany jest *raspił babła* (dosłownie: piłowanie forsy, czyli

pozyskiwanie korzyści z państwowych funduszy). Nawalny wyliczył, że szefostwo firmy Transnieft obłowiło się na obywatelach Rosji, wyciągając każdemu z nich z kieszeni po 1100 rubli. Bo na rurociąg szły państwowe pieniądze.

Te internetowe publikacje wpłynęły na wzrost popularności Nawalnego. W 2010 r., gdy wpływowa gazeta „Kommiersant” przeprowadziła wirtualne wybory mera Moskwy, blogger Nawalny wygrał je z ogromną przewagą (45 proc. głosów), a kandydat Kremla Siergiej Sobiannin (mer stolicy do dziś) otrzymał w tym głosowaniu zaledwie 3 proc.

Kryterium uliczne...

Na grzbiecie blogowej fali Nawalny wpłynął na szeroki przestwór polityki. Był rok 2011 i Kreml właśnie nerwowo szykował się do rozwiązania „problemu roku 2012”. Wtedy kończyła się pierwsza kadencja prezydencka Dmitrija Miedwiediewa i trzeba było podjąć decyzję, czy zostanie na drugą. Putin uznał, że to zbyt ryzykowne dla stabilności układu; Miedwiediew, choć lojalny, nie dawał gwarancji utrzymania wpływów przez ludzi z bliskiego kręgu patrona. Patron postanowił więc znów zasiąść w fotelu prezydenckim.

Nawalny wymyślił wtedy chwytliwe hasło, że rządząca Jedna Rosja to „partia oszustów i złodziei”. Stało się lejtmotywem demonstracji, które na przełomie lat 2011/12 przetoczyły się przez Moskwę. Związane były najpierw z protestem wobec sfałszowania wyborów parlamentarnych, a potem wobec ponownej prezydentury Putina – wątpliwej z punktu widzenia konstytucji (to była trzecia jego kadencja, choć konstytucja dopuszczała dwie). Nawalny został zgarnięty z ulicy przez policję i odsiedział w areszcie kilkanaście dni.

We wrześniu 2013 r. władze przeprowadziły eksperyment: dopuściły Nawalnego do startu w wyborach mera Moskwy. Realnych, a nie wirtualnych, jak te trzy lata wcześniej. I choć Nawalny był pozbawiony dostępu do mediów (uprawiał jedynie agitację uliczną i pisał na blogu), zdobył 27 proc. głosów. Zwykśkiemu Sobianninowi najprawdopodobniej dosypano głosów, aby nie musiał walczyć w drugiej turze z nieokreślonym blogerem. W każdym razie tak twierdził Nawalny, który próbował podważyć wyniki. Bezowocnie.



Czy długoletni partnerzy
upodabniają się do siebie?
KATARZYNA DZIADOWICZ
porozmawia o tym
z Grzegorzem Chłastą (czytaj

tekst na s. 61) w środę 3 lutego o godz. 7.30.
Audiocję można także odsłuchać w podkastach
na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM |

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM |

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

...i sądowe

Kreml już wcześniej dostrzegł zagrożenie i zastosował środek ostrzegawczy młodego polityka: postawił go przed sądem. Sądownictwo było już wówczas (i pozostaje do dziś) na usługach prezydenta. W lipcu 2013 r. sąd skazał Nawalnego na 5 lat pozbawienia wolności w tzw. sprawie Kirowlesu. Oskarżenie zbudowano na wątpliwych podstawach: w 2009 r. Nawalny, będąc doradcą gubernatora obwodu kirowskiego, miał zmusić szefa firmy Kirowles do zawarcia niekorzystnego kontraktu, przez co firma straciła kilkanaście milionów rubli.

Później nastąpiły kilkuletnie kontendanse z wyrokiem: zawieszano go, odwieszano, Nawalnego zatrzymywano, po czym wypuszczano. On sam odwołał się do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ten uznał proces za polityczny, a wyrok za bezpodstawny), po czym sprawa wróciła na rosyjską wokandę, znów zapadł wyrok, ponownie został zawieszony, znów była apelacja, pierwsza instancja, druga instancja itd.

Chodziło o zamieszenie i wywołanie wrażenia, że Nawalny to awanturnik, który nie wychodzi z sądu. Poza tym za każdym razem, gdy Nawalnego wypuszczano z aresztu lub wyrok zawieszano, w Rosji wzmagaly się głosy, że polityk ten jest „projektem Kremla” – czyli że tak naprawdę jest marionetką, obliczoną na rozbięcie obozu nieprzejednanej opozycji.

Niebamem uszyto mu kolejną sprawę: o spowodowanie strat firmy Yves Rocher. Przed sądem stanęli Aleksiej i jego brat Oleg. 30 grudnia 2014 r. obaj zostali skazani na 3,5 roku łagru, z tym że Oleg poszedł siedzieć, a Aleksiejowi wyrok zawieszono. To o ten właśnie wyrok toczy się obecnie batalia: Nawalny został aresztowany po powrocie do Moskwy za to, że nie stawiał się na żądanie Federalnej Służby Więziennictwa, choć jako osoba, na której ciąży wyrok w zawieszeniu, miał taki obowiązek. Sąd orzekający o aresztowaniu nie uwzględnił okoliczności, że Nawalny nie mógł się stawić, gdyż przebywał na leczeniu w Niemczech po otruciu nowiczoikiem przez FSB. W efekcie Nawalny został osadzony w areszcie Matrosskaja Tiszyna, gdzie przebywa do dziś.

Głosuj, byle inteligentnie

Wyroki, które posłuszne Kremlowi sądy orzekły w przeszłości wobec Nawalnego,

miały jeszcze jeden cel: zakłócić jego start w wyborach.

W 2017 r. Nawalny zapowiedział, że chce powalczyć z Putinem o prezydenturę. W ramach kampanii jeździł niestrudzenie po całym kraju, spotykał się ze zwolennikami, zakładał sztaby wyborcze, zapraszał do nich wolontariuszy. To była dynamiczna akcja, w stylu nieprzystającym do zatęchłej atmosfery kremlowskich ustawek, mających dać pozór batalii wybor-

Brawurowym powrotem z Niemiec Nawalny otworzył nowy rozdział. **Stał się najważniejszym rosyjskim politykiem opozycyjnym.**

czej. Pozwoliła Nawalnemu poznać prowincję, obudzić z letargu aktywistów i zebrać ich pod swoim sztandarem. I pozwoliła rosyjskiej prowincji poznać Nawalnego, dotąd znanego głównie w kręgu stołecznej opozycji i wśród czytelników jego bloga. W podróży Nawalnemu towarzyszyli także przeciwnicy, którzy zakłócali wiecze; m.in. został przez nich obłany żrącą substancją, przez co mógł stracić wzrok (przeszedł udaną operację za granicą).

Z wyborów prezydenckich Nawalny został ostatecznie wyeliminowany pod pretekstem utraty biernego prawa wyborczego w związku z wyrokiem. Ale dzięki kampanii – i pomimo zakazu mówienia o nim w telewizji – stał się politykiem rozpoznawalnym poza Moskwą.

Przed wyborami regionalnymi w 2019 r. rzucił hasło „inteligentnego głosowania”: chodziło o to, by głosować na tego kandydata, który ma największe szanse wygrać z przedstawicielem Jednej Rosji. W kilku miejscach przyniosło to ludziom spoza układu mandaty w lokalnych gremiach różnych szczebli. We wrześniu tego roku mają się odbyć wybory do Dumy. Czy Nawalny znowu rzuci hasło, łamiące kremlowskie strategię?

Fundacja i kanapka

Największy rozgłos przyniosły mu jednak nie kampanie polityczne, lecz śledztwa

antykorupcyjne w ramach działalności założonej w 2011 r. Fundacji Walka z Korupcją.

Nawalny i jego współpracownicy niestrudzenie tropią korupcyjne schematy, pozwalając rosyjskiej wierzchołkowej polityczno-biznesowej kręcić gigantyczne przewały na pieniądzach podatników. Sprawne dochodzenia dziennikarskie odsłoniły kulisy powstania bajecznych rezydencji wicepremierów, premiera, ministra obrony, rzecznika prezydenta, wreszcie samego prezydenta. W 2017 r. po opublikowaniu filmu o pałacach, willach i tokańskiej winnicy należących do ówczesnego premiera Miedwiediewa na ulice Moskwy wyszły tysiące demonstrantów, zbulwersowanych niemoralnym luksusem, jaki w ukryciu funduje sobie władza kosztem biedniejszego społeczeństwa. Nawalny znów trafił wówczas do aresztu – jak zresztą trafiał za każdym razem, gdy pojawiał się na marszach opozycji.

Ale choć na tych marszach pojawiał się niezmiennie, nie był postrzegany jako lider antykremlowskiego ruchu. Wśród antyputinistów było wiele głosów krytycznych wobec jego poglądów i sposobu działania. Socjolodzy mówią też o wysokim „antyrankingu” Nawalnego: w sondażu Centrum Lewady z września 2020 r. zaufanie do niego deklarowało 20 proc. badanych, brak zaufania – 50 proc. (18 proc. go nie znało).

Od krytyków z różnych stron dostawało mu się zwłaszcza za to, co powiedział w październiku 2014 r. w wywiadzie dla rozgłośni Echo Moskwy: „Mimo że Krym został przyłączony przy niesłychanym naruszeniu wszystkich norm międzynarodowych, to realia są takie, że Krym obecnie jest częścią Federacji Rosyjskiej. Krym to nie kanapka z kielbasą, żeby go przekazywać z rąk do rąk”. Większość zapamiętała jedynie, że Nawalny widział Krym jako część Rosji – niewielu dostrzegło, że mówił o pogwałceniu przez Rosję norm.

Nowy rozdział

Wróćmy z dalekiej historycznej podróży do tego, co dziś dzieje się w Rosji.

Swoim brawurowym powrotem z Niemiec Nawalny otworzył nowy rozdział. Stał się najważniejszym rosyjskim politykiem opozycyjnym, więźniem politycznym numer jeden, znanym w kraju i za granicą. Rzucił wyzwanie personalnie Putinowi. Przełamał monopol władz

→ na dyktowanie porządku dnia: zostały one zepchnięte do defensywy. Opublikowanie filmu o pałacu Putina nad Morzem Czarnym (na portalu YouTube film obejrzano ponad 100 mln razy) postawiło prezydenta pod pręgierzem. Zaczął się nieudolnie tłumaczyć. Stał się przedmiotem kpin, jego wizerunek spiżowego wozu na naszych oczach ulega erozji.

Mówi się, że władza może być straszna, ale nie może być śmieszna. Tymczasem rosyjska władza staje się śmieszna, gdy odpierając zarzuty Nawalnego, próbuje przekonać, że właścicielem pałacu nie jest prezydent, lecz jego stary druh z czasów petersburskich, milioner Arkadij Rotenberg. Śmieszny jest sam Putin, gdy zapewnia, że nie ma nic wspólnego z niegustowną rezydencją, która kosztowała miliard dolarów. Czar kłamliwej propagandy pryska, choć nadal jadący się z telewizora zatruwa umysły mas. Jednak i tu monopol Kremla został przełamany. Rosja podzieliła się na tę „telewizyjną” i tę „internetową”. Telewizor przestał być ołtarzykiem jedynej prawdy objawionej.

Putin przestał też być tym jedynym i bezalternatywnym politykiem, który może stać na czele, bo oto okazuje się, że alternatywa jest możliwa. Powstał nowy biegun przyciągania. Nawet jeśli za jakiś czas okaże się, że Nawalny nie jest w stanie dalej walczyć, to Putin nie odzyska utraconej sakralnej pozycji. Być może grupa trzymająca władzę dokona wymiany lidera, byle utrzymać się w siodle.

Tak czy inaczej system będzie się bronił wszelkimi metodami. Będzie sięgał po represje według scenariusza białoruskiego – niedzielne demonstracje przeciw władzy brutalnie rozpędzono. Współpracownicy Nawalnego są nękani rewizjami, szkalowani w mediach jako agenci na usługach obcych wywiadów, odpowiedzialni za deprawację młodzieży.

Ale czy to wystarczy, aby na dłuższą metę utrzymać ster władzy?

© ANNA ŁABUSZEWSKA

Tekst ukończono 31 stycznia.
Więcej o Aleksieju Nawalnym:
powszech.net/nawalny



SERGEI BOBYLEV / TASS / FORUM

Sprawa osobista

PETER POMERANTSEV, AUTOR KSIĄŻEK O WSPÓŁCZESNEJ ROSJI:

Byłbym ostrożny z opinią, że gdy zabraknie Putina, jego miejsce zajmie polityk jeszcze bardziej twardogłowy. Taki stereotyp jest po myśli kremłowskiej propagandy.

MARCIN ŻYŁA: Czym obecne protesty w Rosji różnią się od poprzednich?

PETER POMERANTSEV: Tym, że odbywają się w całym kraju. Dotychczasowe zwykle ograniczały się do Moskwy i Petersburga. W ubiegłym roku, z innych powodów, demonstrowano też w Chabarowsku na rosyjskim Dalekim Wschodzie.

Widzę jednak więcej różnic. Coś niemal metafizycznego, o czym trudno się opowiada na Zachodzie. Może Polacy łatwiej to zrozumieją?

Co takiego?

W Rosji toczy się ważna gra psychologiczna. Wokół Władimira Putina długo roztaczała się mistyczna wręcz aura człowieka, któremu wszystko się udaje. Był jak doświadczony gangster, który wychodzi cało z każdej strzelaniny. Co jakiś czas porywał się na czyny coraz zuchwalsze: zaanektował Krym, zaatakował Ukrainę, wszedł do Syrii. I nie ponosił konsekwencji. Jakby los stał po jego stronie.



Aleksiej Nawalny zatrzymany i eskortowany przez funkcjonariuszy policji po przybyciu na międzynarodowe lotnisko Szeremietiewo. Moskwa, 17 stycznia 2021 r.

blikując kilkanaście dni temu film o domniemanym pałacu Putina nad Morzem Czarnym, znalazł jakby owo jajko, w którym prezydent ukrywa duszę – i je przekłuł. Nawalny nie ma władzy ani wielkich pieniędzy, ale zna reguły gry psychologicznej z Putinem. Sam fakt, że mówi się o nim jako o jego głównym rywalu, jest dużym zwycięstwem.

A kto go popiera?

Bardzo różni ludzie. On zawsze chciał być politykiem, marzył o szerokiej koalicji złożonej z wszystkich niezadowolonych z reżimu. Kiedyś gromadził wokół siebie i liberałów, i nacjonalistów. Ale nacjonalizm chodzi w parze z imperializmem, więc kiedy w 2012 r. Władimir Putin został ponownie prezydentem, mocarstwowa retoryka Kremla odciągnęła od Nawalnego większość nacjonalistów. Zostali z nim m.in. młodzi, intelektualiści, ci, którzy na własnej skórze odczuli w ostatnich latach zwiększenie kontroli państwa nad życiem codziennym.

Chciałbym się mylić w prognozach i wierzyć, że za obecnymi protestami stoi jakiś przemysłny plan. Ale w to wątpię. Nie ma tu żadnej politycznej agendy. Może poza przekonaniem, że im więcej osób wyjdzie na ulice, tym niższy wyrok dostanie Nawalny – albo wręcz tym mniejsze jest niebezpieczeństwo, że służby go zabiją. To jedyna kalkulacja.

Wciąż gdzieś utrzymuje się krzywdzący, negatywny stereotyp Rosjan jako społeczeństwa tak długo pozostającego pod władzą autorytarną, że niemal niezdolnego do wzięcia sprawy w swoje ręce – stereotyp kraju odpornego na demokrację. Czy antykremlowskie demonstracje, które wybuchają z różną siłą i z różnych powodów od kilkunastu lat, to znak, że zaangażowanie Rosjan jest większe, niż można przypuszczać?

Oczywiście. Wśród Rosjan jest wielki potencjał zmiany, są liczne grupy domagające się demokracji. To nie ma nic wspólnego z prawdziwym bądź domniemanym narodowym charakterem.

Ile razy słyszeliśmy o Hiszpanach albo Azjatach, którzy mieliby być odporni na demokrację!

W Rosji wyzwanie polega na wielkości państwa oraz wyjątkowo scentralizowanej władzy. Aby w przyszłości uczynić kraj demokratycznym, należałoby przebudować jego struktury. W jakimś sensie – stworzyć je od nowa. To na razie niemożliwe. Protesty w sprawie Nawalnego to tylko jeden z etapów.

Mówimy więc o względnie masowym ruchu, który dąży do jakiegoś celu, ale jeśli go osiągnie – nie ma pomysłu na to, co dalej?

Z rozmów z protestującymi wiem, że zależy im na jak najszerzym porozumieniu. Ale gdyby, hipotetycznie, wybory prezydenckie miały się odbyć teraz, niewiele spośród tych ludzi na ulicach głosowałoby na Nawalnego. Tym bardziej że nie jest to polityk jednowymiarowy. Powtarza, że opowiada się za pluralizmem i wolnymi wyborami, ale wśród jego poglądów są też szowinistyczne, rasistowskie i homofobiczne.

Nawalny dostaje punkty za odwagę. Rosja Putina to łamanie obywateli przy pomocy strachu. Język rosyjski ma rozbudowane słownictwo, przy pomocy którego można długo stopniować próby utrzymywania w tych warunkach swojej godności. Przykład, jaki daje tu Nawalny, jest dla wielu inspiracją.

Oczywiście, połowa Rosjan nie wierzy, że próbowano go otruć – ci ludzie uważają, że wszystko ukartowały zachodnie agencje wywiadowcze. Propaganda Kremla od początku powtarza, że Nawalny nie jest tym, za kogo się podaje – że jest częścią gry elit albo Zachodu, symbolem nie odwagi, lecz manipulacji.

Miałem już pytać, czy Putin ma powody się bać. Ale z tego, co Pan mówi do tej pory, wynika, że raczej nie.

Wśród osób zajmujących się Rosją na Zachodzie jest już spora grupa specjalizująca się w odgadywaniu, co siedzi Putinowi w głowie. Ja tego nie wiem. Jestem jednak pewien, że na Kremlu żyje się w stanie lekkiej paranoi. Putin i bliskie mu kręgi wiedzą, że nie mają legitymizacji do władzy, którą sprawują. Dlatego ciągle zamawiają sondaże, analizują, mają obsesję na punkcie utraty kontaktu ze społeczeństwem.

Po tym, gdy Aleksiej Nawalny przeżył wyrafinowaną próbę otrucia, wymknął się z Rosji, a następnie do niej wrócił – mając przecież świadomość, że ryzykuje życiem – szczęśliwą aurę Rosjanie zaczęli dostrzegać wokół niego.

Nawalny skradł ją Putinowi, został bohaterem ludzi?

Przypomina mi trochę Kołoboka. To postać z ludowej bajki – ożywiony bochen chleba, który ucieka ze stołu, rusza w świat, a potem wymyka się kolejnym niebezpieczeństwom. Sondaże wskazują, że połowa społeczeństwa uznaje, iż Nawalnego próbowało zabić państwo. A nie dać się zgłodzić Kremlowi – to w oczach Rosjan naprawdę jest coś.

Natomiast gdy myślę o Putinie, przychodzi mi do głowy inna opowieść, o Koscie – złym czarnoksiężniku, który zażdośnie pilnuje swoich skarbów, i którego nie można zabić, ponieważ duszę trzyma poza ciałem, np. w jajach składanych przez ptaki. Otóż Nawalny, pu-

→ Nie wiem, czy Putin się boi, to pewnie za duże słowo. Ale przypuszczam, że w jakiś sposób Nawalny jest obecny w jego umyśle. Jako funkcjonariusz KGB Putin pracował przecież w Dreźnie, w ówczesnych Niemczech Wschodnich, i na przełomie lat 80. i 90. widział, do czego doprowadziły masowe protesty uliczne w NRD. I jeszcze coś: Nawalny zagraża jego wiarygodności, osobiście go znieważa. Podobnie jak kiedyś Borys Niemcow, który w końcu za odwagę zapłacił życiem. To się już stała sprawa osobista, a Putin ma dobrą pamięć.

Czy ubiegłoroczne protesty na Białorusi oraz rosyjskim Dalekim Wschodzie dały mu do myślenia?

Niewątpliwie. Rozeźliły go najpierw demonstracje na Białorusi, potem w Chabarowsku, w końcu tournée Nawalnego po rosyjskiej prowincji, próbującego uzyskać tam dla siebie poparcie. Jak długo Nawalny był w Moskwie, wydawał się być pod kontrolą. Gdy ruszył w kraj, na Kremlu zaczęto się tym niepokoić. I postanowiono działać.

Jeśli chodzi o Daleki Wschód, on był zawsze trudny dla Kremla. Do Moskwy jest stamtąd daleko, a ludzie – trochę jak kiedyś na amerykańskim Zachodzie – myślał tam w sposób niezależny. Ale protesty, które tam wybuchały, nie dotyczyły praw człowieka czy demokracji w stylu zachodnim, tylko biznesu. Miejskowa gospodarka jest silnie związana z Japonią i Chinami.

Relacje Kremla z władzami regionów przypominają kontakty z podwykonawcami na budowie: tak długo, jak robisz to, co ci zlecono, nikt nie wysyła kontroli. Takie ciche porozumienie umożliwia lokalnym przywódcom i oligarchom czerpanie korzyści dla siebie. Dopiero gdy posuną się za daleko, jak były gubernator Kraju Chabarowskiego [jego aresztowanie doprowadziło tam do wielkich protestów – red.], mogą znaleźć się w kłopotach.

Podobnie jak Łukaszenka, Putin zbudował swoją ideologię również na symbolice sowieckiej. Na Białorusi młode pokolenie protestujących zdaje się to już odrzucać. W Rosji – jakby to jeszcze nie przeszkadza. Dlaczego?

Jest zasadnicza różnica: Białorusini oglądają rosyjską telewizję i są wysta-

Nawalny zagraża wiarygodności Putina. To się już stała sprawa osobista, a Putin ma dobrą pamięć.

wieni na działanie kremlowskiej propagandy. Ale częściej od Rosjan konfrontują ją z rzeczywistością – są największą grupą, której przyznaje się długoterminowe wizje strefy Schengen. Na Białorusi powstają już pewne sektory gospodarki, np. prężna branża IT, w których ludzie zaczynają się czuć jak klasa średnia, niezależni od państwa. Tymczasem w Rosji każdy jest zależny od państwa. Państwowe firmy dominują w gospodarce, propaganda jest sterowana z Kremla, stosunkowo niewielu Rosjan wyjeżdża na Zachód.

Po ubiegłorocznej zmianie konstytucji, która umożliwiła mu jeszcze dwukrotny start w wyborach, Putin może pozostać prezydentem aż do 2036 r. Ale jeśli do zmiany władzy dojdzie szybciej, jakie siły ukształtują przyszłą Rosję?

Tego nie umiem przewidzieć. Byłbym jednak ostrożny z powtarzaniem opinii, że gdyby Putina miało nagle zabraknąć, jego miejsce zajmie polityk jeszcze bardziej twardogłowy. Ten popularny na Zachodzie stereotyp jest zresztą po myśli kremlowskiej propagandy. Nie sądzę, aby zmiana władzy miała doprowadzić np. do uwolnienia rosyjskiego imperializmu albo wzmocnienia tendencji neofaszystowskich. Prawda jest taka, że to teraz krajem rządzi ekstremista.

Wszystko wskazuje na to, że gdyby Rosjanom umożliwiono głosowanie w wolnych wyborach, wybraliby na prezydenta kogoś bardziej liberalnego. W pełni demokratyczna Rosja stałaby się zapewne raczej nudnym wschodnioeuropejskim krajem socjaldemokratycznym. Ludzie oczekiwali od państwa przede wszystkim ochrony i opieki, co zresztą ma sens w gospodarce opartej na przemyśle wydobywczym. Wszystkie europejskie państwa, które były niegdyś imperiami, pracowały to, posunęły się naprzód. Ro-

sja jeszcze nie. Wciąż jest związana z XIX-wieczną ideą imperium.

W Polsce właśnie ukazała się Pana książka o mechanizmach nowoczesnej propagandy, nie tylko rosyjskiej. Nie obawia się Pan, że pranie mózgów przez Kreml odniosło jednak skutek, spowodowało niepowetowane szkody, choćby wśród młodych Rosjan?

Nie lekceważę wpływu propagandy. Długotrwała, potrafi wywołać w umysłach korozję – ludzie przestają wierzyć w cokolwiek, stają się cyniczni. Z drugiej strony często popełniamy błąd, patrząc na propagandę ahistorycznie. Nawet w nazistowskich Niemczech nie wszyscy byli pod jej wpływem. Nie doceniamy tego, że zmiana władzy i płynących z jej strony komunikatów powoduje też szybkie zmiany poglądów. W Rosji propaganda pełniła zawsze funkcje sygnałne – za jej pomocą władza komunikuje, czego oczekuje od ludzi. Co mają powtarzać, co mają pokazywać na zewnątrz jako to, w co wierzą.

A co do młodych: rosyjski internet jest znacznie bardziej liberalny niż inne media. Blogerzy, a w ślad za nimi młodzi Rosjanie, nie oglądają już telewizji.

Przez ostatnie cztery lata Putin miał na świecie trochę łatwiej, bo prezydentem USA był człowiek, który długo podkreślał, że jest jego przyjacielem. Co zmieni Joe Biden?

Nie wiem, czy nowa amerykańska administracja ma strategię względem Rosji – w czasie kampanii Bidena niewiele na to wskazywało. Ale dwa priorytety Białego Domu sprawią, że częściej będzie dochodzić do konfrontacji amerykańsko-rosyjskich. Po pierwsze Biden zapowiada, że będzie walczył z korupcją – to uderzy w Putina, będzie go z czasem strategicznie osłabiać.

Po drugie, Stany Zjednoczone położą nacisk na walkę z katastrofą klimatyczną. A pomyślność Rosji jest w całości uzależniona od ropy naftowej i gazu ziemnego. W dłuższej, bardzo długiej perspektywie, odchodzenie od paliw kopalnych będzie oznaczało dla tego kraju katastrofę.

Zasoby naturalne i kleptokracja to dwa filary reżimu Putina, ich podważenie będzie dla kraju wyzwaniem wręcz strukturalnym. Myślę, że to właściwy kierunek, lepszy od polityki Baracka Obamy.

Na krótszą metę potrzebujemy jednak nowych sojuszy, choćby tych związanych z bezpieczeństwem cybernetycznym. Czegoś w rodzaju nowego artykułu 5. traktatu waszyngtońskiego, w którym atak hakerski na jednego z sygnatariuszy byłby uznawany za atak na wszystkich. Mechanizmu, który sprawi, że gdy Rosja ponownie wyłączy Ukrainie dopływ energii, odpowiedzą na to i Niemcy, i Stany Zjednoczone. Takie alianse mogą powstawać poza NATO – wiele państw miałooby interes we wspólnej cybernetycznej obronie przed Rosją, a może i Chinami.

Od lat mieszka Pan w Wielkiej Brytanii, gdzie politycy wypowiadają się o Putinie coraz surowiej. Ton zaostrzył się po otruciu w Salisbury w 2018 r. Siergieja Skripala, byłego oficera GRU, oraz jego córki.

No tak, w słowach to jesteśmy mocni... Ale całkiem serio, to również nie do przecenienia – mówić głośno właściwe rzeczy. Martwi mnie, że po brexicie Unię Europejską mogą zdominować państwa, które dyktatury krytykują tylko ściszym głosem. Retoryka moralna jest ważna. Słuchając okrągłych słów o porozumieniu z Rosją, jakie wygłasza prawdopodobnie przyszły kanclerz Niemiec Armin Laschet, przyjmując, że kolejnym prezydentem Francji będzie Marine Le Pen, bijąca teraz rekordy popularności w sondażach, czy też że we Włoszech do władzy wróci Matteo Salvini – w Unii może powstać silny blok krajów *de facto*



GUILLERM LOPEZ / EAST NEWS

PETER POMERANTSEV urodził się w 1977 r. w Kijowie; jako dziecko emigrował z rodzicami do Wielkiej Brytanii, gdzie mieszka do dziś. Jest publicystą, dokumentalistą i producentem filmowym, wykładowcą London School of Economics and Political Science. Autor m.in. reportażu o postsowieckiej Rosji „Jądro dziwności” oraz „To nie jest propaganda. Przygody na wojnie z rzeczywistością” – o wykorzystywaniu mediów społeczeństwa przez skrajne ruchy polityczne (obie książki ukazały się w Polsce w 2020 r.).

akceptujących autorytaryzm, nie tylko ten rosyjski. Bądźmy szczerzy: wtedy nikt nie będzie się wsłuchiwał w głos Estonii.

Co dla Zachodu jest granicą nie do przekroczenia, gdy idzie o Rosję? Do aneksji Krymu i inwazji na Ukrainę sądziliśmy, że jest nią

integralność terytorialna. Putin pokazał, że się myliliśmy.

To prawda. Inwazja na wschodnią Ukrainę uszła mu płazem. Sankcje, które nałożono na Rosję, są bardzo łagodne – zresztą nawet takie trudno nam było uzgodnić i wciąż słychać apele o ich zniesienie. W 1991 r. Kijów zgodził się przekazać Rosji posowiecką broń jądrową, a w zamian państwa zachodnie zagwarantowały Ukrainie nienaruszalność jej granic. Ale w 2014 r. nie zrobiły prawie nic. Nie było też pogłębionej refleksji na temat konsekwencji rosyjskiej agresji. To poważny moralno-polityczny kryzys, którego długofalowych skutków zdajemy się niestety nie dostrzegać.

Rozumiem, że nie kupiłby Pan teraz domu w Estonii?

W przypadku Ukrainy złamaliśmy zawarte traktaty i dane przez nas słowo. Jednak rosyjski atak na państwo członkowskie NATO to byłoby coś innego. W najbliższej przyszłości Rosja nie będzie ryzykować takiej wojny. Putin – to wielki paradoks – jest wyjątkowo podatny na zranienie. Jego propaganda może grzmieć o zachodnich spiskach, lecz ustrój, który stworzył, jest w stu procentach uzależniony od zglobalizowanej gospodarki i rynków, na których sprzedaje swój gaz i ropę. I tu, w końcu, widzę powody do ostrożnego optymizmu: gdyby świat zechciał utrudnić życie Putinowi, mógłby to zrobić bez wielkiego wysiłku.

© © Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij,
Mariusz Sepioto, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pęciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pęciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażewska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurzikowska,
Maja Kuczyńska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski,
Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucy, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław
Stróżewski, Marcelina Szmer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Pierworodni



ŚMIERĆ EGIPSKICH PIERWORODNYCH dotyczy wszystkich, „od faraona siedzącego na tronie po niewolnicę przy żarnach”. Pograżony w żałobie kraj jest jak te ziarna, które wsypano między dwa kamienie, utrudzoną kobiecą ręką mielone na mąkę.

Pierworodni Hebrajczyków – jeśli całkiem się nie zasymilowali i nie zlekceważyli nakazu, by oznaczyć odrzwia krwią baranka – unikają podobnego losu. Wkrótce po dziesiątej pladze pada przykazanie: pierworodni płci męskiej, zarówno ludzie, jak i zwierzęta, należą do Boga. Zwierzęta koszerne gatunków zostaną złożone w ofierze. Pierwsze owoce i zżęte zboża przyniesione do Świątyni. A pierworodni mężczyźni? Zhańbili się oddając cześć złotemu cielcowi i w ich miejsce Bóg powołał do służby świątynnej lewitów. Bodaj jedyny współczesny ślad to rozwiązanie, gdy kapłani wygłaszają w synagodze swoje błogosławieństwo i nie ma lewity: wówczas przy obmywaniu rąk posługują im pierworodni.

Pierworodnych matki, tak zwanych „otwierających łono” (tzn. urodzonych naturalnie i jeśli matka wcześniej nie poroniła) należy wykupić. Jest to nadal praktykowane, pomimo zburzenia Drugiej Świątyni prawie 2 tysiące lat temu. Jeśli żadne z rodziców nie pochodzi z plemienia Lewiego, w trzydziestym pierwszym dniu życia dziecka ojciec płaci dowolnie wybranemu potomkowi arcykapłana Aarona pięć szekli świątynnych – Państwo Izrael bije takie okolicznościowe monety – bądź ich ekwiwalent w innej walucie.

Obchody święta Pesach poprzedza post pierworodnych, ale praktycznie wygląda to tak, że rano w synagodze organizuje się *sijum*, czyli uroczystość zakończenia studiowania jednego z traktatów Talmudu. Towarzyszy jej poczęstunek, którym zgodnie z prawem raczą się też pierworodni, i z postu nici. A prerogatywy? Wedle prawa biblijnego pierworodny syn dziedziczy podwójną porcję z majątku ojca. Z majątku matki wszyscy synowie dziedziczą po równo, ale prawie się nie zdarza, żeby matka posiadała jakikolwiek majątek.

Uprzywilejowana pozycja pierworodnego syna nie jest niczym wyjątkowym w tradycyjnych kulturach. Oczywiście dzieci urodzone jako pierwsze nie są w niczym lepsze. Pierworodnym synem był Abraham, ale ani Mojżesz, ani Dawid, ani Salomon już nie. Abraham chce zatrzymać przy sobie Izmaela, Izaak woli Ezawę, a Ruben – pierworodny Jakuba – traci pierworództwo ze względu na romans z Bilhą. To matki intuicyjnie wyczuwają, który potomek będzie przewodził rodzinie. „Starszy będzie służył młodszemu” staje się normą u patriarchów: Izaak wygrywa z Izmaelem, Jakub z Ezawem, a Józef z dziesięcioma starszymi braćmi. A co wtedy, gdy jako pierwsza urodzi się dziewczynka? To pytanie chyba nie wymaga odpowiedzi. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Nabożna bezdusznosc



„CZY LOSEM CZŁOWIEKA NA ZIEMI NIE JEST służba, a jego dni nie są takie same jak dni najemnika? Bo jak niewolnik rozgląda się za cieniem, a najemnik oczekuje na zapłatę, tak moim udziałem są miesiące rozczarowań, a przeznaczeniem – noce udręk. Gdy się układam do snu, mówię: »Kiedyż wstanę?«. Wieczór się przedłuża, a niepokój dręczy mnie do świtu. Moje ciało pokrywa proch i robactwo, moja skóra rozkłada się i ropieje. Dni moje biegną szybciej niż tkackie czółenka, dobiegają końca, żadnej nie niosąc nadziei. Pomyśl, że moje życie jest tylko tchnieniem, nie zaznam więcej szczęścia”. Piękny tekst, ale wielu się bardzo nie spodoba. Nawet układający lekcjonarz mszalny opuścili jedno, jak się to mówi, zbyt kontrowersyjne zdanie: „Moje ciało pokrywa proch i robactwo, moja skóra rozkłada się i ropieje”. A takich i jeszcze drastyczniejszych zdań w Księdze Hioba jest pełno. Jednak Duch Boży wie, co robi właśnie teraz, podsuwając nam tę biblijną księgę i postać Hioba.

Miało być tak pięknie, szczęśliwe życie miała nam zapewnić odpowiednia dieta, siłownie i gabinety kosmetyczne. Do grona tych pseudonaukowych specjalistów od uszczęśliwiania dołączyli również pseudospecjaliści od psychiki i duchowości, zarówno świeccy, jak i duchowni. Zdrowie duszy i ciała miały nam zapewnić talizmany, dzwonki i kadzidła, święcona woda, relikwie, oleje, wreszcie egzorcyzmy, nakładanie rąk i niekończące się modły, aż po wskrzeszanie umarłych. Epidemia, jak onegdaj trąd, zburzyła tę naiwną nadzieję i jak echo wracają słowa Chrystusa skierowane do Marty: „martwisz się i niepokoisz o wiele, a jedno jest potrzebne”. Co dzisiaj jest tym „jednym”, tą wiecznotrwałą „częścią”?

W połowie stycznia szef WHO Tedros Adhanom Ghebreyesus mówił, że wynalezienie szczepionek jest wydarzeniem dającym nadzieję, ale też „kolejną cegłą w murze nierówności (...). To nie w porządku, że młodszy, zdrowsi dorośli w bogatych krajach są szczepieni przed pracownikami służby zdrowia i osobami starszymi w biedniejszych państwach. (...) Muszę być szczery: świat stoi na krawędzi katastrofalnej moralnej porażki”. Po paru tygodniach Ghebreyesus poinformował, że „podpisano porozumienie z firmami Pfizer i BioNTech na 40 milionów dawek, a lada moment spodziewana jest umowa z firmą AstraZeneca na 150 milionów dawek”. W ten sposób prowadzony przez WHO program COVAX, w ramach którego bogate kraje wykładają pieniądze na szczepionki dla państw ubogich, ma do końca roku otrzymać 2 miliardy dawek.

Hiob w nieszcześciu miał wielu przyjaciół lubiących doradzać i modlić się za niego, ale nie zaradzać nieszcześciu. Nie trąd był jego bólem bólów, ale nabożna bezdusznosc. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Słowo jako Światło

Znaleźli Słowo ci,
co wcześniej byli ciszą.

ODY SALOMONA



Zobaczyłem chłopca
niosącego światło.
Spytałem go, skąd je wziął.
Zgaśli światło i zapytał:
„Ty mi powiedz,
gdzie się podziało”.

SZAJCH HASAN Z BASRY



Wybrał PIOTR SIKORA



„KTO MA, TEMU BĘDZIE dodane; a kto nie ma, pozbawią go nawet tego, co ma” – to zdanie Jezusa w wersji św. Marka (Mk 4, 25), zapamiętali i zapisali w swoich Ewangeliach wszyscy Synoptycy (por. Mt 13, 12; 25, 29 i Łk 8, 18; 19, 26) – w różnych kontekstach.

Kontekstem u św. Marka (analogiczny znajdziemy w Łk 8) jest Jezusowe nauczanie o Słowie. Nasz *logion* jest poprzedzony przypowieścią o Siewcy oraz jej objaśnieniem (Mk 4, 1-20). To z tej przypowieści Pan wyprowadza kolejne pouczenie (dosł.): „Zauważcie czego słuchacie!” (w. 24); i niemal zaraz potem: „Bo kto ma...”.

Warto dostrzec najpierw, że Słowo jest rzeczywistością, którą trzeba mieć. Nie wystarczy „czytać” – od czasu do czasu, nawet codziennie; nie wystarczy go znać (tym bardziej nie wystarczy umieć czytać, i uspokajać się myślą, że zawsze, kiedy będzie taka potrzeba, mogę w końcu po nie sięgnąć). Trzeba je mieć w sobie. W jaki sposób? O co chodzi w tym sformułowaniu?

Jezus objaśnia to nieco wcześniej (w wersetach 21-23): „Czy po to wnosi się światło, by je umieścić pod korcem lub pod łóżkiem? Czy nie po to, by je umieścić na świeczniku? Nie ma bowiem nic ukrytego,

co by nie miało wyjść na jaw. Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha!”.

Słowo trzeba więc mieć w sobie jako światło wystawione na świeczniku – tak, by mogło oświecać wszystko – także takie rzeczy, które być może wolelibyśmy trzymać w cieniu. I chodzi tu najwyraźniej o takie Słowo, które nie pojawia się jedynie na chwilę. Nie! Chodzi o Słowo o znaczeniu fundamentalnym. Jest we mnie jako Światło podstawowe – zostało wniesione i je zatrzymałem. Jest odtąd stałym punktem odniesienia. Mogę – i chcę – zawsze się do niego odwołać. Słowo, które we mnie trwa. W tym sensie je „mam”.

Jakie to jest Słowo? Które Słowo Jezusa zatrzymałem w sobie tak dalece, że trwa? A może powinienem postawić sobie to pytanie w mocniejszej formie: Czy jest jakiegokolwiek Słowo Jezusa, które we mnie trwa?

Jeśli jest – mogę liczyć na kolejne: „Kto ma, temu będzie dodane” – na to pierwsze/podstawowe nałoży się następne, i następne, i jeszcze następne – tak, że Słowo stanie się światłem narastającym (a nie wyczerpującym się – w miarę, jak wyczerpuje się oliwa).

Jeśli go nie ma, pora, żebym to wreszcie uznał, a nie zadowalał się pozorami: „zabiorą mu nawet to, co mu się wydaje, że ma” (Łk 8, 18). Pora, bym prosił Pana o uważność na Jego Słowo. Pora, bym je potraktował tak, jak na to zasługuje. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (7 – 14 II)

5. niedziela zwykła: Hi 7, 1-4. 6-7; Ps 147A;

1 Kor 9, 16-19. 22-23; Mk 1, 29-39;

Poniedziałek: Rdz 1, 1-19; Ps 104;

Mk 6, 53-56;

Wtorek: Rdz 1, 20 – 2, 4a; Ps 8; Mk 7, 1-13;

Środa: Rdz 2, 4b-9. 15-17; Ps 104; Mk 7, 14-23;

Czwartek: Rdz 2, 18-25; Ps 128;

Mk 7, 24-30;

Piątek: Rdz 3, 1-8; Ps 32; Mk 7, 31-37;

Sobota: Rdz 3, 9-24; Ps 90; Mk 8, 1-10;

6. niedziela zwykła: Kpł 13, 1-2. 45-46; Ps 32;

1 Kor 10, 31 – 11, 1; Mk 1, 40-45.

DRUH CHAOSU

Wszystkie wpadki uchodzą mu płazem. Umiejętność wywijania się od odpowiedzialności może jednak nie wystarczyć, jeśli Michał Dworczyk rozłoży narodową akcję szczepień.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

WSZĘDZIE GO PEŁNO. WYBUDOWAĆ szpital na Stadionie Narodowym? Druh Dworczyk. Przeprowadzić masowe szczepienia? Druh Dworczyk. Przetrzymać druk antyaborcyjnego orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego? Druh Dworczyk. Przekupić regionalnych radnych, żeby dopiąć koalicję z PiS? Też druh Dworczyk.

Harcerze są zazwyczaj dobrymi organizatorami i winni świecić przykładem. Szkopuł w tym, że im więcej w Dworczyku polityka, tym mniej w nim harcerza.

Panzerfaust w bloku

Jest listopad 1999 r. Patrol policyjny dostaje zgłoszenie, że w piwnicach bloku przy ul. Solec w Warszawie może być przechowywany arsenał mafii pruszkowskiej, która w tamtym czasie lubiła sobie postrzelać z konkurencją. Rzeczywiście, w jednej z piwnic bloku policjanci odkrywają skrzynki z pociskami artyleryjskimi.

Evakuowany budynek, zamknięta ulica, na miejsce przyjeżdżają saperzy. Gdy wydaje się, że akcja jest zakończona, policjanci znajdują ładunki w kolejnych dwóch piwnicach. W tej sytuacji na miejsce przyjeżdża jednostka z wydziału do spraw terroru kryminalnego – czyli ówczesni tropiciele mafii.

To dlatego, że podejrzany o składowanie pocisków Michał Dworczyk miał sześć lat wcześniej podobne problemy z prawem. Z dwoma kolegami przewoził maluchem zapalniki i części do pistoletu. W bazie danych Dworczyk figuruje jako „poszukiwany do ustalenia miejsca po-

bytu” w sprawie o nielegalne posiadanie broni i amunicji.

Policjanci szybko dochodzą do wniosku, że Dworczyk mafiozem nie jest, a 10 pocisków – w tym szrapnel i głowica z panzerfausta – nie miało zapalników. Oczywiście i tak zostaje zatrzymany. Dostaje zarzut „nielegalnego posiadania broni palnej i amunicji” oraz „sprowadzenia bezpośredniego niebezpieczeństwa zagrożenia życia i zdrowia”.

Dworczyk przyznaje się do winy. Mówi, że pociski pochodzą z czasów liceum, gdy pasjonował się militariami. Według „Gazety Wyborczej” usprawiedliwiał się tym, że pociski znalezione w bloku nie miały zapalników. „Na szczęście dla niego okazało się, że sprawa z 1993 roku [czyli zatrzymanie w uzbrojonym maluchu – red.] była już zamknięta, bo wtedy z kolei przewoził tylko zapalniki, więc uznano, że nie było to groźne. Obu spraw – nieuzbrojonych pocisków z piwnicy i zapalników w »maluchu« – prokurator nie połączył” – pisała „Wyborcza”.

Mimo to prokurator składa wniosek o areszt. Pomocną dłoń wyciąga wtedy do Dworczyka inny wieczny harcerz – Antoni Macierewicz. W tamtym czasie był posłem swego marginalnego Ruchu Katolicko-Narodowego. No ale był posłem. Napisał poręczenie za Dworczyka, którego znał przez swą córkę, też harcerkę. Poręczył też Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej, organizacja harcerska o prawnym i katolickim sznycie, w której działa Dworczyk. Sąd odrzuca wniosek o areszt, a Dworczyk proponuje dobro-

wolne poddanie się karze. Dostaje półtora roku pozbawienia wolności z zawieszeniem na trzy lata.

Wymazany Macierewicz

Ta młodzieńcza brawurowa przygoda Dworczyka ma swój finał niemal 18 lat później. Wiosną 2017 r. Macierewicz jest już potężnym ministrem obrony w rządzie PiS i powołuje Dworczyka na swojego zastępcę.

Dworczyk uwielbia podkreślać swe militarne korzenie: „Mój dziadek rotmistrz Kazimierz Lenartowicz służył w II Korpusie Wojska Polskiego w Rosji. Jako młody porucznik dowodził pierwszym szwadronem 6. pułku ułanów w szarży pod Kaniowem oraz walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Po kampanii 1939 roku spędził 3 lata w łagrach, by następnie wraz z armią gen. Andersa opuścić Związek Sowiecki. Zmarł na emigracji, z której, z powodów politycznych, nie mógł wrócić do Polski. Drugi dziadek – kpt. lekarz Marian Dworczyk był uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej. (...) Mój tata – Jan Dworczyk, farmaceuta, w czasie wojny był harcerzem Szarych Szeregów ps. »Michał«”. Gdy Dworczyk został wiceszefem MON, znajomi zauważyli, że nawet do kościoła zaczął chadzać w wojskowej kurtce. Do dziś w klapie marynarki najczęściej nosi lotniczą szachownicę.

Początkowo wszystko idzie zgodnie ze scenariuszem, wedle którego starszy, radykalny Macierewicz prowokuje, a młodszy, gładszy Dworczyk łagodzi. Wedle tej zasady Dworczyk broni podkomisji smoleńskiej Macierewicza, a także eksce-



GRZEGORZ KRZYŻEWSKI / FOTONEWS / FORUM

sów jej członków. Choćby Wacława Berczyńskiego, który chwalił się zablokowaniem przetargu na śmigłowce, choć nie miał żadnego prawa się nim zajmować, a w dodatku powiązany był z jednym z producentów.

Jednak to, co wyglądało na scementowanie wieloletniej więzi Macierewicza i Dworczyka, w której role zastępowego i komendanta są jasno określone, okazuje się – ku zaskoczeniu wielu w PiS – końcem harcerskiego przymierza pokoleń.

Gdy nadchodzi przełom 2017/18 r. i Jarosław Kaczyński decyduje o odwołaniu premier Beaty Szydło, także pod Macierewiczem osuwa się polityczny grunt. Dworczyk zostawił go jako pierwszy. W PiS żywe są plotki, że to on w imieniu nowego szefa rządu Mateusza Morawieckiego poinformował Macierewicza o tym, że traci stanowisko – co dla sędziwego polityka oznaczało koniec kariery.

Gdy Macierewicz przestał być Dworczykowi potrzebny, skończyły się rodzinne zażyłości. Dziś w życiorysie Dworczyka na jego oficjalnej stronie internetowej nie ma o Macierewiczu ani słowa.

Karta Polaka

Jest w biografii Dworczyka kilka charakterystycznych elementów. Harcerzem był o wiele dłużej niż statystyczny chłopak. Zaczął w 1985 r. jako 10-latek, a skończył w 2006 r., gdy miał już ponad 30 lat – doszedł do stanowiska członka Naczelnictwa ZHR. W harcerstwie poznał żonę Agnieszkę, z wykształcenia nauczycielkę francuskiego, z którą ma czwórkę dzieci (uczęszczając do słynnej podwarszawskiej szkoły Stowarzyszenia Sternik, kojarzonej z Opus Dei; żona Dworczyka pracuje w tamtejszym przedszkolu).

Po studiach historycznych na Uniwersytecie Warszawskim zgłosił się do wojska na ochotnika, choć większość jego rówieśników cieszyła się ze zwolnienia z powszechnej służby wojskowej.

Kiedy wszyscy interesowali się w latach 90. otwierającym się Zachodem, on jeździł na Wschód. Tak, jest w nim upodobanie do munduru i etosu II Rzeczypospolitej, w której Kresy były otoczone specyficznym mitem.

Jednocześnie cała jego wciąż niezbyt długa polityczna biografia pokazuje, że przy mozolnym wspinaniu się po stopniach kariery stosuje dość proste metody, z których główną jest przyklejanie się do kolejnych protektorów. Przy czym Macierewicz – choć ochronił go →

Michał Dworczyk, posiedzenie Sejmu, Warszawa, 20 października 2020 r.

→ przed odsiadką i dał posadę w rządzie – wcale nie był patronem kluczowym. Ważniejszy był wieloletni towarzysz Jarosława Kaczyńskiego, wiceprezes PiS Adam Lipiński. O nim wzmianki na stronie Dworczyka jeszcze są.

Lipiński to protektor wielu dzisiejszych pisowskich 40-50-latków, akuszer ich karier zaczętych kilkanaście lat temu.

Dworczyk i Lipiński poznali się przy okazji wyjazdów do krajów byłego ZSRR. Wschód to pasja Dworczyka. W latach 2001-05 był współwłaścicielem biura podróży Pogranicze, które woziło tam turystów i pielgrzymów. W 2004 r. Lipiński akurat organizował wyjazd obserwatorów na wybory ukraińskie i Dworczyk mu w tym pomógł. Potem jeździli razem na Białoruś, gdy prezydent Białorusi Aleksandr Łukaszenka próbował pacyfikować tamtejszych Polaków.

Wtedy PiS był młodą partią, która pierwszy raz znalazła się w parlamencie i nie była jeszcze prywatnym folwarkiem Jarosława Kaczyńskiego. Miało to znaczenie zwłaszcza po 2005 r., gdy PiS niespodziewanie wygrał wybory parlamentarne i prezydenckie, pokonując faworyzowaną Platformę Obywatelską Donalda Tuska. Dzięki znajomości z Lipińskim oraz wspólnej harcerskiej przeszłości z Konradem Ciesiołkiewiczem, rzecznikiem nowego premiera Kazimierza Marcinkiewicza, Dworczyk pierwszy raz trafia w orbitę rządu i blisko władz PiS. Zostaje doradcą Marcinkiewicza, ma wtedy raptem 30 lat.

Część ludzi PiS znał, bo w 2001 r. wstąpił do konserwatywnego ugrupowania Przymierze Prawicy, założonego m.in. przez Marcinkiewicza, Kazimierza Michała Ujazdowskiego, Marka Jurka oraz Mariusza Kamińskiego. W 2002 r. Przymierze przystąpiło do PiS, a Dworczyk wraz z nim. Dziś już w PiS nie ma prawie nikogo z założycieli PP.

W gabinecie Marcinkiewicza Dworczyk, wspierany przez Lipińskiego, zajmuje się głównie pracą na kierunku wschodnim, w tym kontaktami z Polonią. Gdy Marcinkiewicz popada w niełaskę i zostaje odwołany, Dworczyk płynnie zostaje wschodnim doradcą kolejnego premiera. A jest nim Jarosław Kaczyński.

Plany Dworczyk miał ambitne. Chciał opracować m.in. nową ustawę o repatriacji oraz zmienić ordynację wyborczą, by wybierać parlamentarzystów reprezentujących Polaków mieszkających za gra-

nicą. Zabrakło czasu, bo kontrowersyjna koalicja PiS z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin w połowie kadencji padła pod ciężarem konfliktów i skandali. Dworczykowi udało się jednak doprowadzić do uchwalenia ustawy o Karcie Polaka – dokumencie potwierdzającym narodowość polską, który może być przyznany potomkom Polaków mieszkającym za granicą. To dla Dworczyka jeden z największych życiowych sukcesów.

Jeszcze będąc w rządzie, zaczyna myśleć o karierze partyjnej. W 2006 r. startuje w wyborach samorządowych – zostaje radnym w Warszawie. Rok później stara się dostać do Sejmu. Nie udaje mu się, a PiS traci władzę na długie osiem lat.

Dworczyk nie został jednak na lodzie – odchodzący premier Jarosław Kaczyński załatwia mu stanowisko doradcy ds. Polaków na Wschodzie u swojego brata, prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Ale Dworczyk nie jest w ścisłym gronie ludzi Lecha, nie staje się jego politycznym dzieckiem. Po katastrofie smoleńskiej musi sobie szukać miejsca, bo aparat PiS o niego nie zadbał – był zbyt mało ważny.

W banku go nie widziano

Jeśli przejrzeć kilka oficjalnych biogramów, to po Smoleńsku jest w nich zazwyczaj zawodowa dziura. Dworczyk pisze tylko o działalności politycznej. Wiadomo, że w 2011 r. jeszcze raz bez powodzenia kandyduje do Sejmu, w przegranych znowu przez PiS wyborach. „W latach 2010–2015 współpracowałem z Prezesem PiS J. Kaczyńskim wspierając współpracę partii ze środowiskami Polaków na Kresach oraz biorąc udział w pracach programowych dotyczących polityki wschodniej” – to cytat ze strony internetowej Dworczyka. Podobnie polityczny jest biogram na witrynie Kancelarii Premiera: „W latach 2006–2015 był radnym dzielnicy Śródmieście i m.st. Warszawy, a następnie radnym Województwa Mazowieckiego. W roku 2015 objął mandat poselski”. A z czego żył?

Od kilku lat Dworczyk unika podawania w życiorysach, że za czasów Platformy dostał posadę w spółce Skarbu Państwa. W latach 2012-15 był doradcą prezesa PKO BP. Bankiem tym i wtedy, i teraz kieruje Zbigniew Jagiełło, przyjaciel Mateusza Morawieckiego. Morawiecki za to w tamtym czasie był prezesem zagranicznego banku BZ WBK (dziś Santan-

der) i doradcą Tuska. Tajemnicą polisylną jest to, że Morawiecki przez Jagiełłę upychał w PKO BP swoich ludzi – w ten sposób do banku trafił m.in. syn Ryszarda Czarneckiego. Czy także Dworczyk dostał posadę dzięki Morawieckiemu? Minister nie odpowiedział na moje pytania w tej kwestii. Ale według moich rozmówców tak właśnie było.

Morawiecki znał prawicowych harcerzy, bo z jego inicjatywy bank BZ WBK finansował wiele ich dzieł. W BZ WBK odpowiadał za to m.in. Michał Kuczmieński, także harcerz, a dziś szef Agencji Rezerw Materiałowych, który wraz z Dworczykiem odpowiada za dystrybucję szczepionek na koronawirusa. To właśnie przez środowiska harcerskie Dworczyk dostał się wtedy w orbitę Morawieckiego.

Owczalni bardzo wysoko postawieni menadżerowie PKO BP, z którymi rozmawiałem, zarzekają się, że nigdy nie widzieli Dworczyka w banku. Co zatem robił? Biuro prasowe banku zapewnia, że „zajmował się w tym czasie sprawami z zakresu społecznej odpowiedzialności biznesu, m.in. przeprowadził projekt sprowadzenia do Polski potomków rodzin polskich wywiezionych do Kazachstanu i adaptacji ich w Polsce”.

Nie wiadomo, czemu Dworczyk się tym nie chwali, mimo że miłośnicy do Polaków na Kresach przesiąknięte jest każde jego CV.

Wałbrzyska sodoma

Do Sejmu dostał się wreszcie pod koniec rządów Platformy. Objął fotel po pośle PiS Adamie Kwiatkowskim, który latem 2015 r. po zwycięstwie Andrzeja Dudy przeniósł się do Pałacu Prezydenckiego. Sytuacja była dla Dworczyka niełatwa, bo tacy posłowie obejmujący mandaty tuż przed końcem kadencji mają słabą pozycję negocjacyjną – listy wyborcze partii na kolejne wybory są już zazwyczaj wywalczone. Dworczykowi pomógł znów wiceszef PiS Adam Lipiński. Postanowił wypromować go na lidera listy w Wałbrzychu, gdzie partia od dłuższego czasu miała problem ze strukturami, w których kwitły prywatne, donosicielstwo i wybuchy skandale.

Wałbrzych to specyficzne miejsce na mapie Polski. Działacze partyjni rozmaitych formacji od lat biorą się tam za łby w wewnętrznych wojenkach. Korumpują się, szantażują i nagrywają.

Przez lata najważniejszym politykiem PiS w Wałbrzychu była Anna Zalewska. Dworczyk już w kampanii 2015 r. był brutalnie przez nią zwalczany. Został jednak posłem, a Zalewska dalej go tępiła już jako minister edukacji. Czuła się przy tym pewnie, bo premierem była Beata Szydło, jej przyjaciółka i sojuszniczka. Dworczyk został wiceministrem obrony w 2017 r. także dlatego, że potężny wówczas Macierewicz chronił go przed tymi atakami.

W działaniach Lipińskiego jako lidera PiS na Dolnym Śląsku był wyraźny zamysł. Chodziło o przejmowanie przez Dworczyka władzy nad wałbrzyskim ogniwem partii. Faktem jest, że struktura za czasów Zalewskiej stała się jedną wielką wylęgarnią problemów. Do centrali PiS płyną donosy: łamanie statutu, prywatna, nieprawidłowości w finansach. A nawet „tolerowanie nieobyczajnego zachowania”, bo niezadowoleni działacze donoszą, że kojarzona z Zalewską radna z Bystrzycy Kłodzkiej została przyłapana podczas seksu na świeżym powietrzu z działaczem PSL. Wałbrzyscy działacze PiS związani z Zalewską są zamieszani nawet w głośny skandal z okradaniem kontenerów PCK, do których zbierana była odzież dla najuboższych.

Gdy Zalewska w 2019 r. zostaje europosłanką i przestaje doglądać wałbrzyskiego podwórka, Dworczyk próbuje to wykorzystać i przeciąga część ludzi Zalewskiej na swoją stronę. Stara ekipa stawia jednak opór i nagrywa szantaż ze strony Kamila Zielińskiego, przybocznego Dworczyka.

Na nagraniu pisowcy rozmawiają mafijnym językiem i konstatują, że w niczym nie są lepsi od poprzedników z Platformy i SLD. Rzeczywiście, na innej taśmie dzielą państwowe pieniądze z Wałbrzyskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej, w której – dzięki Dworczykowi – Zieliński jest wiceprezesem. Zieliński w rozmowie sugeruje, że Dworczyk zażądał dofinansowania dla jednej z parafii. W dodatku pieniądze ma także dostać wójt Udanina („nasz jest gościu”). Na co? Jak twierdzi „Gazeta Wyborcza”: na Bieg Pamięci Żołnierzy Wyklętych – Tropem Wilczym, którego inicjatorem jest fundacja założona przez Dworczyka.

Gdy taśmy nagrane na początku 2020 r. wychodzą niedawno na jaw, Kaczyński rozwiązuje struktury PiS w Wałbrzychu (tak jak dekadę temu Platforma, gdy od-

Cała wciąż niezbyt długa polityczna biografia Dworczyka pokazuje, że przy mozolnym wspinaniu się po stopniach kariery stosuje dość proste metody, z których główną jest przyklejanie się do kolejnych protektorów.

kryła aferę z kupowaniem głosów w wyborach samorządowych). Ale Dworczyk ukarany nie zostaje. Od ponad roku jest szefem całego dolnośląskiego regionu PiS. Dostał to prestiżowe stanowisko po Lipińskim.

Ukryte sukcesy

Co więcej – gdy wałbrzyskie szambo się wylewa, Dworczyk jest już pierwszoplanową postacią w rządzie. Pandemia wynosi go wysoko. Najpierw premier powierzył mu budowę symbolicznego szpitala na Stadionie Narodowym, który ma odciążać zapchane placówki na Mazowszu. Dworczyk urządził szpital widmo, gdzie nie da się leczyć ciężko chorych na COVID-19, stawki za pracę są horrendalnie wysokie, a personelu bywa tyle, co pacjentów – bo pacjentów jest niewielu.

Choć zawiódł, to szybko dostał jeszcze poważniejsze zadanie: wprowadzenie programu szczepień na koronawirusa. – Morawiecki nie ma w PiS swoich ludzi. W wielu obszarach opiera się trochę na środowisku dawnych harcerzy. Poza tym uważa Dworczyka za sprawnego organizatora i polityka lojalnego. To klucz do tej kariery – opowiada dobry znajomy premiera.

Ale tak jak w przypadku Szpitala Narodowego, tak w sprawie szczepień Dworczyk nie popisał się harcerską zaradnością. Usprawiedliwiał karkołomne próby wypychania w kolejkę prokuratorów czy agentów CBA przed chorych ludzi – bo tak chcieli ministrowie siłowi. Zorganizował infolinię do zapisywania na szczepienia seniorów, która padła w pierwszym dniu działania („żaden system nie wytrzyma tego naporu”). W efekcie starsi ludzie tłoczyli się w kolejkach na mrozie, by zapisać się w przychodniach rejonowych.

Wszystkie te błędy uchodzą mu płazem z prostego powodu: na jego ocenę w rządzie i partii poza publicznie widocznymi błędami składają się także jego ukryte sukcesy. To on w 2018 r. namówił słynnego radnego opozycji na Śląsku Wojciecha Kałużę, by zdradził towarzyszy w zamian za posadę wicemarszałka województwa – dzięki temu jednemu głosowi PiS przejęło władzę w regionie. To on obietnicami pomocy finansowej rządu przekonał Bezpartyjnych Samorządowców na Dolnym Śląsku, by weszli w koalicję z PiS, a nie z opozycją. To on zorganizował ustawkę z jednym z tabloidów, by uderzyć w autora książki o Morawieckim, zarzucając mu ujawnienie, że premier adoptował dwójkę dzieci („Ujawnił w swojej książce największy rodzinny sekret premiera. Nie wiadomo, czy (...) zdawali sobie sprawę, że pochodzą z domu dziecka”). W rzeczywistości informacja ta była już wcześniej znana, dzieci o tym także wiedziały, a ustawka miała zdyskredytować autora niewygodnej dla Morawieckiego publikacji, pokazującej od środka jego pracę jako bankiera.

Oređzia nie będzie

Jest 23 maja 2019 r., ostatnie godziny kampanii przed wyborami europejskimi. Gorąco, bo opozycja po raz pierwszy startuje zjednoczona, a wynik jest sprawą otwartą. Dworczyk pisze do prezesa TVP Jacka Kurskiego, że Morawiecki chce wygłosić oređzie tuż przed ciszą wyborczą i oczekuje podstawienia ekipy telewizyjnej.

Kurski traktuje to jak prowokację. Wszak wszyscy w PiS wiedzą, że od kilku miesięcy zwalcza Morawieckiego, a w kampanii europejskiej robi to wyjątkowo otwarcie.

Szef TVP najpierw dzwoni do Kaczyńskiego, a potem do Dworczyka. Mówi mu, że premier nie będzie miał żadnego oređzia i że prezes PiS popiera taką decyzję. Dodaje w prostych żołnierskich słowach by – mówiąc oględnie – Dworczyk sobie szybko poszedł. I Dworczyk sobie idzie.

Do dziś Kurski i część PiS traktuje go w podobny sposób, jak harcerzyka. Tak, jeszcze musi sporo popracować nad tym, by stać się jednym ze starszyny hufca.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl. Stale współpracuje z „TP”.

Na oparach

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Przerywają własne życie, by skupić się na wsparciu kogoś bliskiego. Niewidzialnych dla państwa domowych opiekunów coraz częściej dostrzegają hospicja zajmujące się ich podopiecznymi.

ZWYKLE DZIEJE SIĘ TO NAGLE. Z REGUŁY życie „przed” oddziela od tego „po” wizyta w szpitalu. Jesień 2019 r. Ojciec mieszkającej we Władysławowie Danuty Mireckiej-Kowalskiej, cierpiący od pięciu lat na chorobę szpiku kostnego 83-letni wówczas wdowiec, mdleje w łazience. Łamie kręgosłup, a lekarze rozkładają ręce: operacja – ze względu na ogólny stan pacjenta – wykluczona.

– Tak oto mój w pełni sprawny wówczas tata wrócił po czterech dniach do domu jako osoba zależna od innych – opowiada pani Danuta.

W ten lub podobny sposób nowe życie zaczynają co roku tysiące Polaków: po wypadku, w efekcie zaawansowanego nowotworu, paraliżu, postępującej choroby Alzheimer’a. Przykuci do łóżka, zależni od bliskich – do końca, który może nastąpić za miesiąc, ale równie dobrze za rok lub dekadę.

Rzadko to nowe życie układa się tak modelowo jak w przypadku Danuty Mireckiej-Kowalskiej i jej ojca. Nie w Polsce.

Bez pomocy

– Szok, tak można nazwać pierwszą reakcję – mówi Teresa Piesik, psycholożka i psychoonkolożka Puckiego Hospicjum pw. św. ojca Pio, sama mająca za sobą doświadczenie opieki nad przewlekle chorym ojcem. – Szok łatwiejszy do przezwyciężenia, jeśli wcześniejsza relacja podopiecznego z opiekunem była dobra, ale zawsze dotkliwy. Mój tata zachorował, cierpiąc w dodatku na postępujące problemy z pamięcią i unieruchomienie w związku ze złamaniem nogi. Pani w szpitalu powiedziała po prostu pewnego dnia, że tata nie może być już sam. Moja pierwsza reakcja: co teraz?

Dziś Teresa Piesik ma na ten początkowy moment szoku kilka rad: poszukać wsparcia; dać sobie prawo do skrajnych emocji, także bezradności i złości, ale też

czas na metodyczne spisanie problemów i zebranie potrzebnych do ich rozwiązania zasobów: rodzinnych i instytucjonalnych. Choć z tymi drugimi – o czym przekonała się Danuta Mirecka-Kowalska – jest w polskich warunkach spory kłopot.

Tamtej jesieni 2019 r. chce jak najszybciej zorganizować tacie wsparcie. Ale w ośrodku pomocy społecznej dostaje dwa komunikaty: rehabilitacja owszem, jednak „za kilka miesięcy”. Dochodząca opieka? Raz w tygodniu. – A że nie brałam pod uwagę domu pomocy społecznej, zostaliśmy sami. To moment, w którym człowiek staje pod ścianą, i choćby tłukł w nią głową, nic to nie da – wspomina.

Przez najbliższy miesiąc wraz z siostrą rehabilitują ojca same. Masują, pionizują, mobilizują do ruchu. Wynajmują łóżko medyczne. A gdy nadpłytkowość ojca przeradza się w ostrą białaczkę, trafiają na nieodległe, puckie hospicjum domowe, założone przed laty przez nieżyjącego już ks. Jana Kaczkowskiego.

– Musiałam przełamać barierę stereotypu, że hospicjum to koniec – opowiada pani Danuta. – Ale ledwo dojechałam z Pucka do Władysławowa, zadzwonił telefon: „Pani Danusiu, proszę notować”. Usłyszałam, kto nas odwiedzi i co będzie robił. Lekarz w ten dzień, pielęgniarka w tamten, rehabilitacja w jeszcze inny. Pomyślałam: to niemożliwe, przecież minęło piętnaście minut! A potem zaczęły się praktyczne rady: jak myć, karmić, przenosić. Dobieranie lekarstw, które brane na dotychczasowych zasadach niemal rozsadziły tacie wątrobę. To wszystko przywracało tatę do życia, a nam dało nadzieję. Wcześniej słyszeliśmy: „Dobrze, jak dożyje do świąt”. Tu był zupełnie inny przekaz: „Razem damy radę”. Pamiętam tatę przy wigilii: przyszedł z pomocą chodzika, elegancki. Rozplakałam się.

Ale ta historia to nie ilustracja polskiej normy, prędzej wyjątku od niej. A w za-

sadzie opis dobrze funkcjonującej niszy – sieć hospicjów domowych skutecznie (choć nadal nie wszędzie) pomaga terminalnie chorym i ich opiekunom. Ale tylko ich części – tej ze schorzeniami onkologicznymi. Rak, zdarza się mawiać opiekunom tych „nieonkologicznych”, to w Polsce szczęście w nieszczęściu.

Poza tą niszą armia osób niesamodzielnych, która nie doczekała się nawet precyzyjnego oszacowania (mówi się o przedziale od kilkuset tysięcy do ponad miliona osób), dostaje pomoc głównie na papierze. Według badania PolSenior2 (wstępne wyniki ogłoszono pod koniec 2020 r.) niemal troje na czworo respondentów ocenia dostępność do bezpłatnej rehabilitacji jako „raczej trudną” lub „zdecydowanie trudną”. Równie teoretyczna pozostaje tzw. pomoc środowiskowa w miejscu zamieszkania: często niedostępna, bywa że niskiej jakości, częściowo odpłatna.

Teoretyczne jest też wsparcie dla opiekunów.

Bez pracy

– Na szczęście nie musiałam rezygnować z aktywności. Po prostu przeniosłam pracę do domu, bo jestem zatrudniona w firmie męża. Zaczęło się organizowanie życia na nowo. Sprzątanie, gotowanie, wychowywanie nastoletnich dzieci, praca. A do tego całodobowa opieka nad tatą – kontynuuje Danuta Mirecka-Kowalska.

Także ten fragment jej historii to chwalne odstępstwo od normy. – Opiekunowie wpadają w potrzask: między myślą o porzuceniu pracy, z czym związany jest lęk oraz poczucie niesprawiedliwości, a poczuciem winy, jeśli zdecydują się kontynuować aktywność – ocenia Teresa Piesik.

Pucka psycholożka zapamiętała historię kobiety, której mama została z dnia na dzień unieruchomiona. – Praca dawała jej dużo satysfakcji, była dla niej ważna – kontynuuje Piesik. – Ale jej mama zareagowała tak, jak reaguje wielu bezradnych podopiecznych: „Ty musisz ze mną być, musisz zostawić pracę”. Opiekun przeżywa w podobnej sytuacji całą paletę emocji: od złości na swojego krewnego po myśli: „Przecież to mój obowiązek. Jestem złą córką, nie dość dobrze się opiekuję mamą”. Ta pani dostała psychologiczne wsparcie, dzięki któremu zdała sobie sprawę, że praca jest potrzebna nie tylko jej, ale też jej mamie. Przerywając swoje



AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA GAZETA

W hospicjum domowym Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza w Michałowie

aktywności, szybko popadamy we frustrację, która odbija się na relacji z chorym. Tylko żyjąc normalnie jesteśmy w stanie zaopiekować się kimś, kto nas potrzebuje.

Problem w tym, że polski system jest jakby skrojony pod dezaktywizację. Odczuwalnego wsparcia nie dostają ani porzucający pracę, ani ci, którzy zdecydowali się aktywność kontynuować. Tym pierwszym państwo rzuca kilkusetzłotowy ochłap – a i to pod warunkiem całkowitej rezygnacji z zarobkowania. Drugim rynek pracy nie ma do zaproponowania niczego, co ułatwiłoby życie w nowych realiach.

Dzieje się tak od dekad, mimo że wszystkich – włącznie z państwem – wpędza w spiralę problemów. Wylicza je w opublikowanym niedawno na zlecenie Komitetu Dialogu Społecznego Krajowej Izby Gospodarczej raporcie ekspert ds. polityki społecznej dr Rafał Bakalarczyk. Dla samego opiekuna i jego rodziny to m.in. ryzyko ubóstwa, izolacji, pogorszenia stanu zdrowia – psychicznego i fizycznego. Dla gospodarki i rynku pracy: kadrowe niedobory, ograniczenie popytu, utrata potencjału ważnych grup (kobiet i osób 50 plus). Dla budżetu – mniejsze przychody.

Bez tchu

Teresa Piesik zapamiętała kolejne etapy rozmów ze swoją podopieczną: – W jej opowieści powtarzał się motyw napięcia: „bo ciągle coś się dzieje” – wspomina

psycholożka. – I braku czasu, nawet na leczenie własnego chorego kręgosłupa. Zaczęliśmy zadawać sobie pytanie: co może dla siebie zrobić poza kontynuowaniem pracy. I doszliśmy do odpowiedzi: rozmawiać z ludźmi, dbać o swoje zdrowie, na ile to możliwe dawać sobie prawo do radości, jaką były wcześniej podróże. Po długiej przerwie wyjechała wraz z mężem w ukochane Bieszczady, bo do opieki nad mamą znalazła zastępstwo.

– Nie miałam dłuższych momentów rezygnacji, ale chwile wątplenia, owszem – opowiada z kolei Danuta Mirecka-Kowalska. – Czasami opadały mi ręce: ludzie chorzy są zmęczeni swoim cierpieniem, zdarza się, że robią różne rzeczy na przekór. Jak mój tata, któremu zdarzyło się np. zedrzyć gojącą się ranę. Bywało, że się rozplakałam, pytając sama siebie: „Dlaczego?”. Dość szybko mi na szczęście miało, bo wiedziałam, że to prawo wieku i choroby. No i miałam hospicjum: od wspaniałej psycholożki, pani Hani Uklei, dostałam masę rad, jak poprawić komfort życia taty. Ale też swojego: był akurat styczeń, jeszcze przed epidemią, gdy dałam się namówić na wyjazd z rodziną, podczas gdy moja siostra została z tatą. Pani psycholog przekonała mnie, że nie muszę rezygnować z normalnego życia, z budowania relacji, z oddechu od codzienności.

Ojciec pani Danuty zmarł jesienią ubiegłego roku. – W domu, przy nas, spokojnie – opowiada mieszkanka Władysława. – Gdyby rok wcześniej ktoś mi po-

wiedział, że tak przez to wszystko przejdę, tobym nie uwierzyła.

Podobne wsparcie dają też inne organizacje. Np. gdańska Fundacja Hospicyjna, mająca za sobą kampanię „Opiekun rodzinny – nie musi być sam”, organizująca dla opiekunów grupy wsparcia. Podobne są też w Pucku.

To nie wszystko: założone przed laty przez charyzmatycznego kapłana hospicjum ogłosiło właśnie otwarcie pierwszego kompleksowego portalu dla opiekunów (www.bliskochorego.pl) – dwumilionowej, jak szacują twórcy witryny, armii Polaków niemających często nawet dostępu do podstawowej wiedzy. O rehabilitacji, karmieniu, myciu, pampersowaniu, dostępnej pomocy finansowej i instytucjonalnej.

– I o emocjach, do których musimy sobie dać prawo – dopowiada Teresa Piesik, współtwórczyni portalu. – Bo życie trwa przecież i w czasie opieki nad bliskim, i po jego odejściu.

Na razie jednak pamiętają o tym głównie organizacje pozarządowe i właśnie hospicja. Jakby wbrew polityce państwa, które od dekad – niezależnie od politycznych rozdań – uznaje najwyraźniej los domowych opiekunów za rodzaj kulturowej oczywistości. Tak oczywistej, że aż niewidzialnej. ©

O opiekunach pisał też w grudniu 2020 r. Rafał Woś. Więcej na www.tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy.



DEA / V. GIANNELLA / GETTY IMAGES

Byle łośoś był na stole

KRZYSZTOF WOJTAS, DZIAŁACZ ŚRODOWISKOWY:

Oferujemy pomoc rozwojową Afryce w zamian za dostęp do tamtejszych łowisk. Z pomocą bywa różnie, za to z powodzeniem drenujemy zasoby tych krajów.

BARTOSZ RUMIŃCZYK: Chińska fabryka mączki rybnej w Gambii. Taka jest pierwsza scena filmu „Stolen Fish” dokumentalistki Małgorzaty Juszcak. Czy może być coś bardziej abstrakcyjnego dla widza w Polsce?

KRZYSZTOF WOJTAS: To temat naprawdę bardzo istotny dla polskiego widza. I to w kilku warstwach. Z jednej strony pokazuje negatywne skutki globalizacji, a z drugiej opowiada o działaniach neokolonialnych, w które zaangażowana jest Europa, w tym także Polska.

Nawet jeśli to chińskie fabryki?

Europa nie jest tu bez winy. Drenujemy zasoby tzw. globalnego Południa, a nasz styl życia odbija się negatywnie na ludziach mieszkających w tych krajach – i o tym ten film opowiada. A także o migracji zarobkowej, którą cały czas postrzegamy jako coś gorszego niż uchodźstwo.

Bo mamy o niej fałszywe wyobrażenie. Myślimy, że to wygląda tak, jak wyjazd Polaków na Wyspy Brytyjskie, by się dorabiać.

Poprzez procesy globalizacyjne odpowiadamy za to, że ludzie muszą wyjeżdżać z takich krajów jak Gambia, bo coraz trudniej w nich żyć. Choć zwykły konsument myśli, że nie ma z tym nic wspólnego.

Do wyprodukowania jednego kilograma mączki rybnej potrzeba 4-5 kg ryb. Nie rozumiem, jakim cudem to się opłaca. Nie lepiej jest po prostu sprzedać 5 kg ryb?

Z punktu widzenia systemów żywnościowych i problemu wyżywienia planety to jest faktycznie bez sensu. I tak: lepiej byłoby sprzedać 5 kg ryb, jak działo się to od zawsze w Gambii. Przecież 90 proc. ryb przeznaczonych na mączkę nadaje się do spożycia przez ludzi. Ale produkcja mączki rybnej się opłaca, bo jest to surowiec przeznaczony do produkcji pasz dla zwierząt hodowlanych: kur, świń, ale także ryb mięsożernych, jak np. łośoś, który pożera olbrzymie jej ilości. Do produkcji jednego łośosia trzeba użyć średnio 170-400 ryb, które zostały przerobione na mączkę i olej rybny.

Znów czegoś nie rozumiem – czemu w ogóle trzeba „produkować” łośosia? Albo inne ryby? Czemu nie kupujemy ryb prosto z kutra, dopiero co wyłowionych z morza, jak to pokazuje każda reklama?

Bo tych ryb w morzach i oceanach już praktycznie nie ma. 90 proc. łowisk jest maksymalnie wykorzystanych lub przełowionych – a to znaczy, że więcej łowić się już nie da. Populacje łośosia atlantyckiego zostały tak przetrzebione, że ciężko o dziki łośoś w naturze – stąd pomysł, by go hodować czy „produkować”. Zresztą początki hodowli ryb miały wyglądać zupełnie inaczej. Mówiło się o niebieskiej rewolucji, tak jak kiedyś o zielonej.

Zielona rewolucja w latach 60. XX wieku wprowadziła bardziej wydajne rośliny do uprawy w krajach globalnego Południa, co miało być remedium na głód, a pogłębiło nierówności. Owszem, pola dawały więcej plonów, ale biednych ludzi dalej nie było stać na ich zakup, więc zaczęto nadwyżki eksportować i rewolucja zjadła własny ogon.

Ta niebieska natomiast miała być odpowiedzią na kurczące się zasoby ryb w morzach i oceanach. W pewnych aspektach, jak choćby w przypadku ekstensywnych hodowli tilapii czy naszego rodzimego karpia, jesteśmy w stanie wyhodować ryby bez nadmiernego zużycia zasobów naturalnych.

To co poszło nie tak?

Zaczęto hodować ryby, które potrzebują białka zwierzęcego. Drapieżniki, ta-

kie jak łososie, tuńczyki czy okonie morskie, cieszą się olbrzymim zainteresowaniem konsumentów, a ich hodowla przynosi duże zyski, bo można je sprzedawać w dobrych cenach. Ale właśnie te ryby, np. łososie, muszą jeść inne ryby, zwłaszcza aby były źródłem kwasów omega 3, aminokwasów i witamin. Mamy coraz większe problemy z łowieniem na naszych wodach, więc zawieramy umowy handlowe z Afryką, oferując pomoc rozwojową w zamian za dostęp do ich łowisk. Z tą pomocą bywa różnie, za to z powodzeniem drenujemy zasoby krajów, które często nie mają nawet odpowiednich narzędzi, by ten drenaż kontrolować.

Abou – jeden z bohaterów filmu „Stolen Fish” – mówi o tym bardzo obrazowo: to, co my łowiliśmy przez cały miesiąc, chiński statek łowi w jeden dzień. To już nie rybołówstwo, ale żniwa.

Większość ludzi ma bardzo romantyczne wyobrażenie o rybołówstwie: łodzie wychodzą w morze o świcie, rybacy walczą ze sztormem i wracają z sieciami pełnymi ryb. Owszem, takie rybołówstwo istnieje, co więcej: jest kluczowe dla bezpieczeństwa żywnościowego wielu ludzi w rejonach globalnego Południa. Ale częściej mamy do czynienia z przemysłowymi kutrami, które rozciągają sieci na kilka, kilkanaście kilometrów. Takie kutry faktycznie zagarniają wszystko, co spotkają na swojej drodze. Drobne ryby, pływające w ławicach, nie mają żadnych szans. Jeśli taka jednostka, wyposażona w najnowsze echosonary, namierzy ławicę, to w zasadzie wciąga ją w całości i po sprawie.

To ma ogromny wpływ na lokalne ekosystemy. Szacuje się, że co roku w sieciach rybackich ginie ponad 100 mln rekinów, około 300 tys. delfinów i mniejszych gatunków wielorybów czy ponad 250 tys. zagrożonych wyginięciem żółwi skórza-stych.

Czy w Polsce również doszło do takiego przetłowienia?

Z Bałtykiem jest dość podobnie. Łowimy głównie śledzie, szproty i dorsze. Te trzy gatunki stanowią ponad 95 proc. wszystkich połowów. Dorsza przetłowiliśmy na początku lat 80. polscy rybacy łowili 120 tys. ton, dziesięć lat później już tylko nieco ponad 25 tys., a dziś połowy zo-

stały niemal całkowicie wstrzymane, żebyśmy nie skończyli jak Nowa Kaledonia. Gdy dorsz zniknął, całe tamtejsze osady straciły pracę. To problem uniwersalny.

Jaki odsetek mączki rybnej trafia do nas?

Polska nie jest znaczącym jej konsumentem, ale z drugiej strony jemy dużo łososia, który pochłania olbrzymie jej ilości, i coraz więcej krewetek, które są importowane. Zresztą z rybami i owocami morza jest zupełnie inaczej niż z kurczakami czy świniami – drób i wieprzowinę jemy w większości lokalną, ryby niemal w całości importujemy: egzotyczne gatunki z Azji, łososie z Norwegii, a te kraje mączkę rybną importują, i to w olbrzymich ilościach. Trudno jest natomiast oszacować dokładne pochodzenie mączki rybnej, bo nie ma dobrego systemu jej znakowania. W przypadku tego surowca możemy mówić o kompletnym zglobalizowaniu.

Co to znaczy?

W naszej organizacji od ponad roku badamy łańcuchy dostaw mączki rybnej z Afryki Zachodniej. Ta z Gambii może najpierw trafić do Wietnamu, gdzie zostanie przetworzona i zmieszana z mączką rybną z innych krajów, a następnie wysłana przez pośrednika do jeszcze innego kraju, gdzie zostanie z kolei wkomponowana w paszę dla ryb i sprzedana norweskiemu hodowcy. Nie ma też żadnych przepisów, które by regulowały handel mączką. Ani w Unii, ani w Polsce.

A dlaczego ich nie ma? Przecież wystarczy usiąść i napisać dobre prawo.

Myślę, że jednym z powodów jest niewielkie zainteresowanie opinii publicznej. A drugim? Razem z moim zespołem przeanalizowaliśmy wszystkie umowy handlowe, jakie Unia zawiera z krajami Afryki Zachodniej, i jedyną regulowaną kwestią jest jakość mączki, nie ma natomiast słowa o zabezpieczaniu kwestii środowiskowych czy pracowniczych.

Tylko że taki stan rzeczy chyba nam się po prostu opłaca.

Zdecydowanie tak. To także zrzucanie odpowiedzialności na inne kraje i jednocześnie oczyszczanie własnego sumienia. Skoro przetłowiliśmy własne morza

i oceany, to będziemy chronić swoje gatunki, równocześnie uważając, że nasz styl życia i konsumpcji nie podlega negocjacji, więc przeławiamy morza i oceany w innych krajach. W końcu jesteśmy coraz bogatsi i nadal chcemy jeść łososie i krewetki. Ale to ma swój koszt środowiskowy, więc przerzucamy ten koszt na kraje globalnego Południa.

Na samym początku wspomnianego filmu pada mocne zdanie: to zabieranie jedzenia biednym, by karmić zwierzęta bogatych. Ale mączka rybna jest wykorzystywana także w hodowli innych zwierząt, niekoniecznie tych trafiających na bogatsze stoły, jak łososie czy krewetki.

Kiedyś najwięcej mączki rybnej spożywały świnie i kury, ale dziś to się zmieniło, bo hodowla ryb jest najdynamiczniej rozwijającą się hodowlą zwierząt, więc mączkę i olej rybny w 70 proc. spożywają właśnie ryby. Reszta idzie na fermy oraz w niewielkim stopniu, ale jednak, na karmę dla zwierząt domowych, suplementy diety, nawozy, nawet kosmetyki.

Drób oraz wieprzowina hodowane przemysłowo to nie jest jedzenie bogatych. Fermy mają zaś jeden cel – dostarczenie mięsa po jak najniższej cenie.

Tak, ale mówimy o krajach bogatych ogólnie, a Polska się do nich już zalicza. Natomiast w tym momencie dotykamy tzw. ukrytych kosztów taniego mięsa. Świnie i kury nie potrzebują w swojej diecie ryb, prawda? A mimo to używa się mączki rybnej w paszach, bo ma ona bardzo efektywny wpływ na wzrost zwierząt, zresztą gatunkowo i genetycznie już wyselekcjonowanych tak, aby jak najszybciej przyrastała masa mięśniowa. Świnie i kury zjadają dwa razy więcej ryb niż cała populacja Japonii i sześć razy więcej niż USA. A przecież można te gatunki hodować na roślinnych paszach, tylko że wolniej.

Ale wtedy nie mielibyśmy taniego mięsa.

I dlatego ponosimy ogromne koszty środowiskowe. Naukowcy udowodnili już, jak mocno hodowla przemysłowa wpływa na zmiany klimatyczne. Wiemy też, jak wysoką cenę płać za to zwierzęta. ➔

→ **Praca w przemyśle mięsnym jest też fatalnie opłacana, a warunki zatrudnienia są niemal niewolnicze. Abou, o którym opowiada Juszcak, wyjechał już z Gambii. Jest teraz w ośrodku na Teneryfie, gdzie wystąpił o azyl. Jeśli uda mu się uzyskać zgodę na pobyt w Hiszpanii, to niewykluczone, że zatrudnienie znajdzie albo na fermie, albo np. w Morzu Plastik, szklarnianym zagłębiu hiszpańskiej Almerii. To, co wygnało go z Gambii, dopadnie go w Europie.**
Niestety, to wygląda jak koło.

Mamy jakieś rozwiązanie?

To nie jest kwestia łatwych i szybkich rozwiązań. Prędzej systemowych.

Powinniśmy, przynajmniej w Europie, uchwalić przepisy regulujące obrót mączką rybną. Dalej: przemysłu samą hodowlę ryb, a także szerzej hodowlę zwierząt oraz jej finansowanie. Rozwiązaniem może być wspieranie hodowli ekstensywnych, bardziej przyjaznych dla środowiska i dobrostanu zwierząt.

Lobbujemy teraz w Unii o wspieranie właśnie takich hodowli. Pracujemy także nad obszernym raportem prezentującym odpowiednie rozwiązania – w akwakulturze mogą to również być hodowle małż czy alg – które nie tylko nie obciążają

środowiska, ale mają też na nie dobry wpływ, np. oczyszczają wodę.

Kolejną z takich inicjatyw, o której dziś dużo się mówi – i to nie tylko na poziomie europejskim, ale światowym – jest skończenie z dotowaniem rybołówstwa. Spółś finansowania faworyzuje duże jednostki, i siłą rzeczy te jednostki stają się coraz większe i potężniejsze, pożerając małe łódki Gambijczyków. Finansujemy więc przełowanie z pieniędzy publicznych.

I te hodowle ekstensywne będą w stanie zaspokoić nasze potrzeby konsumenckie? Bo my chcemy mieć jak najszybciej, jak najtaniej i jak najwięcej.

Dlatego konieczna jest też zmiana zachowań konsumenckich. To brzmi już jak banał, ale naprawdę nie jest tak, że nam się wszystko należy. Warto więc pokusić się o refleksję i zrozumieć, że jesteśmy odpowiedzialni za środowisko, za innych ludzi oraz że to, co robimy na co dzień, ma znaczenie.

I pewnie przejść na weganizm...

Niekoniecznie. Możemy chociażby ograniczać spożycie mięsa, zwracać większą uwagę na to, co jemy, z czego się pożywienie składa, skąd pochodzi – akurat w przypadku ryb jest to dość dobrze oznaczone.

Ale nie ma się co obrażać na konsumenta, jeśli jego budżet domowy nie pozwala na zapewnienie w sklepie koszyka produktami eko i bio.

I dlatego uważam, że zmiany systemowe są ważniejsze. Przerzucanie całej odpowiedzialności na konsumenta jest nie *fair* – konsumenckie dywagacje to jest jednak przywilej. Ale ograniczanie spożycia mięsa – o czym mówi się na poziomie już ONZ czy WHO – nie jest kosztotwórcze, nawet dla średnio zamożnej rodziny.

Coraz częściej na półkach naszych sklepów, i to nie tych ze zdrową żywnością, ale osiedlowych, pojawiają się bardzo tanie zamienniki mięsa. Zastanawiam się, czy za chwilę nie wpadniemy w pułapkę i nie powtórzymy błędów produkcji popełnionych przy masowej hodowli mięsa i ryb.

Z pewnością przy każdego rodzaju produkcji należy uważać, by nie generować negatywnych skutków środowiskowych. Samo usunięcie zwierząt z całego procesu ma jednak olbrzymie znaczenie, także etyczne. Poza tym wydajność – zwierzęta trzeba karmić olbrzymią ilością paszy, hodowla zużywa duże ilości wody, więc nawet jeśli mówimy o niedoskonałych produktach i rozwiązaniach, to i tak obniżamy koszty środowiskowe.

Patrząc bardziej wizjonersko, myślę, że jest olbrzymi potencjał mięsa z hodowli komórkowej. Dziś to brzmi jak *science fiction*, ale w Azji już trafiło do produkcji. I na początku będzie opór konsumencki, ale z czasem, gdy cena się wyrówna, to zastąpi mięso produkowane przemysłowo. Ale przede wszystkim potrzebna jest poważna dyskusja o zmianach globalnego systemu żywnościowego.

© Rozmawiał BARTOSZ RUMIENČYK

Wspomnienie Reni:

Dr med. Teresa Słomińska Petelenz

Nauczyciel Lekarzy ze szczególną empatią dla wszystkich napotkanych, tak dalekich, jak i najbliższych, niezapomnianej dobroci, z przemyślanym sprawiedliwym krytycyzmem faktów. Dzięki za 70 lat wzajemnego życia i współpracy do 29 grudnia 2019 roku.

TADEK

Dołączają się: SYNOWIE TOMASZ I MICHAŁ
WRAZ Z SYNOWYMI DANUTĄ I JOLĄ,
WNUCZKAMI KASIA I ZOSIA Z MĘŻEM
ANDRZEJEM I RYANEM ORAZ PRAWNUKI
CLEAR I ELŻBIETA ORAZ JACK I PAWEŁEK

POZEGNANIE

COMPASSION POLSKA /
MATERIAŁY PRASOWE



KRZYSZTOF WOJTAS

jest dyrektorem Departamentu ds. Dobrostanu Ryb w Compassion Polska należącej do Compassion in World Farming. Jej misją jest zakończenie przemysłowego chowu zwierząt, także ryb.

JACEK

Podsiadło: Wnikliwy rekonesans po budynkach CZYLI błogi sen alkoholika Skrzypka



PRL TRWAŁ CHWILĘ, A ZDA SIĘ, ŻE wiek... Może dlatego, że w owej epoce nagromadziło się nadmiar stanów i wydarzeń nadzwyczajnych. Np. zim stulecia było w ciągu 45 lat istnienia PRL-u coś koło siedmiu. Obsmiewaniu ich nadliczbowości obojętnie wtóruje obsmiewanie wojskowej i wojennej terminologii, używanej podczas opisów zimowych batalii na atmosferycznych frontach. Mojej wrażliwości językowej bardziej jeszcze dogadza, kiedy towarzyszy temu prawdziwie poetycka metafora. Jak w kronice filmowej z 1979 r., w komentarzu autorstwa Bogdana Jachacza: „Tramwaje zbijają się w stada (...). Rwą się taśmociągi, stają spychacze. (...) Pękają rury i kaloryfery, nie puszczają zwrotnice. (...) Za każdym spychaczem ustawia się stadko jak za panią matką”.

Co zaś do scen batalistycznych, to najpiękniejsze zostały zapisane w historii polskiego narodu, kiedy w bój zimą posyłał on osobników zaprawionych nie tylko w bojach. Tyrmand nakreślił taką scenkę w 1954 r., opisując imieniny dyrektora warszawskiego wesołego miasteczka Skrzypka, który, dobrze się zaprawiwszy, postanowił w środku nocy udostępnić swym gościom wszystkie karuzele: „Amatorzy zawrotu głowy i upojenia pędu w kółko oblepili uwieszone na łańcuchach gondole, wierzchowce i łódki, dyrektor Skrzypek udał się do środka mechanizmu, włączył go, po czym zmorzony wysiłkiem i napojami zasnął. Po dwóch godzinach pogotowie zdejmowało nieprzytomnych z przeżycia zwolenników kiermaszów i udzieliło pierwszej pomocy tym, którzy dostali ataku woreczka żółciowego i morskiej choroby. Wszyscy natomiast mieli odmrożone nogi, bowiem w pierwszej fazie alarmu, usiłując zwrócić na siebie uwagę śpiącego błogim snem alkoholika Skrzypka, zdejmowali buty i miotali nimi w kabinę motorniczego. A mróz ostatnio w Warszawie tęgi”.

Zasadniczo jednak alkohol zaliczał się w zmaganiach z zimą do naszych aliantów. Kiedy stygły kaloryfery, mleko zamarzało w wymionach krów, a olej napędowy stawał się ciałem stałym, tylko spirytus zachowywał swą pitność i mógł rozpalić na nowo ogień w polskich sercach. W bieszczadzkiej książce Krzysztofa Potaczały znaleźć można poruszające wspomnienie o próbie powrotu do cywilizacji setki uwieczonych w Smolniku polarników mimo woli z Zarządu Budownictwa Le-

śnego. W grudniu 1963 r. pozbawieni żywności i odcięci od świata desperaci brnęli przez śniegi 30 km do Ustrzyk Dolnych, a drogę torowały im spychacz typu staliniec oraz cudownie znaleziona w skrzynce narzędziowej tegoż stalińca butelka spirytusu. „Czysty, pity prosto z gwinta, spaliłby nam kiszkę – wspomina Potaczała – dlatego, nie mogąc go rozmaić, musieliśmy go wchłonąć inaczej. Nasączaliśmy spirytem ugniecione kulki śniegu i tak sobie je cmokaliśmy...”. Kronika filmowa relacjonująca walkę o węgiel w elektrociepłowni Żerań w 1963 r., kiedy do rozładowywania wagonów ze zmarzniętym mianem używano nawet trotylu, prezentuje też dodawanie przez zmarzniętą załogę spirytusu do herbaty, „w rozsądnych proporcjach oczywiście”. A w 1979 r. pielęgniarki w warszawskich szpitalach oficjalnie i legalnie raczyły miarką spirytusu na rozgrzewkę przemarzniętych pacjentów z nagłych przypadków. Było to po ataku zimy pamiętnym tym, że nastąpił dokładnie w noc sylwestrową, zamykając naród w kotle przymusowego świętowania co najmniej do kolejnej nocy.

Niestety, alkohol powodował też zachowania przypominające noc sylwestrową Wandalów z 406 r. W Stachowicach „administracje osiedlowe przystąpiły bezwzględnie do kolejnego wnikliwego rekonesansu po budynkach. Chodzi o wybite szyby, nie zamykające się drzwi”. Kierownicza Rejonu Eksploatacji Domów w Radomiu skarżyła się: „W domu przy ul. Żeromskiego 95/97 szklimy szyby na klatkach już po raz czwarty. (...) Brakuje również klamek i zamków, a wczoraj np. wyrwał ktoś dobry zamek w drzwiach wejściowych domu przy ul. Traugutta 46/48”.

Kieleckie „Słowo Ludu” jednocześnie uspokajało i alarmowało, czasem w obrębie jednego zdania: „Niskie temperatury nie zaskoczyły budowlanych, jednakże trudna sytuacja energetyki i ciepłownictwa nie pozostała bez wpływu na efekty ich pracy”. Zaszyfrowany sens tego komunikatu odsłania się np. podczas lektury „Zimy stulecia” Himilbsbacha. Budowlańcy naprawdę nie byli zaskoczeni, mimo to trudna sytuacja naprawdę wpłynęła na ich pracę: „W robocie graliśmy w karty. Od rana do samego fajrantu, a po fajrancie wygrany przegranym stawiał gorzałkę (...). Mimo ciężkich mrozów na budowie obowiązywała wszystkich dyscyplina. To nic, żeśmy nic nie robili i różnieli w karty, ale codziennie rano każdy z nas musiał przyjść na budowę i przychodziiliśmy. Musieliśmy podpisywać listę obecności”. ©



WSTAŃ I SPÓJRZ W OCZY

Jakie miałam prawo mu nie wybaczyć?
Miałam w głowie zdjęcie Jana Pawła II,
który wybacz Ałemu Ağcy.
A on powiedział, że po mnie przyjedzie,
i że będzie niespodzianka.

TEKST **KAROL WILCZYŃSKI**

ILUSTRACJA **KASIA KOZAKIEWICZ**

NIE WIEM, KIEDY POJAWIŁA SIĘ MYŚL, BY ZAŁOŻYĆ FUNDACJĘ. BYĆ może wtedy, gdy zrozumiałam, że nie mam na czole tatuażu z napisem: „zgwałcona przez księdza”.

Tak, to fakt z mojego życia. Fragment mojej przeszłości. Ale „Agnieszka” nie równa się już – „zgwałcona”. Zdjęłam tę etykietę. Wcześniej długo myślałam o sobie, że jestem warta tyle, co szmata do podłogi. Nie miałam świadomości swojej siły.

Nie dawałam sobie sprawy z tego, że w końcu przez to wszystko przesłam.

Pod opieką

Poznałam go w czasie gimnazjum, gdy razem z siostrą chodziłyśmy do wspólnoty młodzieżowej. Było super, jeździliśmy na różne wyjazdy. W którymś momencie zmienił się prowadzący ją ksiądz. Przyszedł nowy, oraz, dodatkowo, właśnie on – ksiądz Michał.

Umiał grać na gitarze, w piłkę, w bilard, co tylko sobie zamarzyliśmy. Bywał z nami coraz częściej. Zaczął przychodzić do domu, uczyć mnie i siostrę matematyki. Poznał naszego kilkunastoletniego, niepełnosprawnego brata. Wieczorami często zapraszał nas dwie – i jeszcze dwóch chłopaków – na kręgle lub bilard. Wreszcie miałyśmy co robić. Rodzice cieszyli się, że mamy atrakcje i jesteśmy pod opieką.

Ksiądz Michał poznał nas naprawdę dobrze. Nie wiedziałam, że świadomie budował taką zaufaną grupę. Nie wiedziałam, że ostatecznie wybrał mnie – osobę najbardziej wrażliwą, najsłabszą, trzymającą się zawsze z tyłu, ale zarazem mającą „syndrom zbawiciela świata”.



→ Moja siostra jest inna. Twarda, od razu mówi, co myśli. Ona by się nie dała. Nawet księdzu.

Drzwi

Pewnego dnia ksiądz Michał zadzwonił z prośbą o pomoc w związku ze swoją pracą w szkole. Od razu przyjechałam na plebanię. Szłam z przodu, a on zamykał za mną wszystkie drzwi. Niektóre miały zamek. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że nie będę mogła uciec.

Zrozumiałam to, gdy włożył mi rękę pod koszulkę. Przed plebanią nie stał żaden samochód. Nie mogłam nic zrobić.

Usłyszałam, że w ten sposób najbardziej mu pomogę.

Po gwałcie ksiądz Michał otwierał mi wszystkie drzwi po kolei. Poszłam na tramwaj, wróciłam do domu, umyłam się, zasnęłam.

Rano rodzice poprosili, bym przewiozła im obiad na działkę. Połknęłam wszystkie leki, które były w domu, i popiłam „Kubusiem”. Działały wolno. Próbowalam się pociąć. Nie udało się. Przestraszyłam się swojego wyglądu w lustrze. Potem na trzy dni urwał mi się film. To wtedy, zapewne mającąc, opowiedziałam o wszystkim siostrze.

Mama spotkała się z księżmą z parafii. Poinformowano arcybiskupa Głódzia. Pouczył księdza Michała, by nie zajmował się „jakimiś miłostkami”, ale duszpasterstwem. A ksiądz zaczął do mnie wydzwaniać. Raz, jeden raz, odebrałam. „Przecież wiesz, że jak coś komuś powiesz, to będziesz całkiem sama. Stracisz przyjaciela, zabiorą mnie” – usłyszałam.

Powiedział: będzie niespodzianka

Pisał SMS-y. Przekazywałam je drugiemu księdzu ze wspólnoty. Dotarły do biskupa. Po miesiącu znów telefon. Płakał. Mówił, że chce przeprosić, zaprosił do siebie.

Jakie miałam prawo mu nie wybaczyć? Miałam w głowie zdjęcie Jana Pawła II, który wybacza Alemu Ağcy. Przecież katolik wybacza nie siedem, ale siedemdziesiąt siedem razy. A on powiedział, że po mnie przyjedzie, i że będzie niespodzianka.

Gdy wsiadłam do auta, gdzieś zadzwonił. Myślałam, że rezerwuje stolik w restauracji. Rezerwował saunę w hotelu. Do dziś pamiętam, że wisiała na nim reklama „Shreka”. Mężczyźni, którzy byli wtedy w saunie, wyszli, gdy nas zobaczyli.

Po wszystkich mnie odwiózł. Mama zadzwoniła do biskupa. Powiedziała, że jeśli się go nie pozbędą, zadzwoni do telewizji. Trzy dni później księdza Michała przeniesiono.

„Traci na tym całą grupę”

Chciałam być daleko od tamtego miejsca, więc przeprowadziłam się do dziadków. To dzięki nim zdałam maturę, poszłam na studia na Akademii Marynarki Wojennej i skończyłam je z wyróżnieniem.

Dołączyłam też do duszpasterstwa akademickiego. Tam poznałam zakonnik, który został moim spowiednikiem. Poza spowiedzią opowiedziałam mu o księdzu Michale. Po tygodniu dostałam SMS-a, że zgłosił sprawę na policję i do kurii. By-

łam wtedy w pracy, to był chyba 13 października, godzina na pewno piętnasta. Pamiętam to, bo wtedy zawało mi się życie. Nie zapytał, czy jestem na to gotowa. Nie porozmawiał ze mną, podjął decyzję za mnie. Rozwalił mi ułożone życie. Rozwalił wszystko, co udało mi się odbudować. Wrócił zespół stresu pourazowego (PTSD). Nie mogłam jeść. W dwa miesiące straciłam 10 kilo.

Po wigilii wyrzucił mnie z duszpasterstwa. Powiedział mi: „Kiedy jesteś, to czuję, że sytuacja jest napięta. Traci na tym cała grupa”. Ci, którzy zostali, usłyszeli, że sama odeszłam.

Myślę, że ten zakonnik do tej pory nie ma świadomości, co zrobił. Moja lekarka próbowała się z nim umówić na spotkanie we czwórkę: ja, ona, on i jego przeor. Ale oni przecież nie rozmawiają o swoich błędach i problemach. Kilka razy mijałam go na ulicy. Miał szczęście, że nie szedł sam, bo miałam ochotę go uderzyć.

Wiem, co to jest PTSD. Nauczyłam się go „obsługiwać”. I dlatego sama nie zgłosiłabym wtedy tej sprawy. Bo do tego trzeba być przygotowanym, mieć świadomość przez co się przeszło. Nie chcę nikogo zmuszać do zgłaszania takich spraw w sposób, w jaki zmuszono mnie.

Wiem jednak, jak działają ludzie, którzy tego doświadczyli. Tacy ludzie nie myślą o tym, że to problem, że stała im się krzywda. Oni myślą, że to, że są ofiarą, że dzieje im się krzywda, jest problemem – nie tylko dla nich, ale też dla innych. I że trzeba z nim skończyć.

Wiem, jak ich wesprzeć. Żeby przygotować ofiarę molestowania do procesu są-

**ZRA-
NIENI**
W KOŚCIELE



TELEFON WSPARCIA
w każdy wtorek w godz. 19–22

800 280 900

dla osób dotkniętych
przemocą seksualną



www.zranieni.info

„Zranieni w Kościele” to środowisko i telefon wsparcia prowadzone przez świeckich katolików.

dowego, nie chodzi o jej rozumienie, ale również o współodczuwanie. Świetnie, że dzięki zgłoszeniu złapaliście pedofila czy gwałciiciela – ale gdzie w tym była ich ofiara? Co z nią zrobiliście?

Razem

Na szczęście był inny zakonnik, który mi pomógł i wziął na siebie to, co się ze mną działo – moje emocje, PTSD, żal i ból. A potem nie odepchnął, nie uciekł. To on uratował moją wiarę w to, że ksiądz może być dobrym człowiekiem. I chyba tylko dzięki niemu zostałam w Kościele.

Był ze mną cały czas. Siedział po kilka godzin na korytarzu, gdy byłam w kurii. Zawsze mogłam do niego zadzwonić, spotkać się – ale, na jego prośbę, tylko w publicznym miejscu – i pogadać. Postępował mądrze, tak że czułam się bezpieczna.

Po najgorszych dla mnie zeznaniach w prokuraturze mówił, że się na tym nie zna, ale że chce mnie zabrać na zakupy. Spędziliśmy kilka godzin w centrum handlowym. Nie ciągnął do kościoła, by „dziękować Panu Bogu”. Było normalnie, po prostu.

Zostałam

Nie wierzę, że w Kościele coś się zmieni. Tak bardzo brakuje przyznania się do winy przez Episkopat! Ludzie uciekają z Kościoła, a co z biskupami? Jest ich chyba dziewięćdziesięciu. I ani jednego, który mówi „przepraszam”. Zapyta: „Co możemy dla was, dla ofiar, zrobić?”.

Marzyłabym, żeby wyruszyli w Polskę i osobiście, w imieniu Kościoła, przeprosili ofiary molestowania – inaczej na uratowanie tu Kościoła nie ma chyba szans. Rozumiem tych, którzy odchodzą i mówią, że „nie chcą być członkami mafii”.

Ja sama nie odejdę. Wierzę w Boga, wierzę, że Jezus żyje, i że to On wymyślił Kościół i Eucharystię. Miałam też doświadczenia, których nie umiem sobie wyjaśnić. Wiem, że w Kościele jest coś, a raczej Ktoś – ponad.

Bardzo cenię takie działaczki jak Justyna Zorn. Bardzo wątpię jednocześnie, by ktoś wyszedł do niej lub do mnie. Takich ludzi jak ja czy ona traktuje się w Kościele jak wrogów. Jesteśmy niewygodni. Księża nie wierzą, że mogę im pomóc, że mogę pomóc ofiarom ludzi Kościoła. Nie chcą, abym im pomagała.

- **KSIĄDZ MICHAŁ L.** zgwałcił Agnieszkę dwukrotnie w 2011 r. Miała wtedy 17 lat.
- Michał L. do września 2019 r. był kapłanem w archidiecezji gdańskiej. W tym czasie przenoszono go pięciokrotnie z parafii do parafii. Proboszczom nie mówiono o powodach przenosin.
- 7 października 2020 r., po kilkumiesięcznym procesie, Michał L. został skazany prawomocnym wyrokiem na 10 lat pozbawienia wolności. Sąd zakazał mu kontaktowania się z Agnieszką oraz zbliżania się do niej na odległość mniejszą niż 50 metrów przez najbliższe 15 lat.
- Nigdy już nie będzie mógł pełnić funkcji związanych z opieką nad małoletnimi, musi zapłacić 100 tys. zł zadośćuczynienia.

Jeśli chcesz wesprzeć marzenia Agnieszki o pomocy osobom skrzywdzonym, skontaktuj się z autorem: kmwilczynski@gmail.com

Nie chciałam patrzeć

Mnie bardzo pomógł mój prawnik, Patryk Łukasik – jego profesjonalizm i chłodna głowa. Choć sam przyznał potem, że podczas pierwszej rozprawy nie wiedział, jak się wobec mnie zachować. Leżałam wtedy pod ławą. Bałam się. Nie chciałam patrzeć na księdza Michała.

Potem mówił, że bym się wyprostowała i patrzyła mu w oczy. Pisał mi karteczki na aktach, takie liściki jak w podstawówce, komentując wszystko moim językiem. Był ze mną cały czas, te dwa lata – tyle trwał proces.

Pomogła rodzina. Nasze więzi nigdy nie były słabe. Ale to, co zrobili w czasie procesu, sprawiło, że kochamy się na zabój. Im też się wtedy oberwało – obrona księdza Michała wyciągała przeciwko nim różne rzeczy. Przeszliśmy przez to razem.

Dzięki bliskim

Słowo „fundacja” źle mi się kojarzy, bo w fundacjach najczęściej chodzi o to, że

jest ktoś biedny, komu się daje pieniądze. A ofiarom Kościoła kasę trzeba dawać od ręki – inna sprawa, że tak naprawdę ona niczego nie załatwi. Tu chodzi o coś więcej.

Mojej samoświadomości, tego zdjęcia etykiety, nie zbudowałam w czasie terapii czy dzięki lekom, które jakiś czas brałam. Uwolniłam się od takiego myślenia o sobie dzięki bliskim mi ludziom, którzy – gdy mówiłam, że jestem problemem – potrafili powiedzieć: „stop”. Pokazywali, co robię dobrze. Robili to ze mną. Byli ze mną. Dzięki temu zobaczyłam inną prawdę o sobie niż „zgwałcona”.

Nie sądzę, by takie działania, jakie planuję, były możliwe w Kościele. Tu zbyt często załatwia się problemy słowami: „pomodlę się za ciebie”. Modlitwa nie wystarczy. Znalezienie mądrego księdza jest trudne. A przecież najbardziej potrzebna jest mądra obecność, a nie wyrzucenie kogoś ze wspólnoty, rekolekcje albo spowiedź, w czasie której słyszysz od przypadkowego księdza: „jesteś na prostej drodze do piekła”.

Ja to przeżyłam – i nie pomogło.

Tak długo jak piłka wytrzyma

Teraz pracuję w przedszkolu naukowo-sportowym, jestem edukatorką i trenerką. Moja terapeutka mówi, że to może dlatego, że wiem, iż dziecko mnie nie skrzywdzi. Ale to nie o to chodzi. Nie ma nic lepszego na świecie od patrzenia na to, jak rozwijają się dzieci.

Lubię widzieć, jak są zaangażowane. Gdy chcą ćwiczyć, gdy pytają, czy robią coś dobrze. Są to momenty, w których wiem, że wspólnie odnosimy jakiś sukces.

Mam też taki pomysł: chciałabym pojechać do sierocińca, na przykład do Ameryki Południowej. Taki wyjazd przyniósłby mi satysfakcję. Pracuję w prywatnym przedszkolu, w którym dzieci chodzą w markowych ciuchach. Ale przecież gdzieś, nie tak daleko, są takie czterolatki, które nie mają co jeść.

I nie chodzi o to, by wykarmić wszystkie dzieci. Ale drobne kroki też się liczą. Pamiętam historię człowieka, który rozdawał piłki w azjatyckich slumsach. Dla tych dzieci to było jak przywrócenie dzieciństwa. Choćby na te kilka godzin, tak długo jak piłka wytrzyma.

© KAROL WILCZYŃSKI

Moja globalna parafia

ANNA JASTRZĘBIEC-WITOWSKA

Pandemia może zmienić oblicze Kościoła w Polsce, ale to nie pandemia wyprowadzi z niego ludzi.

OD POŁOWY PAŹDZIERNIKA KORZYSTAM z dyspensy od uczestnictwa w mszy w niedziele i święta. Wcześniej przydała mi się kwarantanna, a wiosną, tak jak wszystkim, lockdown i poprzednia dyspensa. Nie mam grzechu ani zasługi, ani też dylematu, czy to właściwe być kolejną osobą, której obecność na Eucharystii stanowiłaby przekroczenie limitu uczestnictwa.

Jestem z diecezji tarnowskiej – u nas nie musimy się martwić, że wierni nadmiernie korzystają z dyspensy, bo tak nie jest. Przypuszczam, że jestem w mniejszości. Nie oznacza to, że nie jest mi smutno, że niedzielna msza nie jest dla mnie fizycznym pójściem do kościoła. Wiele razy myślałam, żeby może iść, bo przecież inni wierni nie przejmują się limitami. Czemu ja mam być „pod liniijkę”? Jednak całe moje dorosłe życie zbudowałam wokół bycia osobą odpowiedzialną za siebie i innych, akceptując różne trudności i małe poświęcenia w imię większego dobra. Moje momenty przekraczania uznanych norm były nieliczne, najczęściej mocno odżałowane, a powrót „pod liniijkę” przynosił ulgę.

Niespodziewane możliwości

W pandemii pogodziłam się z czasową utratą normalności. Nie pojechałam na wakacje, nie urządziłam imprezy imieninowej, w wyborach głosowałam korespondencyjnie. Moja córka miała skromną, kameralną komunię w gronie najbliższych i urodziny na wolnym powietrzu, gdy latem poluzowano obostrzenia. Nie przeszkadza mi, że ograniczając aktywność społeczną w dobie epidemii mogę być porównywana do Michaela Jacksona, który najbardziej bał się zarazków, a i tak umarł młodo. Ja znam swoją motywację i wiem, że robię to w nadziei, że kiedyś będą jakieś wspólnotowe owoce moich wyrzeczeń.

W czasie pandemii słowo „wspólnota” sprawia mi jednak pewien kłopot, bo do-

tąd wspólnotę utożsamiałam z tym, co lokalne, fizycznie bliskie, a obecny czas wzmożonego siedzenia w domu daje wrażenie jakiejś globalnej kwarantanny na wszystkich kontynentach. W tym momencie dla mnie wspólnotą są ludzie, którzy tak jak ja poważnie podchodzą do tematu utrzymania stabilności zdrowia publicznego w dobie epidemii.

Cotygodniowa, a nawet częstsza msza online także zmienia moją optykę wspólnoty. Bardziej czuję się częścią globalnego Kościoła niż parafianką w swoim mieście. Nie jest to uderzenie w parafię, która w pełni zaspokaja potrzeby wielu osób, w tym moich rodziców, ale poszukiwanie własnego katolicyzmu w szerszym kontekście nieograniczonego Boga i jego Kościoła. Wielu katolikom w mojej części Polski odpowiada retoryka karzącego palca Bożego, a moje potrzeby duchowe są inne i pozostają trudne do zrealizowania na gruncie lokalnym, gdzie przeważa narracja konserwatywna.

Odczuwam to zwłaszcza teraz, gdy globalny czas choroby i umierania jest wołaniem o miłosierdzie Boga i dla siebie nawzajem. Znamienne jest to, że towarzyszące mi od dawna pragnienie, by poznać mój Kościół bardziej miłosierny i bardziej różnorodny, stało się możliwe do zrealizowania w pandemii, przy wykorzystaniu internetu i daru rozumienia języka angielskiego. Odwiedziłam w ten sposób wiele miast w Kanadzie, USA, Irlandii, a także katolicką misję amerykańską w Berlinie. Wielu moich znajomych i krewnych mieszkających za granicą zapraszało mnie do swoich kościołów, z czego chętnie korzystałam.

Podróże online

Wielkanoc obchodziłam w niewielkim, zabytkowym kościółku w Loudonville, w amerykańskim stanie Ohio, a potem późną jesienią modliłam się tam również za ofiary HIV/AIDS w niedzielę poprzedzającą Światowy Dzień Walki z AIDS.



Poleciłam ten kościół moim polskim znajomym, zmęczonym walkowaniem tematyki grzesznego seksu ludzi świeckich. Byli wdzięczni za przesłanie radości chrześcijaństwa, które tam otrzymali, i za inspirację do niesienia pomocy potrzebującym.

W Niedzielę Miłosierdzia wybrałam się do Berlina i cieszyłam się, że Jan Paweł II jest nadal szczerze doceniany na Zachodzie właśnie z powodu usankcjonowania roli miłosierdzia w dziele zbawienia. Nawet przy ogólnie mniej entuzjastycznej ocenie jego pontyfikatu niż ta, do której jesteśmy przyzwyczajeni w Polsce, Karol Wojtyła pozostaje kimś ważnym w dziedzictwie Kościoła powszechnego jako człowiek wiary i przebaczenia oraz papież niezwykle trudnych czasów. Warto pamiętać, że nie stał się nagle postacią negatywną, a stawiane obecnie w Polsce i na świecie bolesne pytania o odpowiedzialność Kościoła za czyny pedofilskie i inne grzechy przeciw godności ludzi młodych czy zależnych nie oznaczają negacji jego wielkości czy świętości. Rozważania o błędach przeszłości, by uniknąć ich w przyszłości, nawet za cenę odrobiny niższego piedestału dla naszego wybitnego rodaka są moim zdaniem potrzebne.

Ks. Richard Reid przygotowuje internetową transmisję mszy z kościoła Matki Bożej w Clapham, Londyn, kwiecień 2020 r.



HENRY NICHOLLS / REUTERS / FORUM

Mierząc się z trudnymi tematami słuchałam w Katedrze Chrystusa Króla w Lexington, w stanie Kentucky, kazania biskupa Johna Stowe'a, który w Niedzielę Dobrego Pasterza potępił manipulacje i zwodnicze działania tych duszpasterzy, którzy obdarzeni zaufaniem owiec perfidnie je wykorzystali – a mieli przecież zapewnić im bezpieczeństwo na drodze do zbawienia. Głos pasterza powinien być zawsze jednoznaczny, pozbawiony podstępów i prowadzący do Chrystusa.

Innym razem w tym samym kościele uczestniczyłam w komunii i bierzmowaniu dorosłej kobiety, dzieląc jej radość i wzruszenie, a w niedzielę Chrystusa Króla królewskie atrybuty Jezusa rozważałam przez pryzmat upokorzeń męki Pańskiej i wywyższenia na krzyżu. Zmartwychwstały Król przychodzi w chwale nie po to, by napawać się tryumfem, ale po to, by zadbać o dobro tych, których ukochał bezwarunkowo.

W Edmonton w Kanadzie oddawałam co boskie Bogu, a co cesarskie cesarzowi. Podkreślając nadrzędny charakter prawa Bożego biskup Richard William Smith zaznaczał, że praw ludzkich i norm życia społecznego nie należy lekceważyć, zwłaszcza jeśli wynika z nich jakieś sze-

rzej rozumiane dobro. Odniósł to do przestrzegania zasad bezpieczeństwa w czasie pandemii i podkreślił rolę rodzin i Kościoła domowego w budowaniu wspólnego domu Bożego w życiu doczesnym, co oddziałuje na Królestwo Boże w wieczności.

W Polsce aspekt bezpieczeństwa i odpowiedzialności obywatelskiej w walce z chorobą niestety nie doczekał się aż takiej walidacji, ale pozytywne zaskoczenie przeżyłam w niedzielę Świętej Rodziny w Łęgu Tarnowskim (Zamoście), gdzie nie tylko pięknie podkreślono rolę domu i rodziny w budowaniu kościelnej wspólnoty, lecz także wypracowano ogólną wspólnotową zgodę w kwestii przyjmowania komunii na rękę. Kapłan, który nie wstydził się publicznie dezynfekować rąk przed podaniem komunii wiernym, nie tylko zadbał o powierzonych mu parafian, ale też okazał im szacunek i wdzięczność za osobiste przybycie na Eucharystię. W diecezji, gdzie takie standardy nie są oczywiste, jest to chlubny przykład wzajemnej troski w tej parafii.

Gorycz i perły

Nie zamykając się na polski katolicyzm, brałam udział w mszach w różnych czę-

ściach kraju, także w mojej diecezji i parafii. Nawet w obrębie kraju mamy różnorodność, ale zasadniczo widać dwa nurty postrzegania roli dziecka Bożego. Nurt pierwszy z silnymi akcentami konserwatywnymi i inklinacjami przedsoborowymi, które są nadal mocne nie tylko w obrządku trydenckim, oferuje archetyp dziecka Bożego, które zostanie sprawiedliwie osądzone i ma się czego bać. Drugi nurt, który całkiem niedawno przypomnieli mi warszawscy dominikanie na Freta, to afirmacja dziecka Bożego, z którego Bóg pragnie być dumny. W obu przypadkach chodzi o zachowanie przykazań i ludzkiej godności, ale dla mnie możliwy zachwyt Boga nad człowiekiem jest dużo piękniejszą obietnicą i motywacją niż strach przed gniewem Boga i miejscówką w piekle. Zamiast przetykać gorycz duszpasterstwa potępiającego inność czy samodzielne myślenie, chcę w ramach mojej wiary szukać pereł.

W Polsce tych pereł było i jest wcale niemało. Niedziela Palmowa w Opolu z ojcem Grzegorzem Kramerem była kameralnie piękna i pełna ciepła. W Tarnowie w parafii Chrystusa Dobrego Pasterza w Nowy Rok poczułam się dowartościowana jako matka i wdzięczna za miłość moich dzieci, a także bardzo potrzebna w zwyczajności dnia codziennego. W Łodzi u jezuitów uczyłam się współpracy z Duchem Świętym, a u dominikanów usłyszałam, że zaraz po swoim zmartwychwstaniu Jezus ukazał się kobietom, żeby je docenić – w czasach, gdy kobiety niewiele znaczyły w swoich społecznościach. Czyniąc je świadkami Dobrej Nowiny, wywyższył je i wskazał ich znaczenie dla Kościoła, które współcześnie powinno być lepiej zaznaczone. Chciałabym, żeby było, bo głos kobiet nadal nie jest tym, który Kościół w Polsce chce usłyszeć. Pytania kobiet są denerwujące, ich emocje traktowane po seksistowsku, jako histeria, ich intencje podejrzane i kwestionowane.

W Polsce raczej nie uda się zobaczyć kobiety rozdającej wiernym komunie i to jeszcze na rękę. Zobaczyłam to w Irlandii, również u dominikanów, i poczułam ukłucie zazdrości.



Wartość różnorodności

→ I to właśnie tam, w Galway w Irlandii, pięć dni przed Bożym Narodzeniem, z ust starszego, z trudem poruszającego się kapłana padły słowa, że łatwiej zbudować kościół niż wspólnotę. W tym samym kazaniu zaznaczył, że Jezus jest naszym najpiękniejszym prezentem na Boże Narodzenie i rozpakowując ten prezent, mamy obowiązek dzielenia go z innymi. Jestem wdzięczna, że Jezus dzisiaj żyje w bogactwie różnorodności Kościoła i tym chciałabym się podzielić z tymi, którzy również pragną szerszej wspólnoty. Dla mnie Kościół w dobie pandemii to globalna parafia, w ramach której Jezus zaprasza mnie do przyjmowania jego słów wypowiedzianych w różnych językach i z różnymi akcentami, do miłosiernego spojrzenia na bliźniego, a przede wszystkim do powszechności zbawienia.

Pandemia może zmienić oblicze Kościoła w Polsce, ale to nie pandemia wyprowadzi z niego ludzi. Duchowni o tym wiedzą, ale niewielu przyzna się do odpowiedzialności swojego stanu za zniechęcenie wiernych, którzy przyjaśniają się z gejami i nie głoszą na prawicę. Niewielu też dostrzeże niezgodę dużej części katolików na podwójne standardy moralne stosowane wobec świeckich i kleru i na różne oceny bardzo podobnych grzechów.

Na razie w południowej Polsce przywiązanie do Kościoła jest silne. Obawy, że osoby korzystające z dyspensy opuszczą Kościół na stałe, są raczej przesadzone. Katolicy regularnie obecni na mszach online w większości mają szczerą intencję powrotu do regularnych praktyk w stacjonarnym kościele. Możliwe, że znajdują się między innymi i tacy, którzy po opanowaniu sytuacji epidemicznej niejedną niedzielę planować będą wokół mszy w innej miejscowości niż ta, w której mieszkają. Nadal jednak Eucharystia będzie dla nich esencją niedzieli. Nie wróćą zaś ci, którzy odejście już od jakiegoś czasu brali pod uwagę, być może dlatego, że Kościół w Polsce o nich nie zawalczył dobrym słowem, przyjaznym gestem czy szczerym zrozumieniem.

© ANNA JASTRZĘBIEC-WITOWSKA

Autorka jest socjolożką, absolwentką UJ i University of Exeter w Wielkiej Brytanii, tłumaczką tekstów akademickich, pracownicą samorządową.



Rosario Livatino (w środku) z rodzicami i przyjaciółmi, zdjęcie niedatowane, Palermo, Sycylia

Nietykalny

BARTOSZ HLEBOWICZ Z FLORENCJI

**Wierzył w Boga i prawo,
a wymierzanie sprawiedliwości
było dla niego modlitwą.
Kościół beatyfikuje
zamordowanego przez mafię
sędziego Rosaria Livatino.**

URODZIŁ SIĘ W CANICATTÌ NA SYCYLII. Ze względu na młody wiek, uczciwość i „jasne spojrzenie” Rosaria Livatino nazywano *giudice ragazzino* – sędzią-chłopakiem. Ściągał mafię sycylijską i z jej rąk zginął. Kościół katolicki uznał, że poniósł śmierć męczeńską „*in odium fidei*”, czyli został zabity z nawiąski do wiary.

Sędzia pomocniczy Livatino miał niespełna 38 lat, gdy 21 września 1990 r. czterech wynajętych przez mafię bandziorów wykonało wyrok. Dopadli go na autostradzie z Canicattì do Agrigento, w którego sądzie pracował i gdzie tego samego dnia miał wydać rozporządzenia co do konfiskaty mienia sycylijskich bossów. Drogę tę pokonywał codziennie swoim amaranowym fordem fiesta. Nigdy z eskortą. Cztery kilometry przed Agrigento zamachowcy otworzyli

ogień, a potem staranowali jego samochód. Ranny Livatino próbował salwować się ucieczką przez pola, ale dosięgły go kule. W sumie kilkadziesiąt. Ostatnia prosto w twarz. Znalaziono przy nim notes, w którym widniał tajemniczy skrót „S.T.B.”. Te same inicjały powtarzały się w jego licznych zapiskach. Dopiero po jakimś czasie śledczy zrozumieli, że był to skrót od „*sub tutela Dei*” – pod boską opieką.

W owym czasie Sycylia pogrążona była w międzymafijnych porachunkach, których ofiary liczono w dziesiątkach, podobnie jak zabitych prokuratorów, spośród których Livatino był najmłodszy. Zabójcy działali na zlecenia Stiddy (gwiazdy), czyli grupy, która wyłamała się z Cosa nostra. Canicattì była ośrodkiem miliardowych mafijnych transakcji. Livatino, jako sędzia, a wcześniej przez dziesięć lat (1979-89) jako zastępca prokuratora w Agrigento, zwalczał klany mafijne i Stiddy w Canicattì i Palma di Montechiaro, doprowadzając do konfiskaty wielu ich posiadłości.

Jak zgodnie twierdzą dziś włoscy dziennikarze śledczy i prokuratorzy, Livatino był ofiarą nie tylko mafii, ale panującego ówczesnie klimatu tolerowania czy wręcz współpracy ze światem przestępczym. W Canicattì, gdzie mieszkał wraz z rodzicami, panowała harmonia między mafią (wielu jego sąsiadów należało do mafijnych klanów), publiczną administracją i światem biznesu.

Podobnie jak paru innych „sędziów-dzieciaków”, którzy w tamtym okresie pojawili się we włoskim systemie sprawiedliwości, Livatino był rewolucjonistą. Jako jeden z pierwszych zaczął stosować normatywę antymafijną, dopuszczającą konfiskatę posiadłości ruchomych i nieruchomości sycylijskich bossów. O tym, z jakim murem się zderzał, świadczy fakt, że wiele jego postanowień uchylano w sądach wyższej instancji.

Duchowe zaangażowanie

Livatino znany był ze swej religijności, aktywnie uczestniczył w życiu miejscowej parafii św. Dominika. Mafiosi pogardliwie zwali go *santo chio* – świętoszek, albo *scimunito* – głupek. Głupi jednak nie był, czego dowodzi pasja i skuteczność, z jakimi konfiskował mafijne mienie. Wizerunkowi prostego, pocziwego urzędnika – jak przedstawiały go niektóre włoskie media – przeczy także to, co pisał na temat wiary i służby publicznej. Oto próbki: „Kiedy umrzemy, nikt nie będzie się pytał, jak bardzo byliśmy wierzący, ale jak bardzo byliśmy godni zaufania”; „Zadaniem sędziego jest podejmowanie decyzji – to jedna z najtrudniejszych rzeczy, do których człowiek jest powołany. I właśnie dzięki temu wyborowi, by decydować, by rozkazywać, wierzący sędzia może odnaleźć więź z Bogiem. To związek bezpośredni, ponieważ wymierzanie sprawiedliwości jest samorealizacją, jest modlitwą, jest oddaniem się Bogu. To także związek pośredni – poprzez miłość do osoby osądzanej. U niewierzącego sędziego odniesienie do transcendencji zostaje zastąpione odniesieniem do zbiorowości, społeczeństwa, ale duchowe zaangażowanie pozostaje to samo. Jeden i drugi, w momencie podejmowania decyzji, musi porzucić wszelką pychę i próżność, musi w pełni poczuć ciężar powierzonej im władzy, ciężar tym większy, że władza ta sprawowana jest w wolności i autonomii”.

Pietro Grasso, były krajowy prokurator antymafijny i były marszałek Senatu, pisał o Livatino: „Niezależność pojmował w sposób totalny: jako wiarę w prawo i własne sumienie, staranność w wydawaniu decyzji, ale także jako rygorystyczny sposób życia, wybór przyjaźni, niezgodę na wnikanie się w podejrzaną interesy, odpowiedzialność i humanitaryzm sędziego”.

Odległy przykład

W 1993 r. Jan Paweł II podczas spotkania w Agrigento z rodzicami Livatino nazwał go „męczennikiem za sprawiedliwość i pośrednio za wiarę”. Tego samego dnia, podczas mszy celebrowanej w Valle dei Templi di Agrigento, jako pierwszy papież publicznie potępił mafie, wykrzykując słynne słowa do niej skierowane: „Nie możecie zabijać, nie możecie depać boskiego prawa. Nawróćcie się!”. Mafia odpowiedziała podkładaniem bomb w rzymskich kościołach.

W 1995 r. w Canicatti powstało stowarzyszenie Przyjaciół Sędziego Rosaria Livatino, które postawiło sobie za cel doprowadzenie do jego beatyfikacji.

Luigi Patronaggio, prokurator Agrigento, podczas obchodów 30. rocznicy morderstwa Livatino w grudniu zeszłego roku nawiązał do niedawnych skandali we włoskiej prokuraturze: „Włoski wymiar sprawiedliwości potrzebuje prawdziwej rewolucji moralnej, niezbędnej dla odzyskania wiarygodności i prestiżu. W ostatnich czasach okazało się, że doszło do głębokiego pęknięcia: wymiar sprawiedliwości nie jest bastionem demokracji i wolności, lecz jest uwikłany w afery i klientelizm. Jakże odległy są przykład i zachowanie Rosaria Livatino od naszych czasów”.

W 2019 r. Franciszek powiedział, że Livatino jest „przykładem nie tylko dla sędziów i prokuratorów, ale dla wszystkich, którzy zajmują się prawami człowieka: ze względu na spójność swej wiary i poświęcenia w pracy, a także na aktualność jego przemysłów”.

Cafiero de Raho, pełniący dziś urząd krajowego prokuratora antymafijnego, który karierę prokuratorską rozpoczynał razem z Livatino (Livatino w Agrigento, de Raho w Mediolanie), ocenia: „Wiara nie była czynnikiem opóźniającym jego działania jako prokuratora, przeciwnie: była elementem, który tylko dodawał mu siły do pełnego egzekwowania sprawiedliwości. Nie wymierzał sprawiedliwości pochopnie, ale był sprawiedliwym sędzią. Z całą surowością odbierał majątek mafiosom. Dlatego był zniechęcony przez mafie, przyzwyczajoną do większej swobody. Wszystkie jego działania nakierowane były na obronę praw i dobrze rozumiał, że mafie są głównym wrogiem wolności, a więc i rozwoju osobowości każdego, kto się z nimi styka”.

Zdaniem de Raho Livatino „z całą mocą realizował wartości ewangelii i Konstytucji” i był wzorem nowoczesnego funkcjonariusza sprawiedliwości: „surowego w wymierzaniu prawa, ale jednocześnie wyrozumiałego. Był sędzią, który chce rozumieć przestępców, pomagać im w rehabilitacji”. A to, podkreśla prokurator, jest „ideą chrześcijaństwa i jednocześnie naszego wymiaru sprawiedliwości w sensie wskazanym w Konstytucji”. I jeszcze: „Nie był karierowiczem, nie siedł z nikim na żadne układy – dlatego został zabity”.

21 grudnia zeszłego roku Franciszek dekretem ustanowił Livatino męczennikiem zabitym „in odium fidei”. Ceremonia beatyfikacji nastąpi prawdopodobnie wiosną – jeśli sytuacja epidemiczna na to pozwoli. Odbędzie się w Agrigento. ©

POZEGNANIE

W dniu 14 stycznia 2021 r. pożegnaliśmy

Ś.†P.

Jana Korzeńca

byłego wicewojewodę śląskiego, prezesa Huty Ferrum,
a przede wszystkim wspaniałego męża, ojca, dziadka.
Człowieka mądrego miłością i wiarą. Byłeś dla nas wzorem.

„Wieczność umarłych dotąd trwa, dokąd pamięcią im się płaci...”

Janek, będziemy płacić.

UŁA I HENIEK Z RODZINĄ

Sakrament lojalności

ARTUR SPORNIAK

Łamanie charakterów młodych ludzi w ramach przygotowania do bierzmowania to antyewangelizacja.

NIE WIEMY, CO POMYŚLAŁ PROBOSZCZ z Ropicy Polskiej koło Gorlic, gdy dowiedział się, że wśród uczniów, których przygotowuje do bierzmowania, troje zamieściło w mediach społecznościowych symbole Strajku Kobiet – ks. Stanisław Makowiecki nie chce rozmawiać z mediami. Sprawa zrobiła się głośna, kiedy swoim podopiecznym duchowny postawił ultimatum. Jeśli chcą być dopuszczeni do sakramentu, muszą podpisać oświadczenie następującej treści:

„Ja, niżej podpisany(a) kandydat (kandydatka) do Sakramentu Dojrzałości Chrześcijańskiej, wobec Chrystusa obecnego w Najświętszym Sakramencie oświadczam, że nie popieram tzw. strajku kobiet: postulatów i żądań sprzecznych z treścią i zasadami naszej katolickiej wiary, na co mogły wskazywać obecne na moim koncie na fejsbuku przez dłuższy czas i rozpowszechniane wśród kolegów i koleżanek materiały pochodzące ze strony strajku kobiet i moje osobiste zdjęcie(a). Usunąłem (usunęłam) już ze swojego konta powyższe treści, bądź uczynię to w dniu..... Proszę Pana Boga o przebaczenie moich nierozsądnych zachowań i postanawiam przy pomocy Ducha Świętego, być dzielnym świadkiem i apostołem Chrystusa, Pana mojego” (pisownia oryginalna).

Zadziałał odruch odwołania się do władzy. Proboszcz nie wykorzystał okazji do rozmowy z młodymi ludźmi. Mógł przecież zapytać ich, jak rozumieją swój udział w Strajku Kobiet i czy nie przeszkadza im antykościelność protestów. Zamiast tego zażądał bezwarunkowej lojalności, określonej na jego zasadach – tu nie ma miejsca na dyskusję, czy rzeczywi-

ście wszystkie postulaty Strajku Kobiet są sprzeczne z zasadami katolickiej wiary. Publiczna samokrytyka i zgoda na przykrojenie rzeczywistości do optyki proboszcza okazały się „ceną” za sakrament.

Pytany o tę sprawę ks. Piotr Steczkowski – kanclerz kurii rzeszowskiej, której podlega parafia w Ropicy – nie widzi problemu. „Jednym z ważnych elementów przygotowania do sakramentu bierzmowania jest weryfikacja spójności między deklarowaną wiarą kandydatów a podejmowanymi decyzjami i ich zachowaniem. Proboszcz parafii w Ropicy Polskiej, w związku z wątpliwościami czy owa spójność występuje u trzech osób z grupy przygotowującej się do przyjęcia bierzmowania, poprosił je o złożenie pisemnych deklaracji potwierdzających ich wybory moralne. Dzięki temu pomógł im podjąć decyzję o przystąpieniu do sakramentu bierzmowania nie tylko w sposób wolny, ale także bardziej świadomy, co zasługuje na uznanie” – napisał w oświadczeniu.

Tym samym kuria rzeszowska wsparła wizję Kościoła, w której ważniejsze od człowieka są struktury, a posłuszeństwo od wolności i dojrzałości. Nieważne, że takie ustawienie priorytetów przynosi od dłuższego czasu Kościołowi same kłopoty.

Bierzmowanie nazywane jest sakramentem dojrzałości. Dojrzałość przejawia się m.in. w zdolności trafnego opisu i właściwej oceny rzeczywistości. A ta z kolei wiąże się z umiejętnością rozróżniania i precyzowania. Utożsamianie udziału w Strajku Kobiet z postawą antyreligijną jest uproszczeniem fałszującym rzeczywistość. W protestach uczestniczy wielu katolików, którym zależy właśnie na dobru Kościoła. Protestują, bo przede

wszystkim nie godzą się na sojusz ołtarza z tronem. O rozdziale Kościoła i państwa naucza Sobór Watykański II w Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym, przypominając, że Kościół, ze względu na swą misję i naturę, nie jest „związany z żadną formą kultury ludzkiej albo systemem politycznym, gospodarczym czy społecznym” (42). Wierzący protestują także przeciwko marginalizowaniu głosu kobiet w Kościele. O tej marginalizacji wielokrotnie wspominał papież Franciszek. W Polsce jest ona wyjątkowo dotkliwa. Sprzeciwu wobec ukrywania pedofilów w Kościele nie trzeba uzasadniać.

Wielu protestujących katolików zastrzega, że nie utożsamia się ze skrajnymi postulatami, np. z aborcją na życzenie. I jednocześnie wielu broni naruszonego przez PiS kompromisu antyaborcyjnego. W tej chwili wygląda na to, że jest on jedynym możliwie trwałym politycznym rozstrzygnięciem, a o wspieraniu realistycznych rozstrzygnięć pisał Jan Paweł II w encyklice „Evangeliū vitae” (73). Warto też przypomnieć niedawne słowa teologa Domu Papieskiego o. Wojciecha Giertycha OP, że „prawo karne nie jest prostą kalką prawa moralnego” – to bardziej skomplikowane!

Dlatego doradzam tym trzem młodym osobom: przekazcie proboszczowi własne oświadczenia, w których uzasadnicie, jak rozumiecie swoje poparcie dla Strajku Kobiet zgodnie ze swoją wiarą (kopię wyślijcie kanclerzowi kurii rzeszowskiej). Sakrament bierzmowania jest czymś ważnym. Ale nie tylko o niego warto walczyć. Warto powalczyć o własną dojrzałość, a przede wszystkim – o poczucie godności. ©P



JACEK TARAN

Demonstracja Strajku Kobiet pod krakowską kurią, 25 października 2020 r.

WOJCIECH

Bonowicz:

Prawda, która nie jest prawdą



NIEKTÓRYM LUDZIOM KŁAMSTWA NIE PRZESZKADZAJĄ, PRZESZKADZA IM DOPIERO, GDY KŁAMCY WYŁĄCZY SIĘ MIKROFON. Jest tak dlatego, że kłamstwo, które jest nam miłe, traktujemy jak pogląd – taki jak każdy inny. „Nie bronimy kłamcy – powiedzą obrońcy – tylko prawa do wypowiedzania poglądów”. „Ale przecież kłamał tyle razy – wołamy zażenowani – a teraz jeszcze swoimi wezwaniami doprowadził do rozruchów”. „Nie, to chodzi o poglądy”, upierają się obrońcy, a potem przechodzą do ataku: „Z wami tak to już jest – mówią – bronicie wolności słowa tylko wtedy, gdy ktoś mówi to, co chcecie usłyszeć”.

To prawda: uważam, że Donald Trump nie miał nic ciekawego do powiedzenia, a czas jego rządów to dla Ameryki czas zmarnowany. Być może to, jaki był, podziela na Amerykanów otrzewniając, ale na razie zniszczenia są zbyt duże. Prowadzenie polityki tak skrajnie sprywatyzowanej, skoncentrowanej na własnym interesie (bo nawet nie na interesie partii, a tym bardziej jej wyborców), na kreowaniu i podtrzymywaniu określonego wizerunku samego siebie, a często sprowadzającej się wręcz do poprawy własnego nastroju, jest egoizmem i niczym więcej. Sam Trump interesuje mnie mało. Ciekawe jest to, dlaczego tak wielu potraktowało go serio. Gdyby nie był tak zarozumiały i w ostatnim roku rządów zrobił dwie-trzy rzeczy, które poprawiłyby jego notowania, wygrałby kolejne wybory. Dlaczego? W dzisiejszych głosowaniach coraz rzadziej chodzi o sprawy i o to, czy dany kandydat nas reprezentuje, czy nie, a coraz częściej o to, kto

kogo i czyje będzie na wierzchu. Ale ciekawi mnie problem moralny: dlaczego kłamstwa w polityce nie zasługują już na potępienie? I dlaczego ktoś, kto kłamie, może chodzić w głorii obrońcy wartości i chrześcijańskiej cywilizacji?

Piszę o Trumpie, ale rozumiecie, że trochę nie o Trumpie. Piszę o czymś, z czym się zmagamy wszyscy jako społeczeństwo. Kłamstwo nie stało się narzędziem polityki dzisiaj. Było nim zawsze – ale teraz sytuacja zmieniła się o tyle, że możliwości przyłapania na nim są większe. Okazuje się jednak, że większe możliwości nie oznaczają większej determinacji w domaganiu się prawdy. Nawet kiedy jedni się domagają, inni natychmiast znajdują dla kłamcy usprawiedliwienie. Przeczytałem ostatnio ciekawą książkę amerykańskiego filozofa Michaela Patricka Lyncha „Prawda i życie. Dlaczego prawda jest ważna” (na język polski przełożył ją Dawid Misztal). Autor nawiązuje we wstępie do sławnego wystąpienia rzeczniczki prezydenta Trumpa, której podczas jednej z konferencji wymknęło się stwierdzenie, że „prawda nie jest prawdą”. W stwierdzeniu tym, pisze Lynch, „udało się pochwycić zarówno istotę wrogiego stosunku jego administracji do rzeczywistości, jak i postawę »postprawdy«, podkopując fundamenty demokracji na całym świecie. Przez postawę postprawdy rozumiem taką postawę, dla której rozróżnienie na to, co jest prawdziwe, a co takie nie jest, na rzeczywistość i iluzję, ma niewielką wartość, zwłaszcza w sferze społecznej i politycznej”. Przyzwyczajamy się do tego, że istnieje wiele rozmaitych, rywalizujących ze sobą źródeł, a ponieważ trudno nam wszystkie napływające informacje weryfikować, przyzwyczajamy się też do myśli, że prawda jest nieistotna. Taką postawę Lynch nazywa „cynizmem wobec wartości prawdy”.

Cynizm ów jest zawsze w interesie możnych. Trump nigdy nie był obrońcą uciśnionych. Zagospodarował gniew niektórych z nich, ale nic dla nich nie zrobił. Za to snuł miłą dla niejednego ucha opowieść, w której fakty mieszały się ze zmyśleniami. Opowieści władzy, przypomina Lynch, często przebrane są za głos rozsądku. A w naszych czasach – i to może jest najgroźniejsze – „mogą być przebrane za głos waszego przyjaciela, którego echo dochodzi z portalu Facebook”. W rzeczywistości jednak nie są ani jednym, ani drugim. ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Tarnowie, pod sygn. akt I Ns 1369/19, toczy się postępowanie z wniosku Anny Małek, Barbary Bani i Moniki Zduń o stwierdzenie nabycia przez wnioskodawczynię, wraz z Anielą Kozioł, przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Tarnowie, w obrębie nr 0289, w postaci działki ewidencyjnej nr 3/1 o pow. 0,510 ha – powstałej z parcel: budowlanej 157 i gruntowej 561/5 objętych WHL 266 gm. kat. Koszyce Wielkie, w którym jako właścicielkę nieruchomości ujawniono Agatę z Łakomów Kozłową.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Tarnowie i wykazali swe prawa do przedmiotu postępowania o stwierdzenie nabycia z mocy prawa własności nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd może stwierdzić nabycie własności zgodnie z wnioskiem.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku, Wydział I Cywilny, toczy się pod sygnaturą akt I Ns 357/20 postępowanie z wniosku Macieja Maciejowskiego, Marka Maciejowskiego i Marii Maciejowskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Robercie Maciejowskim (nazwisko rodowe Maciejowski), s. Edwarda i Marii, ur. 28 kwietnia 1978 r. w Sanoku, zmarłym 16 czerwca 2019 r. w Londynie.

Wzywa się spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

ŚWIAT



BYLE DO WIOSNY

W walce z epidemią Wielka Brytania notuje rekordy:
liczby zaszczepionych, ale też liczby zmarłych.
Na życie codzienne wpływa również brexit.

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU I PANGBOURNE

Premier Boris Johnson podczas konferencji prasowej na temat sytuacji epidemicznej. Downing Street, Londyn, 26 stycznia 2021 r.

śnie w tamten wtorek Johnson musiał ogłosić, że od początku epidemii zmarło już ponad 100 tys. Brytyjczyków z pozytywnym wynikiem testu na COVID-19. „Czuję ogromny smutek” – mówił, dodając, że przyjmuje za to pełną odpowiedzialność. Choć zaraz zapewnił, że jego rząd zrobił wszystko, co możliwe, by ograniczyć tragiczne skutki epidemii.

Jak do tego doszło? Pytanie, mające wymiar także polityczny, ciąży. Odpowiedzi nie do końca są oczywiste: mamy tu zarzuty o błędną strategię i spóźnione decyzje, ale też okoliczności obiektywne, jak specyfika społeczeństwa (odsetek osób z nadwagą i innymi czynnikami ryzyka). Są też inne pytania: choćby o to, kiedy Wyspy zaczną wychodzić z lockdownu. Na razie mnożą się restrykcje, a wskaźniki bezrobocia są najwyższe od lat.

Jakby tego było mało, w tle jest problem od kilku lat stały – brexit. Pierwsze tygodnie roku 2021, już na dobre poza Unią, przyniosły zaskakująco dużo przykrych niespodzianek.

Paszporty poproszę!

Kolejki do kontroli paszportowej w terminalu nr 2 londyńskiego lotniska Heathrow są dwie: jedna dla obywateli Zjednoczonego Królestwa i krajów Unii (nadal wspólna), druga dla reszty świata. Jeszcze niedawno tej pierwszej w zasadzie nie było: ruch podróżnych był płynny, zwłaszcza że większość korzystała z bramek do elektronicznej kontroli dokumentów.

Jednak teraz, starając się ograniczyć transmisję koronawirusa, a zwłaszcza jego mutacji, Wielka Brytania wymaga od wszystkich przybyszów okazania negatywnego testu na COVID-19. Wprawdzie jest to sprawdzane już przy wejściu do samolotu w Warszawie czy Berlinie, ale Brytyjczycy prowadzą drobiazgową kontrolę także po wylądowaniu.

Kolejka wije się więc przez całą halę przylotów, wypełza na korytarz. Ludzi jest tak wielu, że nie są w stanie utrzymać należącego dziś dystansu. Każdy dokument – paszport, wynik testu, formularz lokalizacyjny – jest sprawdzany. Bramki elektroniczne zamknięte.

Po około godzinie stania jestem dopiero w połowie drogi do stanowisk

straży granicznej. Płaczą dzieci, zdenerwowani ludzie dzwonią do czekających bliskich. „Wiem, ile kosztuje parking! Zwróć ci! Nie, nie wiem, ile to jeszcze potrwa!” – narzeka ktoś z tyłu. Jest gorąco, obsługa rozdaje puszki z wodą. Aby się napić, podróżni zdejmują maseczki.

Po dwóch godzinach stoję przed strażnikiem granicznym. Jest miły, uśmiecha się. Nie wiem, skąd ma na to siłę. Dokumenty w porządku, wszystkie formularze są, można iść.

Witamy na Wyspach!

Osoby wstępnie osiedlone

Trudności w przekraczaniu granicy brytyjskiej są na razie związane głównie z pandemią, a nie z brexitem – bo zgodnie z zawartym porozumieniem do Wielkiej Brytanii można wjechać bez wizy na okres kilku miesięcy. Jednak według portalu Politico niektórzy podróżni z krajów Unii byli już proszeni o okazanie dokumentów potwierdzających ich prawo pobytu.

Być może to sporadyczne przypadki gorliwości straży granicznej, wynikającej z przepisów związanych z pandemią – wszak podróże międzynarodowe można odbywać tylko z ważnych przyczyn, a taką jest powrót do domu. Ale dla Europejczyków mieszkających w Zjednoczonym Królestwie powinien to być znak ostrzegawczy: tylko do końca czerwca mają oni czas, aby złożyć wnioski o przyznanie statusu „osoby osiedlonej” lub „wstępnie osiedlonej”. Nadal nie wszyscy to zrobili – co gorsza, okazuje się, że nie wszyscy wiedzą, że to wymagane. O programie przyznawania statusu nie słyszał np. jeden na trzech Europejczyków pracujących na Wyspach w domach opieki i podobnych placówkach. Fundacja Joint Council for the Welfare of Immigrants, która przygotowała raport w tej sprawie, alarmuje i prosi o przesunięcie terminu składania wniosków.

Jest też inny problem: po przyznaniu statusu wnioskujący nie otrzymują żadnego materialnego dowodu. Jak mają więc udowodnić swoje prawa na granicy, w banku czy wynajmując mieszkanie? Wielka Brytania ma już za sobą skandal związany z brakiem dokumentów – chodzi o tzw. pokolenie Windrush: ludzi, którzy po II wojnie światowej przybyli z Jamajki i innych krajów karaibskich. Londyn potrzebował rąk do pracy i zachęcał do imigracji. Przybysze nie dostali

TEGO DNIA BORIS JOHNSON DALEKI BYŁ od swego zwykłego ekspresyjno-entuzjastycznego stylu bycia. Na konferencji prasowej 26 stycznia brytyjski premier powstrzymał się od tradycyjnych zapewnień, że kraj radzi sobie świetnie z epidemią, a szczepienia idą zgodnie z planem.

Bo choć na Wyspach Brytyjskich szczytą najszybciej w Europie – do końca stycznia pierwszą dawkę otrzymało niemal 8 mln mieszkańców – to równocze-

→ jednak do rąk żadnych dokumentów, a te złożone w ministerialnych archiwach zniszczono. Gdy kilka lat temu zaczęto nagle wymagać, by udowodnili swoje prawo pobytu, nie mogli tego zrobić.

Koszty ludzkie

– Pocucie straty, coś niemal surrealistycznego – tak Elena Remigi opisuje w rozmowie z „Tygodnikiem” swoje odczucia, gdy 1 stycznia 2021 r. skończył się okres przejściowy i Wielka Brytania znalazła się nieodwołalnie poza Unią. – Przed wszystkim jednak głęboki smutek. Dlaczego to się stało? – mówi Elena, która jest Włoszką, a w Londynie mieszka od kilkunastu lat wraz z mężem i dziećmi.

Od czasu brexitowego referendum w 2016 r. Elena zajmowała się sytuacją obywateli Unii w Zjednoczonym Królestwie. – Szybko zdałam sobie sprawę, że obietnice zwolenników brexitu, iż nic się dla nas tu nie zmieni, były puste. Zmieniło się wszystko – wspomina czas po referendum.

Wtedy też pomyślała, że nie tylko ona, ale także inni Europejczycy doświadczają całego wachlarza emocji. Tak powstał projekt „In Limbo”, zbierający opowieści żyjących na Wyspach obywateli Unii. Celem było danie im możliwości podzielenia się swoimi doświadczeniami i odczuciami. Ale nie tylko. – Chciałam, żebyśmy przemówili mocnym wspólnym głosem – wyjaśnia dziś.

Relacje Europejczyków, a później także Brytyjczyków mieszkających w Unii, zostały opublikowane w formie książki. Ciągłe jednak przybywają nowe. – Na początku uczestnicy mówili o smutku, rozczarowaniu, wręcz żalobie, o utracie zaufania do rządu. Teraz mówią więcej o praktycznych trudnościach i podejmowanych decyzjach – opowiada Elena. – Staramy się dotrzeć do jak największej liczby osób, co w pandemii nie jest łatwe. Okazuje się, że niektórzy rzeczywiście nie słyszeli o nowych regulacjach, jak ten wniosek o status osiedlonego.

Elena opowiada, jak ostatnio jechała taksówką: kierowca, Rumun, był przekonany, że skoro ma numer ubezpieczenia i pracuje legalnie, jego prawom nic nie grozi: – Staralam się wszystko mu wyjaśnić, zostawiłam mój numer telefonu. Potem dzwonili też inni kierowcy, którzy z nim pracowali. Też nic nie wiedzieli.

Elena martwi się o nich wszystkich. – To ten ludzki koszt brexitu – mówi. – Brexit tyle zniszczył, nic już nie będzie tak samo. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się, czy jestem inna... Tyle lat tu mieszkam, czuję się bardzo mocno Europejką, a wszystkie tożsamości, włoska i również brytyjska, jakoś we mnie współistniały. Teraz muszę się nagle deklarować, kim jestem i gdzie przynależę? A moje dzieci? Dla nich to jeszcze dziwniejsze.

Dobra rada

Stefania Barutta też jest Włoszką, do Wielkiej Brytanii przybyła 32 lata temu. Mieszka w Worcester, niespełna stuletnim miasteczku w zachodniej Anglii. Od 1992 r. prowadzi firmę importującą i eksportującą części samochodowe.

– Importujemy głównie z USA, ale też z Hiszpanii i Włoch. Eksportujemy do Czech, Francji, Hiszpanii... – wylicza w rozmowie z „Tygodnikiem”. – Przed brexitem wszystko szło gładko, bo byliśmy częścią wspólnego rynku. Teraz zostawiono nas samych sobie, wszystko odbywa się metodą prób i błędów. Dobrze, że w styczniu mamy mniej zamówień, bo i tak pracy z dokumentacją jest znacznie więcej. Więcej opłat, więcej formularzy, VAT...

Nie tylko Stefania zмага się z nową rzeczywistością małych przedsiębiorców. Media pełne są historii o nieoczekiwanych przeszkodach. Nieoczekiwanych – bo przecież osiągnięto porozumienie i premier obiecywał handel bez barier.

Owszem, spodziewano się problemów na granicach, długich kolejek ciężarówek (choć chyba nie spodziewali się szkoccy rybacy: głosowali w większości za brexitem, a teraz ich towar nie dociera do unijskich odbiorców na czas – ten czas, który ma zasadnicze znaczenie w przypadku świeżych ryb i langustynek).

Nie spodziewano się natomiast, że klienci z Unii zamawiający online towar w brytyjskich sklepach będą musieli przy odbiorze paczki opłacić cło i VAT. Koszt przesyłki też jest wyższy. Z tym samym problemem mierzą się Brytyjczycy kupujący online w firmach na kontynencie. Część firm rezygnuje więc z klientów po drugiej stronie kanału La Manche (lub to klienci rezygnują). Część szuka rozwiązań. Tym urzędnicy udzielają zaskakującej rady: brytyjscy przedsiębiorcy powinni założyć firmę na kontynencie, wtedy unikną biurokracji i podatków. Pomija-

jąc, że nie o to chyba chodziło w brexicie, aby firmy brytyjskie wysyłać do Europy, takie rozwiązanie może likwidować miejsca pracy w Wielkiej Brytanii. Aby kogoś zatrudnić w europejskiej filii, być może trzeba będzie kogoś w ojczyźnie zwolnić.

Stefania o tym nie myśli. – Druga firma w Unii? To też koszty. Może dla większej firmy ma to sens, ale nie dla nas, małych przedsiębiorców – wzdycha. – Musimy z tym żyć. Tylko naprawdę jest trudniej, a towary będą droższe. Wiedziałam, że to się źle skończy... Dlatego byłam taka zdenerwowana po brexitowym referendum.

Bardziej jednak niż problem z VAT-em boli ją coś innego: – Lubię moje życie tutaj, ale przykro mi, że Brytyjczyków nie obchodzi, co się z nami dzieje. Jesteśmy przecież częścią ich społeczności, czyimiś sąsiadami, przyjaciółmi, a nasz los ich nie obchodzi. To smutne, że wielu z nas zastanawia się teraz, dlaczego tu jesteśmy.

I znów referendum?

Nad przyszłością zastanawiają się też na północy – w Szkocji. Epidemia sprawiła, że rośnie tu poparcie dla idei niepodległości tego kraju, jednego z czterech tworzących Zjednoczone Królestwo. Właściwie nie tyle epidemia, co fakt, że sposób, w jaki reaguje na nią Nicola Sturgeon, szefowa szkockiego rządu autonomicznego, jest oceniany bardzo wysoko. W efekcie narasta przekonanie, że skoro z wirusem Szkoci potrafią sobie radzić lepiej niż Anglicy, to także ich własne państwo może być sukcesem.

Na maj zaplanowane są szkockie wybory parlamentarne. We wszystkich sondażach od dłuższego już czasu dominuje Szkocka Partia Narodowa. Jej mocne zwycięstwo będzie traktowane jako mandat dla referendum niepodległościowego.

Tak na to patrzają politycy w Edynburgu. Bo w Londynie zgoda inaczej. Premier Johnson nieustająco podkreśla, że referendum już się odbyło (w 2014 r. – wtedy 55 proc. opowiedziało się za pozostaniem w Zjednoczonym Królestwie). Jednak i jego musiały zaniepokoić nastroje na północy, skoro pod koniec stycznia polecał tam, by podziękować Szkotom za ich walkę z epidemią i podkreślić znaczenie wspólnych wysiłków. Johnson nigdy nie cieszył się popularnością w Szkocji, nie powinno więc dziwić, że Sturgeon pozwoliła sobie na stwierdzenie, iż wizyta nie wprawia ją w zachwyt. Tym bardziej że skoro podróżować w Szkocji i do Szko-



CHARLES MCQUILLAN / GETTY IMAGES

Fakt, że po 1 stycznia Irlandia Północna pozostała częścią unijnego wspólnego rynku, inaczej niż reszta Wielkiej Brytanii, spowodował początkowo zakłócenia w dostawach. Na zdjęciu: puste półki w supermarkecie Tesco w Belfaście, 14 stycznia 2021 r.

cji można tylko z wyjątkowo ważnego powodu, to wizyta premiera może oznaczać złamanie przepisów...

Złośliwości złośliwościami, ale sprawa nabiera wagi. Poparcie dla pozostania w unii z Anglią, Walią i Irlandią Północną maleje też za sprawą brexitu – w 2016 r. większość Szkotów głosowała przeciw brexitowi i obecne kłopoty mogą tym bardziej skłaniać do głosu za niepodległością, w nadziei na powrót do Unii.

Choć może być też inaczej. Prof. Paul Cairney, politolog z uniwersytetu w Stirling, zwraca uwagę, że trudności, jakich doświadczają teraz brytyjskie firmy, mogą uświadomić Szkotom, co ich czeka w razie „rozvodu”. Do tego doszłyby jeszcze kwestie waluty.

Na razie pojawiają się i takie opinie prawne, że Londyn jednak nie może zakazać nowego referendum ani zignorować jego wyniku. Z kolei z sondażu opublikowanego w „Sunday Times” wynika, że tych, którzy wierzą, iż w ciągu najbliższych 10 lat Szkocja będzie suwerenna, jest we wszystkich czterech krajach Królestwa większość. O dziwo, najmniej wątpliwych w szkocką niepodległość jest w... Anglii.

Co dalej, panie premierze?

Liczby, prognozy: one wszystkie muszą być teraz dla Johnsona nie lada wyzwaniem. Bo niewiele jest tych dobrych – poza liczbą zaszczepionych. Wprawdzie statystyki nowych infekcji spadają, ale liczba zgonów już nie: często to ponad tysiąc dziennie.

Słowa żalu z ust premiera nie mogą więc zatrzeć konstatacji, iż tę ponurą granicę 100 tys. zmarłych 67-milionowa Wielka Brytania przekroczyła jako pierwsze państwo Europy (nie licząc Rosji) – choć nie jest przecież najludniejszym krajem kontynentu (największy kraj, 83-milionowe Niemcy, przekroczył właśnie granicę 50 tys. zmarłych).

Nowe restrykcje dla podróżnych – w tym australijski model kwarantanny, gdzie przybywający do kraju muszą izolować się nie we własnych domach, lecz w specjalnych hotelach, płacąc za pobyt – mrożą zagraniczne plany urlopowe Brytyjczyków. Na razie przepis ten obejmuje tylko przybywających z miejsc największego ryzyka, ale lista ma się rozszerzać. W górę poszły już ceny wynajmu letnich domków na terenie Wielkiej Brytanii.

Szkoły pozostaną zamknięte z pewnością do marca. Może potem nie będzie w ogóle wakacji, kto wie?

Wiosna idzie do Pangbourne

Mimo niepewności życie musi toczyć się dalej, w nieustannej nadziei na poprawę.

W Pangbourne, wiosce w hrabstwie Berkshire, miejscowy rzeźnik, sklep z sarami, piekarnia i sklep z żywnością ekologiczną pozostają otwarte. Sklep żelazny – ze sprzętem ogrodniczym, narzędziami i okienkiem pocztowym – również. W butik obok na szybie wisi kartka: „Jeśli spodoba się państwu coś z rzeczy na wystawie, proszę o kontakt mailowy”. Po-

dobnie można skontaktować się z szewcem: zostawił informację, że musi się izolować ze względu na dobro żony; jest w grupie ryzyka.

Na pełnych obrotach ze sprzedażą na wynos działają za to miejscowe restauracje – z kuchnią indyjską czy *fish and chips*. Za to najstarszy w okolicy pub, istniejący od XVII stulecia „The Swan”, został tymczasowo zamknięty. Jest jednak nadzieja na otwarcie. Kiedy? Mówi się o maju. Jeszcze starszy pub w Oksfordzie, „Lamb & Flag”, w którym prześiadawali Tolkien i C.S. Lewis, nie ma tyle szczęścia: miał zostać zlikwidowany z ostatnim dniem stycznia.

Pewność można mieć chyba tylko co do tego, że na Wyspach wiosna już nadchodzi. Po kilku śnieżnych dniach, gdy można było lepić bałwana, pogoda się zmieniła. Wyszło słońce. Przebiśniegi prezentują się licznie, pojawiają pierwsze wiosienki, widać zielone jeszcze pączki żonkili. O zbliżającej się wiosnie świadczą też wystawione na sprzedaż budki dla ptaków w sklepie żelaznym, wybór sadzonek kwiatów i bulw ziemniaków.

Frustracji mogą jednak tej wiosny doświadczyć ogrodnicy z Irlandii. Dotychczas korzystali chętnie z dostaw nasion i cebulek z Wielkiej Brytanii. Teraz brexit im to utrudnia – nie można już wysyłać sadzonek w doniczkach z ziemią.

Na brytyjskie przebiśniegi tej wiosny Irlandczycy nie mogą zatem liczyć.

© PATRYCJA BUKALSKA

PODCZAS BRYTYJSKO-UNIJNYCH negocjacji w sprawie brexitu jedna z najtrudniejszych kwestii dotyczyła Irlandii Północnej, będącej częścią Zjednoczonego Królestwa. Obawiano się, że powrót „twardej” granicy między Republiką Irlandii a Irlandią Północną zakłóci proces pokojowy (do 1998 r. trwał tam krwawy konflikt). Ostatecznie zgodzono się, by Irlandia Północna pozostała częścią unijnego wspólnego rynku i unii celnej. Pozwala to uniknąć granicy z Republiką Irlandii, choć kosztem przesunięcia jej na Morze Irlandzkie. Po 1 stycznia okazało się, jakie utrudnienia oznacza to w transporcie towarów. Media obiegły zdjęcia pustych półek sklepowych w Irlandii Północnej. W 2019 r. o przyszłość tego kraju pytaliśmy prof. Katy Hayward, socjolożkę i politolożkę wykładającą na Queen's University w Belfaście. Dziś znów poprosiliśmy ją o ocenę sytuacji.

Widziane z Belfastu

PROF. KATY HAYWARD,
SOCJOLOŻKA Z IRLANDII PÓŁNOCNEJ:

Jeszcze kilka lat temu rozważania o zjednoczeniu całej Irlandii były abstrakcyjne. Brexit to zmienił.

PATRYCJA BUKALSKA: Jak żyje się teraz w Irlandii Północnej?

KATY HAYWARD: Za nami kilka tygodni funkcjonowania Protokołu Irlandzkiego [zapisów umowy brexitowej dotyczących Irlandii Północnej – red.]. Początki były skomplikowane. Wpłynęło na to zamknięcie przed Świętami granicy z Francją i fakt, że brytyjscy przedsiębiorcy musieli zorientować się, co muszą zrobić, by wwieźć towary do Irlandii Północnej. Teraz sytuacja się stabilizuje. Ale chyba wszyscy zaczynamy zdawać sobie sprawę, jak zmieniła się rzeczywistość, w tym nasze położenie gospodarcze. A zmienia się jeszcze bardziej po 1 kwietnia, gdy skończy się okres karen-



Prof. Katy Hayward

cji, w którym część regulacji nie jest stosowana. Można by powiedzieć: będzie gorzej, aby potem było lepiej.

Mam wrażenie, że wszyscy tak się bali twardego brexitu, że gdy osiągnięto porozumienie, wydawało się, iż niewiele się zmieni. Stąd niespodzianki, jak wyższy koszt przesyłek. Niektóre brytyjskie firmy w ogóle wycofują się z dostaw do Irlandii Północnej.

Jeśli chodzi o koszt przesyłek, to tę informację dostaliśmy 31 grudnia. Późno. Niektóre firmy, nie mając pewności, jakie deklaracje celne są wymagane, zdecydowały się wstrzymać dostawy. Sytuacja Irlandii Północnej jest skomplikowana, trudno to wszystko wytłumaczyć... Myślę, że brytyjscy przedsiębiorcy koncentrowali się na handlowych relacjach z Unią, ulżyło im, że jest porozumienie w tej sprawie, i jakoś umknął im fakt, że 1 stycznia wchodzi w życie również nowe zasady transportu towarów do Irlandii Północnej. Zresztą w Republice Irlandii też nowe informacje pojawiały się z opóźnieniem. Wielu tam nie wie, że Irlandia Północna pozostała jednak częścią unijnego wspólnego rynku. Potrzeba czasu, by nowe zasady zostały przez ludzi przyswojone – i te komplikujące im życie, i te pozytywne.

No właśnie, pozytywne. Czy Irlandia Północna, będąc częścią Zjednoczonego Królestwa i zarazem unijnego rynku, ma szansę przekuć to na swoją korzyść? Czerpać co najlepsze z obu światów?

Pamiętajmy, że Protokół Irlandzki nie powstał po to, by przynieść Irlandii Północnej jakiegokolwiek korzyści. Dzięki niemu mieliśmy uniknąć niekorzystnych skut-

ków grożącej nam twardej granicy między Irlandią Północną a Republiką Irlandii. Mamy za to swego rodzaju granicę na Morzu Irlandzkim – granicę wewnątrz Zjednoczonego Królestwa, co przynosi osobne trudności. Czy będziemy mogli to odwrócić na plus? Potencjalnie jest to możliwe – Irlandia Północna ma dostęp i do rynku unijnego, i do brytyjskiego. Nie sądzę jednak, by te pozytywy były widoczne już niedługo. Wiele zależy też od przywódców Irlandii Północnej, Wielkiej Brytanii i Unii.

Na to nakłada się pandemia. Granica między Irlandią Północną a Republiką Irlandii pozostała otwarta. Po tym, jak w grudniu w Wielkiej Brytanii zaczęła szerzyć się mutacja wirusa, w styczniu olbrzymi wzrost zakażeń odnotowała Republika Irlandii.

Wczoraj irlandzki premier Micheál Martin mówił, że niepokoją go napływające z Irlandii Północnej informacje o nowej mutacji, i że „nie ma sposobu, by zabezpieczyć granicę”. Muszę przyznać, że to szczególna wypowiedź...

W Irlandii Północnej władzę sprawują wspólnie unioniści i republikanie, a pandemia po raz kolejny te rządy w pewien sposób sparaliżowała. Unioniści, jak można się spodziewać, chcieli podążać za strategią Londynu, a republikanie chcieli iść za Dublinem i traktować wyspę jako całość z jednolitymi wytycznymi. Wypracowano kompromis, ale widać, jak bardzo potrzebna jest lepsza komunikacja Belfastu z Wielką Brytanią i Irlandią. Dotychczas Północy i Południu zdarzało się obwieszczać nowe restrykcje niezależnie od siebie, tak jakby nie było społeczności w rejonie przygranicznym – ludzi, którzy tę granicę przekraczają kilka razy dziennie i naprawdę nie wiedzą, które z obostrzeń się do nich odnoszą i kiedy. To był dziwny rok: pokazał, jak silnie zintegrowana jest irlandzka wyspa. Ale także, jak trudno tym wszystkim zarządzać w skoordynowany sposób na poziomie politycznym.

Zamknięcie granicy jest dziś chyba niemożliwe?

Mieliśmy już kryzys graniczny 20 lat temu, po wybuchu pryszczycy wśród zwierząt hodowlanych. Rozprzestrzenianie się choroby na Północy wymusiło takie środki jak spryskiwanie samocho-

dów przejeżdżających przez granicę, ale w gruncie rzeczy były to tylko gesty. Teraz jest podobna sytuacja. Co mogłoby pomóc, to koordynacja działań po obu stronach granicy. Po raz kolejny widać, jak szczególnie miejscem jest irlandzka granica.

Czy brexit, pandemia i problemy z granicą wpływają na popularność ewentualnego referendum zjednoczeniowego? Niedawno „Sunday Times” opublikował sondaż, w którym 51 proc. ankietowanych z Irlandii Północnej zadeklarowało, że chciałoby takiego referendum.

Byłabym ostrożna, to większość w granicach błędu statystycznego. Niemniej unioniści mają powody do niepokoju, bo sondaże konsekwentnie pokazują, że nie ma większości popierającej utrzymanie unii Irlandii Północnej z Wielką Brytanią. Czy to oznacza, że większość opowiada się za referendum i zjednoczeniem całej Irlandii, to inna sprawa. Trudno powiedzieć, co będzie dalej, ale czas jest ciekawy.

Jak na kwestię zjednoczenia wyspy patrzy się na Południu?

W Republice Irlandii do niedawna nie była to sprawa poruszana tak często jak na Północy. Ale poparcie dla zjednoczenia jest tam stałe i raczej wysokie. To nie powinno zaskakiwać, bo zjednoczenie popierają tam wszystkie partie polityczne. Jak wiemy, w Irlandii Północnej jest inaczej.

Decyzja o referendum nie należy jednak ani do Belfastu, ani do Dublina, lecz do Londynu.

Referendum na Północy może ogłosić minister ds. Irlandii Północnej. Taka decyzja wymusiłaby ogłoszenie referendum przez Republikę Irlandii. Co prowadzi do ciekawej konkluzji, że wydarzenie, które może doprowadzić do całkowitej transformacji Irlandii, zostałoby zapoczątkowane przez decyzję rządu innego państwa. Dziwna sytuacja – to jednak być może sprawia, że na Południu coraz częściej się o tym mówi, a ludzie zaczynają zastanawiać się, co zjednoczenie może oznaczać w kategoriach pragmatycznych,

np. dla systemu edukacji, ochrony zdrowia itd.

Czy obecne problemy z płynnością transportu do Irlandii Północnej mogą zwiększyć poparcie dla idei zjednoczenia wyspy? Oznaczałoby ono także powrót do Unii Europejskiej.

Zdania unionistów to nie zmienia, nawet jeśli podczas referendum brexitowego jedna trzecia z nich chciała pozostania w Unii. A zdania tych, którzy nie deklarują się ani jako nacjonalisci, ani unioniści, a głosowali przeciw brexitowi? Możliwe. Wiele zależałoby od tego, jak zjednoczone państwo irlandzkie miałyby wyglądać. Oraz jaka byłaby sytuacja Zjednoczonego Królestwa w tym momencie.

Jeszcze kilka lat temu takie rozważania o referendum zjednoczeniowym były abstrakcyjne.

To wszystko zostało uruchomione przez brexit.

©© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

REKLAMA

nowa książka

abp. Grzegorza Rysia

Jak doświadczyć bliskości w czasach izolacji?

Jak budować jedność w czasach podziałów?

Skąd czerpać nadzieję w czasie pełnym lęku i niepokoju?



twarzą Boga jest miłość.

Każdy inny Jego portret jest karykaturą.

Premiera **10 lutego 2021**



Kaciaryna Andrejewa podczas protestu w sierpniu 2020 r.



Daria Czulcowa, lato 2019 r.

Żywie Biełaruś i ja będę żyć

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

Dziennikarki telewizji Bielsat, Kaciaryna Andrejewa i Daria Czulcowa, od trzech miesięcy czekają w areszcie na proces. Za wykonywanie swojej pracy grozi im kilka lat więzienia.

RAMAN BANDARENKA ZOSTAŁ POBITY NA śmierć na podwórku swojego domu. Zginął, bo zwrócił uwagę funkcjonariuszom tajnych służb, by nie zrywali zawieszonych na płocie biało-czerwonobiałych wstążek. Kolory te symbolizują białoruski ruch niepodległościowy, a od sierpnia 2020 r. są też symbolem protestów, które trwają nieustająco po tym, jak Alaksandr Łukaszenka sfałszował wybory prezydenckie.

„Dzisiaj był taki straszny przypadek! Trafił do nas pobity facet. Miał pękniętą

czaszkę, a z rany wystawał obrzęknięty mózg. Pracowaliśmy całą noc, żeby przynajmniej wsunąć ten mózg pod skórę. Ale on nie ma szans na przeżycie” – opowiadał potem anestezjolog, który udzielał mu pomocy w szpitalu.

31-letni Bandarenka umiera 12 listopada 2020 r. Wkrótce potem anestezjolog zostaje zatrzymany za rzekome upublicznienie tajemnicy lekarskiej. Kilka dni później na tym samym podwórku zbierają się manifestanci, by uczcić pamięć Ramana. Milicja pacyfikuje protest.

Z czternastego piętra pobliskiego budynku jego przebieg transmitują dziennikarki telewizji Bielsat: Kaciaryna Andrejewa i Daria Czulcowa. Służby namierzają dronem, w którym oknie umieściły kamerę. Funkcjonariusze wyważają drzwi mieszkania i zatrzymują dziennikarki.

27-letnia reporterka Kaciaryna i 24-letnia operatorka Daria trafiają do aresztu. Słyszą zarzut: „organizowanie działań poważnie naruszających porządek społeczny”, za co grozi do trzech lat więzienia. W połowie stycznia oskarżenie poszerza się o punkt mówiący o tym, że zakłóciły pracę komunikacji miejskiej, co spowodowało straty (o równowartości 17 tys. zł).

– Nawet nie wiemy, jak to komentować – mówią dziś mąż Kaciaryny i matka Darii. – Czy ich relacja dla Bielsatu naprawdę doprowadziła do zatrzymania ruchu na trzynastu liniach autobusowych,

trzech trolejbusowych i trzech tramwajowych?

Czekam, kocham

– Odkąd zobaczyłem ich nazwiska na liście zatrzymanych, wiedziałem, co to znaczy – wspomina w rozmowie z „Tygodnikiem” Ihar Ilias, mąż Kaciaryny, również dziennikarz Bielsatu. Ihar mówi, że oboje byli gotowi, że kiedyś to się stanie. Skala represji trwających od sierpnia jest wielka: przez areszty przeszło dotąd ponad 33 tys. ludzi (w tym kilkuset dziennikarzy). Ogromna większość została skazana na kilkunastodniowe areszty i grzywny.

Jednak niektórzy usłyszeli wyroki więzienia, zwykle kilkuletnie. Tak jak dwoje 18-letnich studentów z Brześcia, Safija Małaszewicz i Cichan Kljukacz, którzy we wrześniu wzięli udział w proteście w Mińsku. Pod koniec stycznia sąd skazał Safiję na dwa lata bezwzględnego więzienia, a Cichana na półtora roku; wcześniej oboje zostali wydalen z uczelni. Uznano ich winnymi tego, że biorąc udział w protestach, mieli zakłócić pracę komunikacji miejskiej. Safija dostała wyższy wyrok, bo dodatkowo została oskarżona o chuligaństwo: malowała sprayem po milicyjnych tarczach.

Kiepski to prognostyk dla Kaciaryny i Darii, którym również zarzuca się, że zakłóciły ruch tramwajów.

– Jeszcze niedawno pisaliśmy razem z Kacią instrukcję, jak się zachowywać

w przypadku aresztowania – mówi Ihar. – Paragrafy wykorzystywane przeciw nam są praktykowane od czasów Związku Sowieckiego wobec wrogów władzy.

– Żona przekazuje mi teraz przez adwokata krótkie wiadomości, takie jak „czekam”, „kocham” – dodaje. – Piszę do niej listy, z których ponad połowa nie dociera za sprawą cenzury. Władze odmawiają „politycznym” prawa do spotkań z rodzinami. Jak w opowieści Aleksandra Sołżenicyna o gułagu. Trudno uniknąć poczucia, że tu czas się zatrzymał.

Nikt nie jest bezpieczny

Ihar i Kacia, drobna szatynka o delikatnych rysach, spotkali się pierwszy raz w 2015 r. na placu Wolności w Mińsku. – Oboje relacjonowaliśmy protesty podczas kampanii wyborczej – wspomina Ihar. Mało brakowało, a oboje zostaliby zatrzymani; wówczas im się udało. – Tego wieczoru zdałem sobie sprawę, że zakochałem się w Kaci – wspomina dziś mąż.

W kolejnych latach właściwie całe ich życie, zawodowe i prywatne, toczyło się w cieniu konfliktu między władzami a społeczeństwem obywatelskim, który opisywali jako dziennikarze.

Gdy Ihar mówi o żonie, w jego głosie słyszę podziw: – Kacia to krucha kobieta, ale ma niesamowitą energię, zawsze jest na pierwszej linii. Jestem dumny, że mam taką żonę.

Wspomina, że teściowie próbowali ich przekonać, by wyjechali za granicę. Bali się, że córka i zięć zostaną aresztowani. – Całe życie poświęciliśmy dziennikarstwu, to byłaby zdrada naszych przekonań. Relacjonowanie rewolucji: na takie przeżycie przygotowaliśmy się latami. Gdybyśmy wyjechali, byłoby to jak dezercja żołnierza po wybuchu wojny.

Ihar dodaje, że nawet wakacje woleli spędzać w kraju: – Za każdym razem, gdy aktywista opuszcza Białoruś, musi się liczyć z tym, że nie zostanie wpuszczony z powrotem.

– Dziś w Białorusi nikt nie może czuć się bezpiecznie – mówi Ihar Ilias. – W każdej chwili mogą przyjść i przedstawić ci wymyślone zarzuty.

Wkrótce po zatrzymaniu Kaci funkcjonariusze bezpieczeństwa przyszli także po niego. Do mieszkania weszli, używając kluczy odebranych żonie. Ihar: – Oskarżono mnie o udział w proteście, na którym nie byłem. Przejeżdżałem obok tak-

BIELSAT TV nadaje od 2007 r., od początku stacją kieruje Agnieszka Romaszewska-Guzy. Misja Bielsatu to zapewnienie Białorusinom dostępu do niezależnej informacji. Kanał nadaje po białorusku i rosyjsku (wielu Białorusinów, także krytycznych wobec reżimu, używa na co dzień języka rosyjskiego). Jest dostępny przez internet i satelitę, dzięki czemu może być odbierany także wtedy, gdy władze wyłączają sieć, co zdarzało się podczas protestów. Właścicielem Bielsatu jest Telewizja Polska, a stację finansuje polskie MSZ przy wsparciu międzynarodowych donatorów. Dziennikarze mają zapewnioną swobodę pracy. W ramach wsparcia dla uwięzionych dziennikarek Strefa Fundacja Solidarności otworzyła zbiórkę – szczegóły na stronie www.znikajacydyktator.pl (zebrane środki pomagają ich rodzinom opłacić pomoc prawną i paczki do aresztów).

sówką, służby namierzyły mój telefon. W ten sposób można skazać każdego mieszkańca okolicznych ulic, wokół których coś się dzieje. Śledczy nawet specjalnie się z tym nie kryli, że akt oskarżenia jest zmyślny.

Ihar odsiedział wtedy 15 dni aresztu.

Wierzę, że to ma sens

W środowy wieczór, 13 stycznia 2021 r., stołeczna państwowa telewizja STV emitowała program „Tajne sprężyny polityki”, w którym Kacię i Darię przedstawiono jako organizatorki protestów. Przewodzący program pokazał korespondencję Ihara z szefem Związku Dziennikarzy Ukrainy: miało to dowodzić, że działalność małżeństwa na rzecz zorganizowania przewrotu jest opłacana z zagranicy.

Ihar: – To były wiadomości z Facebooka, które służby przekazały reżimowej telewizji. Gdy zostałem zatrzymany, nie zdążyłem się wylogować z kont społecznościowych.

Mężczyzna przyznaje, że źle znosi rozłąkę i tęskni za żoną. Mimo to uważa, że warto nadal protestować. Jest przekonany, że reżim nie utrzyma się dłużej niż rok-dwa: – Jest ciężko, ale warto ryzykować dla ideałów, one nas identyfikują. Wolność to część naszej tożsamości. Wierzę, że wygramy. Za nami jest naród. Coraz więcej ludzi rozumie, czym jest reżim Łukaszenki.

– Władze boją się własnego społeczeństwa, boją się niezależnych dziennikarzy, takich jak moja żona. Wierzę, że będzie tak, jak w jednej z ostatnich wiadomości, którą Kacia przekazała mi z aresztu: „Żywie Białoruś i ja będę żyć”.

Moje dziecko

„Mamo, zawsze mi mówiłaś, że wszystko dzieje się po coś. Wszystkie wydarzenia to życiowe lekcje. Nie tylko dla mnie, ale też dla Ciebie. Teraz może zrozumiesz, że niezależnie od wszystkiego jestem dorosłą osobą i sama podejmuję świadomie decyzje i za nie odpowiadam. Bardzo Cię kocham, ale chyba wiesz, że nie utrzymasz mnie w domu. Nie dam rady siedzieć bezczynnie. Taką mnie urodziłaś. Twoja, już w ogóle nie maleńka, córeczka” – taki list Daria Czulcowa, operatorka Bielsatu, napisała z aresztu do matki.

– To najlepszy opis tego, jaka jest moja córka i co teraz czuję. Dla mnie to przede wszystkim moje dziecko, ale ono już dorosło – mówi „Tygodnikowi” Natalia, mama Darii.

Gdy Dasza postanowiła studiować dziennikarstwo, cała rodzina starała się ją przekonać, żeby została jednak nauczycielką. Ale ona się uparła. – Dziennikarstwo to u nas zawód wysokiego ryzyka. Wiedziała, że córka nie będzie pracować dla propagandowych mediów. Gdy zaczęła dostawać pierwsze grzywny za swoją pracę i błagałam ją, żeby nie relacjonowała już manifestacji, odparła mi: „Przyzwyczaj się” – wspomina Natalia.

Matka niewiele wie na temat warunków, w których trzymana jest córka. Daria pisała z aresztu, że karmią ich głównie makaronem. W listach prosi, by wysyłać jej czosnek, cebulę, suszone owoce i w ogóle wszystko, co zawiera witaminy. Matka: – Przysługuje nam jedna 30-kilogramowa paczka na miesiąc. Dasza prosi o ciepłe ubrania, musimy jej przekazywać środki higieny, na jedzenie nie zostaje dużo miejsca. Boję się, że córka za ten areszt zapłaci zdrowiem. Domyślam się, że w celi jest zimno, skoro tak prosi o ciepłe rzeczy.

W aresztach nie przestrzega się ostrzeżeń związanych z epidemią. Dasza przekazała mamie, że miała gorączkę i bóle głowy. Natalia podejrzewa, że to koronawirus, ale więzionych nikt nie bada.

– Staram się ukrywać w pracy i przed sąsiadami, co się stało. Słyszałam komentarze, że córka niepotrzebnie tam polazła, →

→ bo i tak reżim jest nieśmiertelny, więc nic nie zmienia – dodaje. – Ale jednocześnie masa obcych ludzi okazuje nam wsparcie.

Krótką listą sankcyjną

– Na Białorusi niezależne media nie mają szans na uzyskanie akredytacji, więc także nasi dziennikarze *de iure* wykonują swój zawód nielegalnie. Są stale zatrzymywani pod różnymi pretekstami. Od początku naszego istnienia zapłaciliśmy już, z pomocą zaprzyjaźnionych fundacji, grzywny opiewające łącznie na 130 tys. euro – mówi „Tygodnikowi” Aleksy Dzikawicki, zastępca dyrektora telewizji Bielsat.

– Zatrzymywanie dziennikarzy pod zarzutem organizowania manifestacji to coś nowego – mówi Dzikawicki. – Władze zapewne zastanawiały się, jak zamknąć nam usta. W skrócie oznacza to, że jeśli podasz na antenie informacje, że ludzie zbierają się, aby protestować, to reżim uznaje, iż jesteś organizatorem demonstracji.

Dzikawicki uważa, że kraje zachodnie powinny rozszerzyć sankcje: – Objętych jest nimi tylko kilkudziesięciu współpracowników Łukaszenki. To nieskuteczne. Tych nazwisk powinno być kilkadziesiąt tysięcy! Białoruscy aktywiści mają listy funkcjonariuszy OMON-u, sędziów, prokuratorów i innych osób zaangażowanych w aparat represji. Poddanie sankcjom większej grupy mogłoby mieć realne skutki. Nie może być tak, że jednego dnia ktoś wydaje wyroki, a drugiego jedzie na zakupy do Wilna czy Białegostoku.

W LISTACH Z ARESZTU Dasza przekazuje mamie pocztówki, które dostaje. – Wiele z Polski, nawet jedna z Włoch! – w głosie matki słychać wzruszenie. A także strach: – Ludzie, którzy wieszali narodową symbolikę i pisali hasła na asfalcie, dostają kilkuletnie wyroki. To co będzie z Daszą i Kacią? Przygotowuję się na najgorsze. Jestem dumna z dziecka. Ale to trudne.

Dodaje: – Chcę tylko, żeby moja dziewczynka wróciła do domu.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

Cesarz z Addis Abeby

WOJCIECH JAGIELSKI

Premier Abiy Ahmed, kiedyś okrzyknięty nadzieją Afryki, okazał się wcieleniem najgorszych władców Etiopii. Za wojnę, którą wywołał, powinno się mu odebrać pokojowego Nobla.

BIBLIJNE PLAGI POPRZEDZAŁY UPADKI wszystkich ostatnich władców Etiopii, jednego z najstarszych państw w spisanej historii świata.

Najpierw bunt w prowincjach, wielka susza i klęska głodu w 1973 r. przyczyniły się do puczu młodych oficerów, którzy rok później położyli kres panowaniu ostatniego cesarza Etiopii, Hajle Sella-sjego I. Władca ten, noszący tytuły „Zwycięskiego Lwa Judy i Wybrańca Bożego”, a także „Potomka Królowej Saby i Króla Salomona”, rządził krajem wyjątkowo długo, bo w latach 1930-74 (z kilkuletnią przerwą podczas włoskiej okupacji).

Kilkanaście lat potem kolejne bunt w prowincjach, wojna domowa, jeszcze jedna susza i klęska głodu przyspieszyły upadek pogromcy cesarza, pułkownika Mengistu Hajle Mariama. Zwany „Czerwonym Negusem”, rządził 14 lat (1977-91), a w zimnej wojnie stawiał na Kreml, jego ruble i czołgi. A także na sowieckie metody rządzenia.

Po Mengistu nastał Meles Zenawi, komendant partyzantów, którzy zwyciężyli w wojnie domowej. Władał ponad 20 lat, a za jego panowania Etiopia, po raz pierwszy od dawna, zaczęła wydawać się spokojna i coraz bogatsza. Ale gdy Zenawi – rządzący krajem twardą ręką, jak kiedyś partyzantką – w 2012 r. nagle umarł, okazało się, że spokój był pozorny.

W prowincjach znów wybuchły bunt. Rebelię podnieśli Oromowie z południa, którzy zawsze narzekali, że choć stanowią jedną trzecią ludności (w ponad 100-milionowym kraju), traktuje się ich jak obywateli gorszej kategorii. Na dodatek to ich ziemie, zwłaszcza te położone wokół rozrastającej się stolicy Addis Abeby, urzędnicy Zenawiego przejmowali pod nowe dzielnice. Głowę podnosili też Amharowie, niewiele ustępujący liczebnością Oromom. Kiedyś wydawali spośród siebie władców etiopskiego imperium, teraz nie mogli pogodzić się

z tym, że państwo zawłaszczyli ich ubodzy krewni – Tigrajczycy od Zenawiego (stanowią tylko jedną dziesiątą ludności).

Najmłodszy na kontynencie

Po Zenawim i krótkim *interregnum*, w 2018 r. premierem został Abiy Ahmed – przywódca, zdawało się, doskonały. Mając 41 lat, został najmłodszym przywódcą w Afryce, coraz ludniejszej i młodniejszej. Jego ojciec, Oromo, był muzułmaninem, a matka – chrześcijanka wywodziła się z Amharów. Jako nastolatek przystał do partyzantki i walczył razem z Tigrajczykami przeciw Mengistui, poznał ich mowę i zwyczaje.

W zamyśle rządzących Tigrajczyków awans Abiia miał jedynie uspokoić Oromów i pozostawić wszystko po staremu. Jednak młody premier wywołał rewolucję. Kazał zaraz otworzyć więzienia i wypuścić z nich wszystkich, których Zenawi zamknął za politykę. Obiecał wolność słowa i zgromadzeń, wybory, koniec samowoli tajnej policji, a także zawłaszczania rozwijającej się gospodarki przez partyjnych i państwowych dygnitarzy. Zaprosił przywódców opozycji do swojego pałacu, a tych, którzy wcześniej uciekli z kraju, wezwał, by wrócili. Rękę do zgody wyciągnął też do sąsiadów, z którymi Zenawi toczył nieustanne spory: Erytrejczyków, Somalijszczyków i Sudańczyków. Za tę gotowość do zgody ze wszystkimi jesienią 2019 r. przyznano mu Pokojową Nagrodę Nobla.

Wojna przychodzi do Tigraju

Ale zaraz potem na Etiopię zaczęły spadać plagi, które wszystko zmieniły.

Na początku 2020 r. świat unieruchomiła pandemia. W Etiopii trzeba było odwołać pierwsze w historii wolne wybory. Potem kraj nawiedziła najgorsza od ćwierć wieku plaga szarańczy. Połała się też krew. Przeciw nowemu przywódcy zwrócili się Oromowie, którzy uznali, że



YASUYOSHI CHIBA / AFP / EAST NEWS

Etiopscy uciekinierzy z ogarniętego wojną Tigraju przybywają do obozu w Sudanie, 11 grudnia 2020 r.

nie trzyma z nimi, ale bierze stronę ich wrogów, Amharów. Potem bunt podnieśli Tigrjczycy, niezadowoleni, że Abiy odsunął ich od władzy. Jesienią 2020 r., w rocznicę przyznania mu Nobla, etiopski przywódca posłał wojsko w góry Tigraju, żeby stłumiło rebelię.

Wojna przyszła do Tigraju, gdy miejscowi chłopcy szykowali się, by zebrać z pól to, co ocalało po przejściu szarańczy. Dziś temu regionowi znów grozi głód – jak ten z lat 70. XX w., który poprzedził upadek królestwa, i ten z lat 80., który przyspieszył upadek Mengistu. Wtedy zmarło prawie milion ludzi, a zdjęcia głodujących z Tigraju tak poruszyły sumienia Zachodu, że w 1985 r. najślawniejsi muzycy rockowi na świecie wystąpili na największych jak dotąd dobroczynnych koncertach Live Aid.

Premier Abiy, uchodzący za gorliwego chrześcijanina (jest zielonoświątkowcem), zdaje się jednak nie wierzyć w kłątwy – i w święto Trzech Króli przepowiedział rodakom, że już wkrótce nastaną dla nich tłuste lata.

Co się stało w Aksum

Za pobożnych uchodzą także jego nieprzyjaciele, Tigrjczycy. Ich przodkowie

przyjęli chrześcijaństwo w IV stuleciu, a ich kraina to kolebka Etiopii – dawne starożytne królestwo Aksum, będące kiedyś jednym z czterech najpotężniejszych państw świata (obok Imperium Rzymskiego, perskiego imperium Sasanidów oraz Chin). Według prawosławnej tradycji etiopskiej to w Aksum – w Kaplicy Tablic, w kościele Najświętszej Marii Panny z Syjonu – ma być przechowywana Arka Przymierza.

Prof. Michael Gervers, wykładowca historii na uniwersytecie w Toronto, powiedział londyńskiej gazecie „Daily Telegraph”, że pod koniec minionego roku żołnierze próbowali wykraść Arkę (legenda mówi, że ten, kto zdobędzie Arkę, będzie niezwyciężony), i że przed kościołem, w którym etiopscy władcy koronowali się na królów i cesarzy, zamordowali prawie tysiąc wiernych, broniących im dostępu do Kaplicy Tablic.

Historyk alarmuje, że rządowe wojsko i wspierające je bojówki Amharów rabują i niszczą w Tigraju zabytki należące do dziedzictwa ludzkości – starożytne malowidła, manuskrypty, biblie i obrazy święte, klasztor w skałach, a także najstarszy meczet al-Nejashi wzniesiony w VII w. przez pierwszych muzułmanów

i tamtejsze grobowce dwunastu towarzyszy Proroka Mahometa. „To kulturowe czystki, których celem jest zniszczenie duszy Tigraju” – twierdzi prof. Gervers.

Konflikt na Dachy Afryki

Masakra przed kościołem w Aksum – gdyby doniesienia o niej zostały potwierdzone – byłaby jedną z wielu zbrodni, do których doszło w Tigraju. Nie wiadomo, ilu ludzi zginęło w całej prowincji. Mówi się, że tysiące. Od początku wojny etiopskie władze nie wpuszczają do Tigraju nikogo postronnego. Uciekinierzy – ok. 60 tys. z nich schroniło się za granicą sudańską – oraz nieliczni przedstawiciele ONZ i organizacji dobroczynnych, którym rząd z Addis Abeby też broni dostępu do Tigraju, opowiadają o zbombardowanych miastach, spalonych i splądrowanych sklepach, spichlerzach i polach, o grabieżach i gwałtach, dokonywanych przez żołnierzy i milicję Amharów. Mówią, że jedna trzecia mieszkańców Tigraju mogła stracić dach nad głową, a setki tysięcy mogą przymierać głodem i chorować, bo oprócz żywności brakuje też czystej wody – tę do picia ludzie czerpią z rzek.

Organizacje dobroczynne podejrzewają, że etiopski rząd nie wpuszcza ich ➔

→ do Tigraju, by ukryć bezmiar zbrodni, a także, żeby zdusić rebelię głodem – za przykładem cesarza Hajle Sellasiego i pułkownika Mengistu. Bo choć buntownicy, którym przewodzi były dowódca etiopskiego wojska gen. Tsadkan Gebretnsae (pod koniec XX w. Tigrajczycy stanowili większość oficerów w wojsku i tajnych służbach), poddali miasta, to wycofali się w niedostępne i znane im dobrze góry (Tigraj, kraina położona na wysokości prawie 2 tys. metrów, zwana jest Dachem Afryki). Stąd chcą walczyć dalej, jak kiedyś przeciw Mengistui. Przed wojskiem w góry uciekają też tigrajscy chłopcy. Są w nich bezpieczni, ale nie mają co liczyć na żywność ani lekarzy.

Przedstawiciele ONZ nie mogą doliczyć się 100 tys. uchodźców z Erytrei, którzy przed wojną żyli w obozach w Tigraju, tuż za miedzą. Władze z Addis Abeby zaprzeczają, ale pojawia się coraz więcej dowodów, że do rozprawy z Tigrajczykami premier Abiy Ahmed zaprosił sąsiadów z Erytrei, a jej przywódca Isajas Afewerki skorzystał z okazji i rozgromił obozowiska uchodźców, a wielu z nich kazał sprowadzić z powrotem do kraju.

Wspólny wróg łączy

Przebiegły 75-letni Isajas Afewerki, od 30 lat rządzący Erytreą jak tyran, omamił ponoć etiopskiego premiera pomysłem unii etiopsko-erytrejskiej. Położona nad Morzem Czerwonym Erytreą była kiedyś prowincją etiopskiego królestwa, potem kolonią Osmanów, Włochów i Brytyjczyków, a na końcu znów Etiopii. Afewerki walczył jako partyzant o jej niepodległość, przeciw wojskom cesarza i Mengistu. W 1991 r., po trzydziestoletniej wojnie, Erytrejczycy do spółki z partyzantami z sąsiedniego Tigraju pokonali „Czerwonego Negusa”. Zenawi, komendant Tigrajczyków, objął rządy w Addis Abebie, a Afewerki w Erytrei, która dwa lata później ogłosiła niepodległość. Tigrajczycy musieli się na to zgodzić, choć dla Etiopii oznaczało to rozpad państwa i utratę dostępu do morza.

Partyzanckie braterstwo szybko się skończyło i towarzysze broni stali się nienawistnymi wrogami. Pod koniec XX w. Etiopia i Erytreja stoczyły graniczną wojnę, w której zginęło ponad 100 tys. ludzi. Pokój między Addis Abebą i Asmarą zapanował dopiero, gdy od władzy w Etiopii odsunięci zostali Tigrajczycy, a przejął ją Abiy Ahmed.

W poczuciu dziejowej
misji Abiy Ahmed wierzy,
że odrodzone pod jego
wodzą etiopskie imperium
zaprowadzi pokój,
**porządek i dobrobyt
w całym Rogu Afryki.**

Wspólny wróg połączył Afewerkiego i Abiyę (w ciągu dwóch lat odwiedzali się w swoich stolicach aż dziewięć razy), a Erytrejczyk obiecał Etiopczykowi pomoc w najeździe na Tigraj – w zamian za wolną rękę w rozprawie z erytrejskimi uchodźcami i za zgodę na zajęcie przez Erytreę granicznych ziem, o które pod koniec XX w. toczyła się wojna (Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości przyznał jej wprawdzie właśnie Erytrei, ale Etiopia dotąd ignorowała ten wyrok).

Wizja imperium

Napomykając jesienią ubiegłego roku Abiyowi o unii, Afewerki trafił w najczulszy punkt etiopskiego przywódcy. Abiy, pobożny zielonoświątkowiec, wierzy, że władzę objął z woli Opatrzności, która powierzyła mu – niczym mesjaszowi – zadanie zbawienia Etiopii i przywrócenia jej świetności. Uznał, że można tego dokonać jedynie przez całkowitą przebudowę etiopskiego państwa i rewolucję moralną. A przeprowadzić można je, jak twierdzi, tylko scalając kraj i skupiając władzę w rękach jednego przywódcy i jednej stolicy. Autonomię prowincji Abiy uważa za pierwszy krok do rozpadu państwa. „Jeśli przestrzega się praw jednostek, to szanowane są w ten sposób także prawa wspólnot” – powiada, a swoją polityczną filozofię określa amharskim słowem *medemer*, oznaczającym „zgodę” i „współpracę”.

Pilnych słuchaczy Abiy znalazł w Amharach, którym marzy się nie tyle demokracja, co wskrzeszenie państwa opartego na wschodnim chrześcijaństwie, amharskiej kulturze i mowie oraz na tradycji etiopskiego imperium, którego byli władcami i strażnikami.

Jednak Abiy, któremu władza uderzyła do głowy, w poczuciu dziejowej misji mierzy jeszcze wyżej: pod jego przywództwem odrodzona Etiopia zaprowadzi pokój, porządek i dobrobyt w całym Rogu

Afryki, kolebce kuszyckich ludów Oromów, Sidamów, Afarów, Issów, Felaszów, Somalijszyków i sudańskich Bedża. Dwa lata temu podpisał z nieufnymi sąsiadami, Erytreą i Somalią, umowę, zacieśniającą ich współpracę gospodarczą i wojskową. Zgodnie z nią somalijscy żołnierze szkolą się w Erytrei – wygląda na to, że Afewerki ich także (mówi się o 2,5 tys. ludzi) posłał na wojnę do Tigraju.

Stare podziały i nowe sojusze

Na wskrzeszenie dawnej Etiopii nie zgadzają się Oromowie i inne ludy etiopskiego południa, które – podbite przez zstępujących z gór Amharów i Tigrajczyków – stały się w ich imperium poddanymi, ale nie pełnoprawnymi obywatelami. Nazywają imperium „więzieniem narodów”, a tęsknoty za jego dawną świetnością kojarzą im się z groźbą nowej niewoli w państwie Amharów.

Za konfederatów mają się dziś także Tigrajczycy. Rządząc w Addis Abebie, przekształcili kraj w federację prowincji, podzielonych między najliczniejsze ludy. Sami objęli we władanie rodzinny Tigraj, a jako najsilniejsi w partyzantce przewodzili też w wyrosłym z niej Etiopskim Ludowo-Rewolucyjnym Froncie Demokratycznym, partii rządzącej w Addis Abebie (do Frontu należał także Abiy). Postawili na federalizm, bo w scentralizowanym kraju, jako nieliczni, nie mieliby szans na utrzymanie władzy. A tak, napuszczając przeciw sobie Amharów i Oromów, zapewniali sobie spokojne dyktatorskie rządy.

W wojnie z Abiyem Tigrajczycy wyciągają rękę do niedawnych wrogów, Oromów, którzy zrazili się do swego rodaka-premiera i nie uważają go już za swojego. Tigrajczycy liczą też na bliskich i dalszych sąsiadów. Sudan wspierał ich, gdy walczyli przeciw Mengistui, a dziś kłóci się z Abiyem o miedzę.

Najważniejszy spór – i to z gatunku „być albo nie być” – który dzieli Etiopię z Sudanem, a przede wszystkim z Egiptem, toczy się o życiodajne wody Nilu: w 2022 r. Etiopia ma przegrodzić rzekę największą w Afryce zaporą (już zaczęła napełniać zalew). Żeby zmusić Addis Abebę do ustępstw, mużulmanie rządzący w Chartumie i Kairze gotowi są pójść na układ nawet z chrześcijańskimi Tigrajczykami.

Zapowiada się długi konflikt.

©© WOJCIECH JAGIELSKI

SIŁA SAMOORGANIZACJI

PROF. SZIFRA SZWARC, HISTORYK OCHRONY ZDROWIA:

Za izraelskim sukcesem związanym ze szczepieniami przeciw COVID-19 stoją kasy chorych. Ich korzenie sięgają żydowskiej diaspory.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:

Na krakowskim Kazimierzu jest ulica Kupa, jej nazwa budzi często zdziwienie. Tymczasem pochodzi ona od hebrajskiego kupat holim – kasa chorych. Dziś w Izraelu ta nazwa pojawia się w każdym serwisie informacyjnym, bo to kasy organizują masowe szczepienia przeciw COVID-19.

SZIFRA SZWARC: Żydowskie kasy chorych narodziły się w Europie Wschodniej, także w Polsce, a potem odrodziły się w Erec Israel [hebr. Ziemia Izraela; Żydzi nazywają tak obszar współczesnego Izraela jeszcze przed powstaniem państwa – red.]. Słowo *kupa* oznacza w żydowskiej tradycji naczynie, do którego zbiera się pieniądze dla ubogich, chorych, głodnych. W żydowskich społecznościach tworzenie takich *kupot* [liczba mnoga od *kupa* – red.] było powszechne. To zresztą

typowe nie tylko dla społeczności żydowskich, w podobny sposób pieniądze dla potrzebujących zbierało wiele instytucji, np. Kościoły.

Gdy w pierwszych latach XX w. do Erec Israel napływają socjaliści z terenów dzisiejszej Polski, Ukrainy czy Rosji – tacy jak Dawid Ben Gurion i Icchak Ben Cwi – przywożą ze sobą pewną ideę: chcą pracować z ziemią, na roli. Nie chcą zakładać miast, lecz wsie: kibuce, moszawy [spółdzielnie rolne – red.]. Nie przyjmą pieniędzy od barona Edmonda Jamesa de Rothschilda [francusko-żydowski mecenas sztuki i filantrop, wspierał finansowo emigrację żydowską do Palestyny – red.], bo to sprzeczne z ideą socjalistyczną. Jednak szybko okazuje się, że potrzebna jest systemowa pomoc: praca na roli nie jest łatwa, pojawiają się choroby, jak malaria, cholera, tyfus itd. Kto zapłaci za leczenie chorych i gdzie otrzymają pomoc? Lekarze

i szpitale są w dużych ośrodkach, jak Jaffa czy Jerozolima. Pracownik z moszawu musiałby jechać konno wiele godzin, bez pewności, czy na miejscu zostanie przyjęty. A to nie wszystko. W 1911 r. pewien pracownik rolny z Petach Tikwy traci rękę podczas pracy. Kto zapewni mu byt?

Socjaliści nie mają wątpliwości, że trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie. Berl Katznelson, intelektualny lider ruchu Avoda [Praca], ogłasza, że trzeba powołać system *kupot holim*.

Socjaliści sięgają po pomysł, który znają z Europy?

Tak, odwołują się do rozwiązania istniejącego już w żydowskich społecznościach. Przyglądają się też innym przykładom europejskim, jak *Krankenkassen*, →

Na zdjęciu powyżej: pielęgniarka w kibucowej klinice, lata 20. XX w.



Usługi dentystyczne w odległych miejscowościach, lata 20. XX w.



Żydowscy imigranci spryskiwani środkiem odkażającym (DDT).

→ kasy chorych, które pod koniec XIX w. stworzył w Niemczech kanclerz Bismarck. Na ich bazie socjaliści tworzą nową rzecz: system ubezpieczeń i opieki zdrowotnej dostępnej dla każdego w niewielkiej odległości od miejsca zamieszkania. W praktyce wygląda to tak, że pieniądze zebrane w ramach *kupot holim* idą na stworzenie systemu przychodni w każdym kibucu i moszawie. Taka przychodnia jest skromna, jak wszystko wówczas: to może być parę łóżek w namiocie albo w crifie, drewnianym baraku. W każdej przychodni jest też apteka z podstawowymi lekami. Przychodnię obsługują pielęgniarki zatrudniane z pieniędzy kasy chorych. Dzięki temu pomoc może być udzielana na miejscu i natychmiast.

Kupot holim to nie tylko przychodnie, ale też ubezpieczenie zdrowotne dla każdego pracownika. Umożliwia np. wzięcie urlopu chorobowego. Socjaliści decydują, że na rzecz kasy chorych pracownik musi płacić równowartość jednego dnia ze swojej wypłaty. Każdy, kto przyjeżdża do Erec, dostaje trzy miesiące ubezpieczenia za darmo.

Te pieniądze wystarczają? Mówimy o okresie przed powstaniem państwa Izrael. Możliwość kasy pozyskują jakieś dodatkowe finansowanie?

Nie, to przecież są socjaliści! Kasy działają tylko z pieniędzy składkowych. Jak wspomniałam, w skromnych warunkach. Oszczędza się na biurokracji, jest ona prowadzona niemal całkowicie przez wolontariuszy, wynagrodzenie dostaje zwykle tylko jedna osoba odpowiedzialna za sprawy administracyjne.

Sukces pierwszej kasy chorych i przychodni, otwartej w Petach Tikwie w 1911 r., pociąga szybko rozwój kolejnych. Palestyna jest wtedy częścią Imperium Osmańskiego, Turcy nie dbają

o opiekę zdrowotną dla mieszkających tu Żydów. Podobnie jak Brytyjczycy, rządzący od 1922 r. Samoorganizacja sprawia, że żydowscy pracownicy idą spać spokojnie, bo mają ubezpieczenie. Nagła choroba, konieczność hospitalizacji w Jerozolimie, kupno leku czy urlop zdrowotny – to jest finansowane z ubezpieczenia.

W tym, co Pani mówi, dużo jest ideologii.

Idea syjonistów jest prosta: wspólnota troszczy się o zdrowie jej członków. Wspólnota to zresztą podstawowa wartość w judaizmie i syjonizmie.

Wtedy sukces kas chorych szybko dostrzegają rzemieślnicy z miast. Chcą dołączyć do systemu. Socjaliści mogliby powiedzieć: nie, ten system jest tylko dla nas, nie dla miejskiej burżuazji. Ale wartości syjonistyczne każą im przyjąć do kas także tych, którzy nie pracują na roli.

Spółeczność się rozrasta, jak wygląda wtedy opieka nad kobietami ciężarnymi i dziećmi?

W czasie pierwszych alij [hebrajskie określenie emigracji do Palestyny i potem Izraela – red.] w moszawach należących do Rothschilda płacono położnym, które przychodziły do domów i pomagały kobietom rodzić. Ci, którzy sami zakładali kibuce i moszawy, nie mieli takich warunków. Zresztą na początku nie mieli nawet domów, żyli w namiotach lub crifach, dzielonych między dwie-trzy pary. Dlatego w 1916 r. socjaliści decydują, że robotnice będą rodzić w szpitalach. To pierwsza taka inicjatywa na świecie – w tym czasie rodzi się przede wszystkim w domach. To nie wszystko: po porodzie kasy chorych wysyłają kobiety na odpoczynek. To bardzo postępowy myśl.

Równolegle w 1913 r. powstaje Tipat Halav [Kropla Mleka]: sieć przychodni

dziecka zdrowego, działająca – podobnie jak kasy chorych – w każdej miejscowości. Tipat Halav funkcjonuje do dziś, z tą tylko różnicą, że obecnie jest finansowana przez państwo.

Dziś w Izraelu są cztery duże kasy chorych: Clalit, Maccabi, Meuhedet i Leumit. Każdy mieszkaniec musi należeć do którejś z nich.

One też mają swoją historię. W 1920 r. pojawia się organizacja robotników Histadrut. Dziewięć lat po utworzeniu pierwszych kas chorych organizacja ta bierze je pod swój parasol. Potem przyjmą wspólną nazwę Clalit i staną się największą kasą chorych w Izraelu. W 1930 r. powstaje nowa kasa, Amamit – dziś pod nazwą Meuhedet. W 1933 r. pewne okoliczności polityczne sprawiają, że powstaje kolejna: Leumit. Ostatnia, Maccabi, jest Niemiec, inna: zakładają ją przybysze z Niemiec, wzorujący się na systemie Bismarcka. Kasy Maccabi istnieją na początku tylko w dużych miastach, dopiero w latach 90. XX w. – zmuszone przez prawo mówiące o tym, że każdy mieszkaniec może wybrać spośród nich, a więc musi mieć dostęp do wszystkich – rozprzestrzeniają się po całym kraju.

Jak dziś jest finansowana opieka w ramach kas chorych?

Każdy z nas płaci wybranej kasie procent z pensji, w zależności od jej wysokości. Dokładniej mówiąc: państwo pobiera z pensji podatek i z tego odprowadza odpowiednią sumę na kasę chorych. Statystyki mówią, że odsetek obywateli należących do kas zawsze był wysoki – nawet przed 1995 r., gdy kasy wybierano dobrowolnie, było to ponad 90 proc. Dziś do kas należą obowiązkowo wszyscy mieszkańcy Izraela, nie tylko jego obywatele.

A więc znów nie mówimy tu o bogatych instytucjach.

To nie są instytucje, w których chodzi o wielkie pieniądze, w związku z tym nie przyciągają biznesmenów i polityków, nikomu nie przychodzi do głowy, żeby robić w nich jakieś malwersacje. To niezależny system, który pracuje tylko na siebie.

Gdy w 1977 r. powstał pierwszy od początku istnienia Izraela rząd bez udziału partii lewicowych, a premierem został Menachem Begin z prawicowego Likudu, kasy chorych – o korzeniach przecież lewicowych – weszły w polityczny konflikt z władzą. Zaczęły mieć problemy finansowe. W 1995 r. ustanowiono prawo o narodowych ubezpieczeniach zdrowotnych. To był moment, gdy państwo mogło zaingerować, sprywatyzować lub upaństwowić kasy chorych. Ale tego nie zrobiło, bo wzięło pod uwagę, że system sprawdza się od niemal stulecia, więc nie ma powodu, by go zmieniać. Dziś wszystkie kasy oferują tę samą podstawową opiekę i wszystkie podlegają jednemu prawu.

Jest jeszcze jedna przyczyna ich sukcesu. Ze statystyk wynika, że 80 proc. wszystkich świadczeń lekarskich dotyczy opieki podstawowej. Ludzie nie chodzą codziennie do specjalistów. Z reguły, gdy mamy taką potrzebę, idziemy do lekarza pierwszego kontaktu. Jeśli opieka podstawowa jest prowadzona prawidłowo, maleją wydatki na opiekę specjalistyczną.

Mam wrażenie, że to także kwestia profilaktyki. Park, obok którego mieszkam, stale pełen jest biegaczy, wielu w starszym wieku. Zdrowiu Izraelczyków sprzyja też klimat i lekka dieta. To chyba odciąża służbę zdrowia?

Gdy ludzie są świadomi, a opieka podstawowa rzetelna, jesteśmy zdrowsi. Widzimy to w Holandii i krajach skandynawskich. Ważną rzeczą jest edukacja, np. od małego jesteśmy uczeni, że szczepienia to coś dobrego. Gdy nadchodzi termin jakiegoś szczepienia, np. na grype, Izraelczyk dostaje zachęcający SMS. Ze statystyk wiemy, że przeważająca większość idzie na te szczepienia. To samo z Tipat Chalav: nie ma matki, która by nie zabierała dziecka do przychodni na ustaloną wizytę. Jeśli nie przyjdiesz, odwiedza cię pielęgniarka i sprawdza, co dzieje się z twoim dzieckiem.

Izraelczycy nie protestują, gdy premier ustala z koncernami farmaceutycznymi, że udostępni im dane zdrowotne dotyczące skutków szczepień w zamian za szybkie dostawy szczepionek. Niektórzy mogliby mu zarzucić, że zamienia kraj w pole eksperymentu. Ale takich głosów niemal tu nie słyszę.

Nie uważam, żeby ktoś robił na nas eksperyment. Pfizer zakończył swoje testy, a jego szczepionka została zatwierdzona. Wspomniałam już, że w Izraelu od małego jesteśmy uczeni, że szczepionka to dobra rzecz. Nie mamy wielu potwierdzonych przypadków, które świadczyłyby o czymś innym. Nic dziwnego, że dziś Izraelczycy szukają wszelkiego sposobu, by zaszczepić się jak najszybciej. Moje córki, obie poniżej 40. roku życia, sprawdziły, które przychodnie mogą mieć nadwyżkę szczepionek, udały się do odległych miejscowości późnym wieczorem i cierpliwie czekały, licząc, że trafią na niewykorzystane dawki. I tak się stało – choć teraz w Izraelu szczepi się grupa powyżej 40. roku życia, one dostały szczepionki już przed miesiącem. To bardzo izraelskie: powiedz komuś, że nie dostanie szczepionki, to robi wszystko, by jednak ją dostać. Takie mamy do szczepionek zaufanie.

Ale wydaje mi się, że ważne jest też duże zaufanie do naszego systemu



ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. SZIFRA SZWARC pracuje na Uniwersytecie Ben Guriona w Beer Szewie, specjalizuje się w dziejach medycyny, opieki i ubezpieczeń zdrowotnych w Izraelu. Jest zastępczynią sekretarza generalnego Międzynarodowego Towarzystwa Historii Medycyny (ISHM).

ochrony zdrowia, do kas chorych, które działają już sto lat, a jeszcze nigdy nie zdarzyła im się jakaś wielka katastrofa. Przecież one są starsze od Izraela! Wystarczy wspomnieć milionowe alije w latach 50. XX w., gdy tworzyło się państwo, a kasy działały już szalenie sprawnie i ludzie, którzy przyjeżdżali tu z całego świata z różnymi chorobami, dostawali właściwą opiekę. Podobnym sukcesem były szczepienia przeciw polio: Izrael był pierwszym krajem po USA, który zaszczepił populację.

Izraelskie kasy chorych uchodzą też za jedne z najnowocześniejszych. Informacje o moim zdrowiu znajduję w aplikacji w smartfonie.

Kasa Maccabi już w latach 80. XX w. postanowiła zdigitalizować informacje o swoich członkach. Pierwszy program komputerowy do ich obsługi przygotował nasz uniwersytecki kolega Alon Zucker. Gdy okazało się, że jest skuteczny, pozostałe kasy poszły tą drogą. Maccabi była jedną z pierwszych kas chorych na świecie, która zdecydowała się na ten krok.

Dziś każda nasza kasa chorych ma ogromną bazę danych. W takiej bazie jest też wielka siła naukowa, bo z pomocą tych danych udało się rozwiązać wiele medycznych problemów. Dla pacjentów to także nowy wymiar opieki: swojej karty pacjenta używasz w przychodni, w aptece, bo są na niej zapisane recepty, a potem w domu z jej pomocą możesz załagować się do systemu i uzyskać wszystkie informacje na temat stanu zdrowia. Amerykanie od razu powiedzieliby, że nie godzą się na zapisywanie swoich danych w kawałku plastiku, ale Izraelczycy nie mają z tym problemu. Większość wierzy w naukę – może poza społecznością ortodoksyjną. Nie mają problemu z tym, że ich dane zdrowotne są wykorzystywane do badań.

Inne kraje mogą nauczyć się czegoś od Izraela?

Tworzenia kas chorych! W Europie Środkowo-Wschodniej wciąż jest oczekiwanie, że to państwo zajmie się obywatelami i zadba o jego zdrowie. U nas ponad stuletnia historia kas chorych pokazuje, że w dziedzinie ochrony zdrowia nie trzeba być zależnym od państwa.

Rozmawiała w Izraelu

©P KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: Wiesia



SIEDZI W POCIĄGU, PRZY OKNIE. PATRZY na ojca. Ojciec stoi na peronie, nosi polowy mundur, pierwszy raz widzi go w takim mundurze.

W przedziale siedzą dzieci i żony oficerów.

Pociąg rusza. Ojciec salutuje.

Zaczyna płakać.

Płacze i płacze, coraz głośniej, coraz rozpaczliwiej. Matka próbuje ją uspokoić, panie częstują landrynkami, nie płacz, mówią, wojna zaraz się skończy, tatuś pobije Niemców i wróci, za trzy tygodnie zobaczysz tatusia...

Jakie zaraz, jakie pobije, za idiotkę ją mają? Ma już siedem lat i dobrze wie, że panie w przedziale plotą bzdury.

Pisze listy na kartkach z nadrukiem w dwóch językach. Diese Seite ist für die Angehörigen des Kriegsgefangen. Ta strona jest przeznaczona dla krewnych jeńca wojennego. Pisać tylko ołówkiem, wyraźnie i nad liniami.

Pisze ołówkiem i nad liniami.

Najdroższy Tatusiu. Dziś w Twym Dniu Imienin jeszcze życzeń nie mogę złożyć Ci osobiście...

Najukochańszy Tatułku! Nie martw się, bo niedługo będziemy się znowu radować w ojczyźnie. Bardzo długo padały deszcze, dziś było sucho...

Kochany Tatułku...

Przed Bożym Narodzeniem matka kupuje karbowaną bibułkę, zawsze w dwóch kolorach. Robią z niej gwiazdy, łańcuchy, girlandy różne. Chojnka będzie biało-czerwona, w tym roku i w przyszłym, i do końca wojny.

Matka karci ją za głośny śmiech. To nie jest czas na wesołość, tatuś i ojczyzna są w niewoli.

Matka jest ładna, ma duże, piwne oczy i śniadą cerę. Jest opanowana i uprzejma. Nie rozpacza, nie złości się, nie podnosi głosu. Jej przedwojenne bluzki są zawsze czyste i uprasowane. Jest estetyczna.

Idą podmiejską, podkrakowską ulicą, chyba jest to Borek Fałęcki, bo z pobliskiego Solvayu snuje się dym.

Z naprzeciwka idzie w ich stronę kobieta, trzyma za rękę dziewczynkę w jej wieku.

Z daleka widać, kim są.

Dobrze byłoby, gdyby skrzyły, poszły gdzieś swoją drogą.

Niestety, zbliżają się i kobieta mówi: – Tylko dzisiaj. Tylko na jedną noc.

Matka ze swoim uprzejmym uśmiechem chce się wytłumaczyć. – Mieszkamy kątem, u wuja, który... Nie, nie...

Przepraszam panią... Otwiera torebkę, wyjmuje banknot. Tamta nie chce jałmużny, mówi: – Proszę coś kupić od nas. Zdejmuje z dziewczynki sweterek i podaje matce. – Nam już nie będzie potrzebny.

Sweterek jest granatowy, z puszystej, miękkiej wełny. Przy rękawach i przy kołnierzyku ma wąski, czerwony szlaczek.

W tamtych czasach dzieci rosły bardzo powoli i sweterek będzie nosiła bardzo długo, do końca szkoły podstawowej.

Jak się skończy wojna, to tatuś pozwoli mi do wszystkiego się zapisać, zwierzył jej się podczas wojny kolega-równieśnik.

Rozumie go. Też chce się zapisać.

Zapisuje się do ZMP.

Chce dyskutować, myśleć, szukać i znajdować. Chce być razem.

Ojciec mówi: – Każdy reżim wychowuje sobie własną młodzież. Ale nie gniewa się. Wrócił z Niemiec pociągiem sanitarnym. Zaczyna umierać.

My zetempe, my zetempe

Reakcji nie boimy się –

śpiewa, maszerując krakowskimi Plantami. Słyszysz odgłos gniewnie zamykanych okien w mijanych kamienicach. No, to śpiewa jeszcze głośniej –

My zetempe, my zetempe...

Chce napisać książkę. Nie o tych, co zamykali okna.

O nich, którzy śpiewali. O sobie, młodszej o czterdzieści lat, która radośnie wywrzaskiwała na Plantach.

Gromadzi wspomnienia, stare dokumenty różne.

...trwa walka z analfabetyzmem, ale w świetlicy nie ma szyby i brakuje węgla,

...daje się zauważyć wsteczność, ubojowanie młodzieży jest za małe,

...pojechali na wycieczkę, poszli do kościoła i śpiewali „Boże, coś Polskę”, było dochodzenie, ci, co byli na dole, zeznali, że śpiew dochodził z chóru, ci, co na chórze, że z dołu, dochodzenie nie przyniosło rezultatów,

...na zebraniu udało się zaostrzyć walkę klasową,

...w liceum plastycznym studiują historię WKP(b), wszechzwiązkowej partii bolszewików,

...z Akademią Sztuk Pięknych nadal jest związany były profesor Tadeusz Kantor, który ćwiczy ze studentami w duchu formalistycznym,

...ojciec koleżanki, która kandyduje na członka organizacji, oprawia obrazy o treści religijnej, kandydaturę odrzucono, ale za mało zdecydowanie,

...kolega K., instruktor zarządu powiatowego, poszedł na wieś na wesele i wdał się w bójkę o dziewczynę, na drugi dzień wziął siedmiu kolegów, uzbroidł ich w pocięte węże hydrauliczne i cała ósemka udała się do tamtej wsi, należy zbadać pod kątem klasowym ludzi, którzy pobili kolegę K.

I tak dalej.

Nie napisze książki o ZMP, nie zdąży.

Szkoda.

Jest marzec, sześćdziesiąty ósmy rok. W jej redakcji, słusznej ideowo i przeraźliwie nudnej, zwołują zebranie. Nie chce iść, ale odwrót jest odcięty – w drzwiach stoi sekretarz partii i własnym ciałem zagradza drogę dezertantom.

Naczelnny redaktor mówi o syjonizmie, czyta z kartki partyjne wytyczne, pyta, czy ktoś chce zabrać głos, nikt, no to kończymy, i wtedy ona podnosi rękę.

Dlaczego?

Bo żal jej redakcyjnego kolegi – Żyda, który siedzi koło niej i ma przerażone oczy? Kolega jest szczerym, ideowym komunistą, który zawsze wszystko rozumiał. Zwłaszcza politykę partii rozumiał – wobec kułaków, wobec akowców, wobec Kościoła... Teraz dopiero, w sześćdziesiątym ósmym przestał rozumieć. Dobrze mu tak, myśli bez współczucia o ideowym koledze.

No to dlaczego?

Bo przyzwoity człowiek nie może milczeć? Bo jeśli tego nie zrobi, będzie jej wstyd przez resztę życia? Bo broni przed kimś dziewczynki w granatowym sweterku, której kiedyś, dawno temu, obronić nie była w stanie?

Podnosi rękę. Wstaje, nieco roztrzęsionym głosem mówi o nienawiści rasowej i prosi, żeby jej osobiście do tej hańby nie mieszać.

Wyrzucają ją z pracy, jest bezrobotna, ma zakaz druku przez kilka lat.

Pisze swój najważniejszy, najbardziej znany tekst – o budowie kościoła w Zbrozsy Dużej. Ma się ukazać w „Tygodniku Solidarność”, ale jest stan wojenny i „Tygodnik” zostaje zawieszony. Jej przyszły zięć drukuje reportaż na powielaczu w zakrystii zbrozeńskiego kościoła. Jest w nim o porwaniu księdza, aresztowaniach mieszkańców wsi, najazdach uzbrojonej milicji, o kobiecie, która jakaś niewpływowa była, nic sobie nie robiła z niczego i oddała połowę tajni na kaplicę. Reportaż o tym, jak ludzie najpierw chcieli kościoła, a potem zamarzyła im się wolność.

Dostaje listy z ośrodka odosobnienia i z aresztu śledczego, z czerwonym nadrukiem na kopercie – ocenzone.

Nadawca, Adam Michnik, syn Ozjasza (Warszawa, Rakowiecka 37) pisze jej, że czyta Simone Weil, świętą heretyczkę. A także Prousta. Proust to geniusz. Nauczył go podziwiać stare filizanki. Nauczył go inaczej spoglądać na świat. Proust jest Europejczykiem, ale i on jest Europejczykiem – z alei Przyjaciół. Jak Konwicki, Europejczyk z Kolonii Wileńskiej.

Jurek niestety wykręcił mu kolejny numer. Powiedział, że polityczni trzymani są z politycznymi, nie z kryminalistami, więc zażądał przeniesienia do politycznych. Usłyszał, że tu nie jest konferencja prasowa, tylko pudło.

Jurek to jej były mąż, aktualny rzecznik rządu.

Nadawca kartki z ośrodka odosobnienia Tadeusz Mazowiecki zapewnia, że jest zdrow i dobrego ducha, czego i jej życzy, tyle nam przecież wolno.

Miała dziwny sen. Śniło jej się, że jest skazana na śmierć przez spalenie na stosie. Nie boi się śmierci. Niepokoi ją myśl, czy stanie na wysokości zadania. Zadanie polega

na tym, by wszystko, co się zdarzy, przyjąć spokojnie i z godnością. Kombinuje w tym śnie, jak by tu zemdleć jak najprędzej i nie czuć, ale czy zemdlona i bez czucia zachowa godność? Przywołuje przykłady z literatury, ale książek nie pisali ci, których palono, pisali świadkowie, obserwatorzy. Zaczyna się zastanawiać – w tym śnie nadal – czy godność wymaga spokoju. Bo może wcale nie. Może godność to obrona, awantura i hałas. Jaki będzie większy pożytek – społeczny pożytek ma na myśli. Ze spokoju czy z awantury, która – przynajmniej – jest nieco wulgarna.

Budzi ją radio i łagodny głos spikera, który zapowiada plebiscyt piosenki.

Stosu nie będzie.

Zawiadamia Administrację Domów Mieszkalnych, że nie zamierza płacić za centralne ogrzewanie, ponieważ w jej mieszkaniu jest zimno. Nie będzie też płacić za nadmetraż...

„Mój tatuś bardzo dobrze wyglądał w mundurze, ale dobrze mu też było w niebieskim, w niebieskiej koszuli na przykład. Zwykle chodził w bryczesach i wysokich butach. W przedpokoju na stelażu stała jego szabla z ozdobnymi frędzlami przy rękojeści, nosił ją do mundur galowego mój tatuś...”

(Tekst jest napisany niewyraźnie, kilka dni przed śmiercią).

Dziękuję Magdzie Grzesiak za udostępnienie mi archiwum Wiesławy Grocholi, jej matki.

Wiesia była pierwowzorem Marty, jasnej bohaterki książki pod tytułem „Sublokatorka”.

PS

W felietonie „Kontrakty” dwa tygodnie temu miał być przypis:

Elżbieta Janicka, Joanna Tokarska-Bakir

„Sublokatorstwo jako kategoria kultury polskiej”.

„Studia Litteraria et Historica”, numer poświęcony sublokatorstwu.

Przypis nie ukazał się. Przykro mi. ©

OD REDAKCJI:

Bardzo przepraszam – przez moją nieuwagę z felietonu „Kontrakty” w „TP” 4/2021 wypadł odsyłacz do przypisu, a za nim i ten właśnie przypis.

Obiecuję poprawę.

Tomasz Fiałkowski

MIKROAGRESJE

Amerykańskie uczelnie opanowała „kultura bezpieczeństwa”.
Psycholodzy nie są zgodni,
jakie będą jej długofalowe konsekwencje.

JAREK GRYZ



KOBIETA I MĘŻCZYŻNA WCHODZĄ DO salonu z zamiarem kupienia samochodu. Choć samochód jest dla niej, sprzedawca od samego początku rozmawia niemal wyłącznie z nim.

Mały chłopiec spaceruje z ojcem w parku. Naprzeciwko idzie para mężczyzn trzymających się za ręce. Na ich widok ojciec przyciąga chłopca bliżej siebie.

Do kobiety jadącej pociągiem dosiada się czarnoskóry mężczyzna. Kobieta przekłada torebkę na drugą stronę.

Każdy z nas obserwował lub doświadczał podobnych sytuacji. Stereotypy organizują nam życie i nikt nie potrafi do końca się od nich uwolnić. Manifestujemy je często nieświadomie, poprzez gesty, słowa czy mimikę. Być może żaden z bohaterów opisanych historii nie uważałby się za mizogina, homofoba czy ra-

sistę i wszyscy twierdziliby, że w ich zachowaniach nie było żadnych złych intencji. Ale to nie zmienia faktu, że każdy z adresatów ich działań mógł się poczuć urażony. To właśnie mikroagresja.

Nie jest to nowe pojęcie, choć spopularyzowane zostało stosunkowo niedawno. W 2007 r. psycholog Derald Wing Sue z Uniwersytetu Columbia tak je definiował w kontekście dyskryminacji rasowej: mikroagresja to „lakoniczny i powszedni afront wyrażany słowem, zachowaniem lub aspektem otoczenia, zarówno intencjonalny, jak i nieintencjonalny, który sygnalizuje wroga, poniżającą lub negatywną i podszytą rasizmem zniewagę skierowaną do mniejszości rasowych”. Mikroagresja tym różni się od makroagresji w postaci otwartego rasizmu (np. napadów fizycznych), że często wydaje się być niewinna i nieszkodliwa. Wiele osób uzna zapewne, że „ofiary” przytoczonych na początku historii nie doznały żadnej krzywdy – nikt ich przecież nie napadł ani fizycznie, ani werbalnie. Ktoś, kto tak myśli, nie docenia jednak traumy psychologicznej, jaką niesie ze sobą codzienna, systematyczna stygmatyzacja społeczna. Nie trzeba słów, żeby pokazać komuś, że nim pogardzamy.

Krytyczna teoria rasy

Pojęcie mikroagresji stało się szczególnie użyteczne w tzw. krytycznej teorii rasy (ang. *critical race theory* – CRT). Początkowo była ona rozwijana na amerykańskich wydziałach prawa, ale w ostatnich latach rozpowszechniła się na wszystkich kierunkach nauk społecznych. Powstał ruch społeczny, którego podstawową tezę jest konstatacja powszedniości rasizmu w społeczeństwie amerykańskim. Ta powszedniość czy pospolitość czyni rasizm niezauważalnym, a tym samym trudnym do usunięcia. Klasyczne, liberalne pojęcie równości, które każe stosować do wszystkich takie same kryteria, pomaga zwalczać najbardziej spektakularne akty dyskryminacji, ale jest bezużyteczne wobec ukrytych aktów rasizmu, takich jak mikroagresje. „Crits” – jak nazywają siebie orędownicy tej teorii – odzyskują wprost same podstawy porządku liberalnego, łącznie z teorią równości, porządkiem prawnym i oświeceniowym ra-

cjonalizmem. Wobec szokującej trwałości nierówności rasowych potrzebne są agresywne działania na rzecz wyrównywania szans.

Krytyka liberalizmu ze strony CRT, szczególnie w jego historycznym wydaniu, wydaje się dobrze uzasadniona. Liberalizm miał do dyskryminacji rasowej stosunek dość ambiwalentny; wprawdzie potępiał niewolnictwo, ale przez długi czas pochwalał to, co służy budowie imperium. Np. John Stuart Mill mawiał, że „despotyzm jest uprawnioną metodą rządzenia barbarzyńcami”, a Alexis de Tocqueville zachwycił się francuskim podbojem Algierii. „The Economist” w numerze z 11 lipca ubiegłego roku opublikował obszerny artykuł, w którym bije się w piersi – w imieniu liberalizmu – za to, co na jego łamach pisano kiedyś m.in. o kolonializmie czy naturze Indian. Ale przyznaje też, że CRT i liberalizm mogą być nie do pogodzenia. „Crits” uważają, że kto nie jest z nimi, jest przeciw nim, a w pełni uzasadnione jest zawstydzanie, a nawet zastraszanie krytyków – czyli formy agresji. Reakcja na mikroagresje – prawdziwe czy rzekome – pełni tu ważną funkcję. Skoro intencja nie jest warunkiem koniecznym mikroagresji, to odbiorca może decydować o tym, co mikroagresją jest, a co nią nie jest. Łatwo więc zamknąć usta przeciwnikom ideologicznym, twierdząc, że ich opinie są dyskryminujące i obraźliwe. W ten sposób na ołtarzu sprawiedliwości i równości nietrudno poświęcić liberalny imperatyw wolności słowa.

Strajki na kampusie

Oto jedno z wielu takich zdarzeń opisanych w głośnej książce „The Coddling of the American Mind: How Good Intentions and Bad Ideas Are Setting Up a Generation for Failure” (Wydelikacowany umysł: jak dobre intencje i złe pomysły skazują amerykańskie pokolenie na klęskę), autorstwa publicysty i prezesa fundacji FIRE działającej w obszarze edukacji Grega Lukianoffa oraz Jonathana Haidta – jednego z najbardziej wpływowych amerykańskich psychologów społecznych.

Olivia, córka imigrantów z Meksyku, była w 2015 r. studentką Claremont McKenna College (CMC) w Kalifornii. Czuła się na uczelni nieco wyobcowana; większość Latynosów, których widziała na kampusie, stanowiły sprzątaczkę i ogrodnicy. Napiisała więc o swoich doświadczeniach do gazety studenckiej →

JOSH EDELSON / AFP / EAST NEWS



Prawicowy publicysta Milo Yiannopoulos na protestach wywołanych jego wykładem. Berkeley, USA, 2017 r.

→ i wysłała kopię do Mary Spellman, dziekan ds. studenckich CMC. Warto przytoczyć jej odpowiedź w całości:

„Dziękuję za podzielenie się ze mną tym artykułem. Mamy jako college i lokalna społeczność sporo do zrobienia. Czy zechciałabyś porozmawiać ze mną o tych sprawach? Są one dla mnie i moich współpracowników ważne i pracujemy nad tym, żeby jeszcze lepiej wspomagać naszych studentów, szczególnie tych, którzy nie pasują do naszej formuły CMC [w oryginalne: *don't fit our CMC mold*]”.

Wydawać by się mogło, że list Spellman napisany był z troską i życzliwością. Ale Olivia poczuła się urażona sformułowaniem „*don't fit our CMC mold*”, które odczytała tak, że ona i inni kolorowi nie powinni tu studiować (choć sama pisała wcześniej, że czuła się w CMC obco). Olivia zamieściła odpowiedź na swój list na Facebooku – i wtedy wybuchła afera. Zaczęły się demonstracje studentów. Dwoje z nich rozpoczęło strajk głodowy, żądając dymisji Spellman. Dziekan przeprosiła za „niefortunne sformułowanie”, ale studenci przeprosin nie przyjęli. Nikt z administracji nie stanął po jej stronie, w końcu musiała zrezygnować z funkcji.

Incydent w CMC nie był oczywiście wyjątkiem. Inne głośne wydarzenia tego typu miały miejsce na Uniwersytecie Yale (2015) i w Evergreen State College (2017). Podobnie jak w CMC, zarzewiem konfliktu była niewinna z pozoru wiadomość czy opinia wyrażona przez pracownika uczelni. Każda z tych sytuacji mogła być po prostu nieporozumieniem. Nie trudno też znaleźć jego przyczyny. Teza o powszechności rasizmu pozwala szukać go wszędzie, teza o nieintencjonalności mikroagresji pozwala zaś przypisywać rasizm komuś, kto nie miał świadomego zamiaru urażenia czyichkolwiek uczuć. Obie razem pozostawiają kwestię interpretacji mikroagresji w rękach odbiorcy, wręcz zachęcając go do szukania dyskryminacji w każdej wypowiedzi.

Co ciekawe, psycholodzy często sceptycznie odnoszą się do pojęcia mikroagresji. Scott Lilienfeld z Uniwersytetu Emory'ego wątpi wręcz, czy da się je wystarczająco precyzyjnie zdefiniować, by poddać samo zjawisko analizie naukowej. Nie uważa on również za właściwe, żeby pozostawiać wyłącznie w rękach odbiorcy kwestię interpretacji mikroagresji. I nie widzi dowodów na to, że akty mikroagresji są tak samo odbierane

przez wszystkich czy nawet większość członków mniejszości, do których są rzekomo skierowane. Opinie naukowców mają jednak niewielki wpływ na rzeczywistość społeczną. Oto bowiem nie tylko dokonana, ale i potencjalna mikroagresja może być źródłem protestów.

Z prawej i lewej strony

W lutym 2017 r. przemawiać miał na Uniwersytecie w Berkeley Milo Yiannopoulos, skrajnie prawicowy publicysta. Na wieść o tym na kampusie wybuchły zamieszki, w których rannych zostało kilkanaście osób. Wykład Yiannopoulosa został odwołany, żaden z biorących udział w zamieszkach studentów nie poniósł kary. Od tamtego czasu nastąpiła prawdziwa erupcja „odpraszenia” niechcianych gości, a ofiarami byli wykładowcy zarówno z lewej, jak i z prawej strony (według serwisu fundacji FIRE w 2019 r. do takiej sytuacji doszło na kilkunastu amerykańskich uczelniach, na wielu innych odbywały się nieudane protesty).

Czym kierują się studenci żądający odwołania wykładu osoby, z której poglądami się nie zgadzają? Wydaje się, że traktują je jako agresję wobec siebie. Oto przykład. W 2015 r. Zachary Wood, czarnoskóry student o lewicowych poglądach, zaprosił na seminarium, które prowadził w Williams College, konserwatywną antyfeministkę, Suzanne Venker. Jego dość oczywistym celem było zmuszenie uczestników seminarium do skonfrontowania swoich poglądów z obcą im ideologią. Ale sprzeciw studentów wobec wizyty Venker był tak gwałtowny, że spotkanie zostało odwołane – koledzy z uczelni oskarżali Woodsa o „sponsoring dalszego upowszechniania bestialskiej ideologii” i „nurzanie rąk we krwi”.

Protestujący zdają się obawiać szkód, jakie przynieść im może samo wysłuchanie ideologicznego wroga. W wielu wypowiedziach wskazują na potrzebę bezpieczeństwa emocjonalnego, które może być naruszone przez niewłaściwe idee („Czułem się bombardowany wieloma punktami widzenia, całkowicie niezgodnymi z przekonaniami, które są mi bliskie i drogie” – mówił jeden z nich). W jednej z ankiet z 2017 r. 58 proc. amerykańskich studentów (63 proc. skrajnie liberalnych i 45 proc. skrajnie konserwatywnych) zgadzało się z tezą, że nie chcą być wystawieni na uniwersytecie na nietolerancyjne i obraźliwe idee.

Władze wielu uniwersytetów dostosowały się do oczekiwań studentów – w konsekwencji na kampusach zapanowała kultura „bezpieczeństwa” (ang. *safetyism*). Zgodnie z nią obowiązkiem uniwersytetu jest teraz dbanie nie tylko o fizyczne, ale także o emocjonalne bezpieczeństwo studentów. Drexel University zakazał „niestosownego śmiechu”, wiele uczelni organizuje specjalne miejsca, gdzie (i tylko tam) mogą odbywać się w pełni wolne debaty, a Uniwersytet Browna stworzył *safe space* – pomieszczenie, w którym student po wysłuchaniu „nieprzyjemnego” wykładu mógł się otrząsnąć i otrzymać pomoc.

Liberalizm na nowo

Komentatorzy nie są zgodni, jak – i czy w ogóle – kultura bezpieczeństwa wpłynęła na jakość przyszłych amerykańskich elit. Nie wszyscy podzielają obawy wyrażone przez Haidta i Lukianoffa. Umiarkowani krytycy wytykają im eksponowanie skrajnych przypadków kultury bezpieczeństwa jako typowych dla amerykańskich uczelni. Bardziej radykalni podkreślają, w duchu CRT, że żadna otwarta debata nie zlikwiduje rasizmu i seksizmu, dlatego potrzebne są agresywne rozwiązania – takie właśnie, jakie proponuje lekceważona i wyśmiewana „bezpieczeństwo”.

Ale interesujący jest jeszcze jeden problem: wpływ tej kultury na kształt debaty politycznej i społecznej, i to nie tylko w USA. Klasyczny liberalizm od swojego zarania borykał się z problemem wyznaczenia granicy między końcem mojej wolności a początkiem twojej, bo to determinowało zakres indywidualnej wolności słowa. Zjawisko mikroagresji wprowadziło dwa nowe elementy do tej dyskusji. Po pierwsze, zakres obszaru chronionego został rozciągnięty tak szeroko, jak nigdy w historii: wzbudzenie negatywnych emocji u słuchacza jest już wystarczającym argumentem do zamknięcia ust mówcy. Po drugie, to uczucia indywidualnego odbiorcy, a nie konsensus społeczny, decydują o tym, co wolno w dyskusji.

Pandemia na wiele miesięcy zamknęła sale wykładowe, ale problem mikroagresji dotyczy nie tylko amerykańskich uczelni. Temperatura toczonych dyskusji sugeruje, że trudno będzie znaleźć kompromis, który pozwoliłby zredukować mikroagresję bez nadmiernego ograniczania wolności wypowiedzi. © JAREK GRZY



ZOFIA RYDET / EAST NEWS

Zofia Rydet, zdjęcie z cyklu: „Zapis socjologiczny”, seria „Ludzie we wnętrzach – Chorzy i starzy”, Smolnica na Śląsku, 1989 r.

Tacy sami

KATARZYNA DZIADOWICZ

Nowe wyniki badań podważają popularną teorię, zgodnie z którą osoby żyjące w długoletnich związkach fizycznie się do siebie upodabniają.

ZALÓŻMY: ON MA WYRAŹNIE ZARYSOWaną zuchwę, wąskie usta i radosne spojrzenie, ona zadarty nos, puciołowate policzki i duże oczy. Czy do siebie pasują? To pytanie może wydawać się mniej istotne niż choćby kwestia kompatybilnych osobowości. Nie jest jednak bezpodstawne.

Poszukiwanie partnera

W listopadzie w „Scientific Reports” pojawił się raport z badań przeprowadzonych przez Pin Pin Tea-makorn i Michała Kosińskiego z Uniwersytetu Stanforda. Uczestnikom prezentowano twarz kobiety lub mężczyzny, a poniżej zbiór sześciu innych twarzy osób przeciwnej płci. W każdym takim zbiorze znajdowało się zdjęcie męża/żony osoby wy-

świetlonej powyżej oraz pięć innych, losowych fotografii. Wszystkie zdjęcia były czarno-białe i wykadrowane tak, by wyeliminować różnice niezwiązane z twarzą – w tym fryzury, ubrania i tło. Zadaniem badanych było określenie, w skali od 1 do 6, stopnia podobieństwa twarzy z prezentowanego zbioru do twarzy określonego mężczyzny/kobiety. Oceny podobieństwa osób pozostających w związku małżeńskim odbiegały od poziomu losowości – badani oceniali ich twarze jako najbardziej podobne z całego zestawu.

Opisana procedura po raz pierwszy wykorzystana została już ponad 30 lat temu, w badaniach zespołu Roberta Zajonca, słynnego amerykańskiego psychologa polskiego pochodzenia. Jednak zgodnie z uzyskanymi wówczas wynikami osoby pozostające ze sobą w związku miały nie tylko przypominać się z wyglądu, ale nawet upodabniać się do siebie wraz ze stażem związku. Nie chodzi więc tylko o to, że podobieństwa się przyciągają – ale także pogłębiają. W kolejnych latach psychologowie społeczni zaproponowali wiele wyjaśnień tego zjawiska: twarze małżonków miały się upodabniać pod wpływem podobnych przeżyć, emocji, diety czy środowiska życia, a także bezwolnego naśladowania ekspresji mimicznych partnera. Aktywacja tych samych mięśni miałaby wpływać na zmiany naczyniowe i trwale przekształcać fizyczny wygląd.

Jednak w nowym badaniu nie udało się zreplikować tej części wyników uzyskanych przez zespół Zajonca – zidentyfikowane w latach 80. zjawisko prawdopodobnie nie występuje w rzeczywistości. Jego „odkrycie” mogło być skutkiem ubocznym małej liczby rozpatrywanych fotografii (zaledwie 48 w badaniu Zajonca). We współczesnej wersji tego eksperymentu wykorzystano ponad tysiąc zdjęć. Połowa z nich przedstawiała pary na początkowych etapach małżeństwa, a reszta te same pary od 20 do 69 lat później. Osoby badane oceniały podobieństwo małżonków na takim samym poziomie, niezależnie od długości trwania związku.

Cyfrowy sędzia

Ciekawą innowacją względem pierwotnego badania było dodanie nowego sędziego – ocenę podobieństwa powierzono także specjalnemu algorytmowi, zaprojektowanemu pierwotnie do znajdowania tych samych twarzy uchwyconych na różnych zdjęciach (zrobionych pod różnym kątem, w różnych warunkach, przy użyciu różnych urządzeń). Program potwierdził, że osoby żyjące w związkach są do siebie bardziej podobne niż do losowych osób z populacji, ale nie wychwycił różnic w zależności od czasu trwania związku.

Tea-makorn i Kosiński postanowili powtórzyć eksperyment Zajonca, ponieważ jego wnioski kontrastowały z tym, co obecnie wiemy o wpływie różnych cech psychologicznych na wybór partnera. Swoją do swego łgnie bowiem nie tylko gdy rozpatrujemy wygląd, ale także inteligencję, osobowość czy wyznawane wartości, przy czym poziom podobieństwa pod kątem tych cech nie zależy od czasu znajomości. Jak się okazuje – z wyglądem jest tak samo.

Dopóki nikt nie podważy tych doniesień, warto spekulować na temat przyczyn takiego stanu rzeczy. Niedługo po opublikowaniu pierwotnej wersji badania Zajonca, Verlin Hinsz testował możliwe wyjaśnienia, przedstawiając ostatecznie tzw. hipotezę powtarzanej ekspozycji. Opiera się ona na założeniu, że nabieramy pozytywnego stosunku do tego, co często spotykamy, a więc również i do wyglądu własnej twarzy. Ostatecznie oceniamy więc pozytywniej ludzi, którzy nas przypominają, i tacy też częściej zostają naszymi partnerami. ©



KS. ADAM BONIECKI

Ksiądz Janusz Pasierb: przestrzeń nie do ogarnięcia

Ks. Adam Boniecki z Nagrodą im. Janusza Pasierba w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, Kraków, 27 listopada 2020 r. Fot. Jacek Taran

Moja znajomość z księdzem Januszem Pasierbem trwała długo. Byliśmy po imieniu, różnica wieku to było zaledwie pięć lat. Czytając jego teksty nie czułem – jak się przecież zdarza – najmniejszej zazdrości. Dominował podziw. Wiedziałem po prostu, że nigdy tak jak Pasierb pisać nie będę.

Ważne wspomnienia? Jedno, zaskakujący paradoks: Janusz, autor subtelnych esejów i poezji, był nie-zrównany w opowiadaniu świńskich dowcipów – bardzo zabawnych, czasem misternie skonstruowanych literacko. Nie przytoczę przykładów, bo tylko on mógł je opowiadać tak, że nie brzmiały wulgarnie. W komentowaniu aktualnej rzeczywistości był

przenikliwy, ale i dość brutalny. Brutalność była jednak przełamywana wycuciem komizmu, co sprawiało, że komentarz stawał się dobroduszny.

Jego tekst, który wywarł na mnie największe wrażenie? To chyba zapis z dziennika. Janusz dowiaduje się, że ma nowotwór. Kilka zdań, które uruchamiają wyobraźnię. Ten wspaniały Pasierb – uśmiechnięty, kochający życie, ludzi i piękno świata, erudyta, humanista i poeta – nagle się dowiaduje... Zamyka się w łazience, przysiadła na brzegu wanny i myśli: „to już”. Mało czytałem tak dramatycznych tekstów. „Dopóki to jeszcze / nie jest całkiem serio / człowiek szuka ratunku. / Lecz kiedy wreszcie / przychodzi naprawdę / zamyka się ze

sobą / pierwszy raz w życiu / już nie pragnie ludzi / nie chce ich olśniewać / zdobywać posiadać / chce od nich tylko / tej jednej rzeczy, żeby mu / pozwolili / wreszcie / umrzeć” („Kategoria przestrzeni”).

Janusz Pasierb był uczonym, profesorem, badaczem, historykiem sztuki, erudyta, pisarzem, poetą. Ale w tym wszystkim był księdzem. W książce Agnieszki Ewy Nowak „...ważniejsze od szczęścia. Wiera i kultura w dorobku pisarskim ks. Janusza St. Pasierba” stronic poświęcone jego kapłaństwu i duszpasterstwu są szczególnie przejmujące. Jego przenikliwe zapiski wciąż są aktualne. „Msze... coraz wyraźniej pomiędzy szczęściem Boga a grozą



Fot. Danuta Węgiel

Ojciec Leon Knabit OSB

wyróżniony za zaangażowanie w działania duszpasterskie skutecznie trafiające do wielu sfer społeczeństwa oraz nowoczesny, multimedialny sposób ich przekazu: „Ta nagroda jest dla mnie wielką radością, bo według mojej filozofii życiowej można za wyrazy uznania zadzierać nosa, być pysznym, każdy trochę próżności ma. Mogę się zwyczajnie cieszyć, że to, co robię za pozwoleniem przełożonych na zewnątrz, ma pozytywny oddźwięk”.



Fot. Beata Zawrzel/REPORTER

Maja Komorowska

aktorka teatralna i filmowa: „Człowiek składa się nie tylko ze zwycięstw, ale i z upadków. Nauczyłam się tego, że nie zawsze wszystko się udaje. Wtedy trzeba szybko zebrać siły i wstać. To właśnie ksiądz Pasierb w swoich kazaniach i poezji pozwala zrozumieć. Pozwala zrozumieć, że trzeba się starać”.



Fot. Grażyna Makara

Anna Dymna

aktorka teatralna, filmowa i telewizyjna, od wielu lat aktywnie zaangażowana w działalność charytatywną: „Na scenie czuję się bezpiecznie i fantastycznie, ale praca z osobami niepełnosprawnymi intelektualnie jest niezwykła. Spotkanie z nimi było dla mnie najtrudniejszym egzaminem z człowieczeństwa, ale myślę, że zdałam go pozytywnie. Proszę pamiętać, że każdy z Państwa może sprawić, że świat, który nas otacza, stanie się jaśniejszy”.

świata, pomiędzy cierpieniem Boga a obojętnością ludzi. Msza jest miejscem, gdzie wszystko się krzyżuje”. Albo: „Grzesznik w Kościele jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu – tak jak chory jest na miejscu w klinice” („Czas otwarty”). Pasierb spowiednik – czytamy – „w pamięci penitentów zachował się jako kapłan potrafiący się wczuć w sytuację drugiego człowieka, szanujący zaufanie, jakim został obdarzony, a jednocześnie starający się uświadomić źródło grzechu”. W zapiskach ze świąt Bożego Narodzenia w Hamburgu: „Trzy pasterki – parafia ma trzy kościoły – wszystkie kazania w święta – cudownie, tak właśnie powinno wyglądać życie księdza”.

Zaprosiłem go kiedyś z rekolekcjami akademickimi do św. Anny w Krakowie. Zwykle nagrywaliśmy rekolekcje, może te nagrania tam jeszcze gdzieś są. To były bardzo dobre rekolekcje.

Ks. Adam Boniecki jest laureatem Ogólnopolskiej Nagrody im. Janusza Pasierba. Kapituła doceniła księdza jako publicystę, autora książek oraz wieloletniego redaktora „Tygodnika Powszechnego” i kontynuatora spuścizny Jerzego Turowicza. Dodatkowo wyróżnienie przypadło na 60-lecie kapłaństwa ks. Bonieckiego, który swoją drogę rozpoczynał w parafii księży mariańców w Grudziądzu.

Ogólnopolska Nagroda im. Janusza Pasierba przyznawana jest od ponad dwudziestu lat przez miasto Grudziądz osobom, które w swoim życiu, działalności społecznej i twórczości reprezentują wartości chrześcijańskie i humanistyczne. W ostatnich latach wyróżniono nią m.in. Maję Komorowską, Annę Dymną i ojca Leona Knabita OSB.



MIASTO GRUDZIĄDZ

MATERIAŁ PROMOCYJNY

POWIĘKSZENIE

CHRIS NIEDENTHAL, FOTOGRAF:

Domofony wszystko zepsuły, za PRL-u było ich bardzo mało.

Nie da się już wejść do apartamentowca
i robić zdjęć z dachu czy klatki schodowej.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Wkleja Pan zdjęcia do albumów?

CHRIS NIEDENTHAL: Posiadam rodzinne albumy, ale mam też pełne zdjęć pudełka po butach.

Są w nich zdjęcia zrobione ostatnio?

Odbitki robię rzadko – tego żałuję.

To dlaczego Pan nie robi?

Bo to wysiłek: zdjęcia wykonane cyfrowym aparatem najpierw trzeba wgrać do komputera, potem zgrać z komputera, w końcu zanieść do laboratorium.

Latami Pan wywoływał.

Cieszę się, że pracowałem we własnej ciemni i to całkiem sporej. To zupełnie inna rzecz niż oglądanie zdjęć w komputerze. W ciemni jest czerwone światło, płyny w kuwetach, na twoich oczach tworzy się zdjęcie. A przy komputerze można skupić się wyłącznie nad specjalnymi efektami. Magii nie ma.

Może ta magia to tylko dekoracja?

Tam gdzie jest pasja, musi być magia. Fotografia zaczyna się od magii i przechodzi w pasję, a potem w zawód. Mój wujek mieszkający w Polsce, jeden z braci mamy, w swojej łazience zaaranżował ciemnię. Gdy wracałem z wakacji w Ustce, to była połowa lat 60. i mój

drugi pobyt w kraju, wuj zaproponował, że pokaże mi, jak wywołuje się zdjęcia. A drugi brat mamy, artysta malarz, profesor na ASP, w prezencie kupił mi w komisie na Nowym Świecie rosyjskiego zenita.

Czyli dla Pana fotografia zaczęła się w Polsce.

W ogóle wszystko się zaczęło w Polsce. Rodzinne korzenie interesowały mnie, odkąd pamiętam, stąd też moje przyjazdy jako nastolatka na wakacje.

Dlatego pytałam o rodzinne albumy. Dla Pana, urodzonego w Anglii syna Polaków, którzy w 1939 r. wyjechali z kraju, te stare zdjęcia mogły być pomostem do świata przodków.

Rodzice wyjechali z Polski nagle, nikt nie brał zdjęć, były ważniejsze rzeczy do spakowania. Istnieje zdjęcie mamy sprzed wojny, które lubię szczególnie – ma 25 lat, siedzi na balkonie, jest dobrze oświetlona, jak współczesna dziewczyna *glamour*. Nietypowe zdjęcie, nawet jak na tamte czasy.

W Pańskiej książce „Zawód: fotograf” czytamy, że mama była piękna do końca życia.

Dla syna mama jest piękna zawsze i bez przerwy.

Łatwo ją fotografować?





CHRIS NIEDENTHAL (ur. 1951) jest fotografem. Polak urodzony i wychowany w Londynie, do Polski przyjechał w latach 70. i pozostał do dziś. Współpracował z największymi tytułami prasy światowej, jak „Der Spiegel”, „Geo”, „Stern”. Na początku lat 80. nawiązał współpracę z amerykańskim tygodnikiem „Newsweek”, a w 1985 r. z tygodnikiem „Time”, dla którego robił reportaże w Europie Środkowej i Wschodniej, ZSRR i na Bałkanach. Został laureatem World Press Photo w 1986 r. za portret węgierskiego przywódcy Jánosa Kádára. Jest autorem słynnego zdjęcia „Czas Apokalipsy”, wykonanego w dniu wprowadzenia stanu wojennego pod kinem Moskwa w Warszawie. Opracował wiele projektów, w tym cykl fotografii dotyczących dzieci niepełnosprawnych („Tabu – portrety nieportretowanych”). Niedawno w Marginesach ukazało się poszerzone wydanie jego książki „Zawód: fotograf”.

Trudno. Gdy mama widziała, że jest fotografowana, zaczynała robić głupie miny: usta układała w kształt różyczki. Można było się skręcać ze śmiechu, miała dość staromodne pojęcie o piękności.

Nosi Pan jej zdjęcie w portfelu?

Ani mamy, ani żony, ani syna – nikogo z rodziny. Jeśli jakieś podobizny w portfelu, to najwyżej te na banknotach. Ale w kolejce do kasy w supermarkecie widzę portfele kobiet, które wyciągają kartę do płacenia. Trzymają w nich „główki” całej rodziny.

A na Pana biurku?

Na biurku mam wyłącznie bałagan – zdjęcia tylko by go spotęgowały.

Rodzice opowiadali Panu o swoim polskim życiu?

Mało. A na temat okupacji nie mówili nic. Może z siostrą nie umieliśmy pytać? Prawda jest też taka, że okupacji w Polsce prawie nie doświadczyli. Mama, która pracowała w Polskiej Agencji Telegraficznej, pierwsze dni wojny spędziła w Warszawie, potem opuściła ją z członkami polskiego rządu i przez Rumunię oraz Francję dotarła do Anglii.

Tata, wiceprokurator Sądu Okręgowego w Wilnie, po wejściu Rosjan wiedział, że musi natychmiast uciekać. Przez Litwę i Szwecję trafił do Francji, gdzie jako polski żołnierz walczył w I Dywizji Grenadierów. Potem wyładował w obozie jenieckim, z którego uciekł stosując fortel: pił naftę, co dało objawy →

→ gruźlicy, choroby, której Niemcy bali się najbardziej. Udało się, a potem tata trafił do nieokupowanej jeszcze Tuluz. Gdy w 1942 r. weszli do niej Niemcy, nielegalnie przekroczył granicę w Pirenejach, został aresztowany i wyładował w hiszpańskim więzieniu. Po kilku miesiącach zwolniono go na podstawie zaświadczenia o podejrzeniu gruźlicy. W 1943 r. dopłynął do Anglii.

Miałby o czym opowiadać.

Ale jego historię opowiadała tylko przyjaciółka rodziców, która z moim ojcem i ze swoim mężem uciekała z Wilna w pierwszych dniach wojny. To jest właśnie najgorsze: jako młodzi nie interesujemy się przeszłością, a rodzice nie chcą o niej opowiadać. Gdy zaczynamy się nią interesować, to rodzice już poumierali.

Tata w Anglii pracował w brytyjskim ministerstwie edukacji, prowadził sekcję, która pomagała byłym żołnierzom polskim zdobywać stypendia naukowe. Był też społecznikiem – należał do stowarzyszeń sędziów oraz żołnierzy, którzy walczyli we Francji. Część swoich doświadczeń opisał na łamach emigracyjnych periodyków, ale nie opowiedział, nie usłyszałem tego na własne uszy, a to zupełnie coś innego.

Bo bez emocji?

I nie bezpośrednio.

Może Pana rodzice obrazili się na Polskę? To, co budowało się z takimi nadziejami w dwudziestolecie międzywojennym, zostało zniszczone za okupacji i PRL-u.

Tego nie wyczuwałem. Mama urodziła się w 1914 r. – w dwudziestolecie była dziewczynką, potem dziewczyną, miała inną perspektywę. Polskę budował ktoś inny.

Po raz pierwszy rodzice przyjechali z Anglii do Polski w 1963 r. Na dworcu czekali mamy bracia. Wzruszenie ogromne – rodzeństwo, które nie widziało się blisko ćwierć wieku.

Pamiętam, że jeszcze nie było podziemia pod rondem na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich – przechodziło się ulicą na pasach. Mama nie poznawała Warszawy. Przed wojną mieszkała przy moście Poniatowskiego – szukała tego miejsca. Nie znała.



ARCHIWUM CHRIS NIEDENTHALA

Helena Łyżwańska, matka Chrisa Niedenthala. Miała wtedy 25 lat, pracowała jako stenotypistka w Polskiej Agencji Telegraficznej, dzisiejszym PAP-ie. Warszawa 1939 r., prawdopodobnie tuż przed wybuchem wojny.

Polska i Anglia w połowie lat 60. to polityczna i ekonomiczna przepaść.

W Anglii byliśmy normalną rodziną, żyjącą bez biedy, ale też bez bogactwa. Tata chodził do pracy, także w soboty. Kiedy wracał do domu, resztę soboty, a potem całą niedzielę, spędzaliśmy na spotkaniach – spacerach i wizytach w parkach. O nic człowiek się nie martwił – starczało na rachunki, jedzenie, wakacje. Ale może jako chłopiec innych zmar-twień nie wyczuwałem?

W PRL-u fascynowało mnie to, że mimo trudności materialnych i bezradnego systemu ludzie potrafili korzystać z życia. Gdy szło się w gości, zawsze stół był bogato zastawiony, głównie wędlinami – szynką, baleronom, polędwicą sopocką... Dobrze pamiętam znakomite

bitki wołowe. To wszystko było dla mnie egzotyczne – w Anglii jadało się mniej i skromniej.

Może Anglicy są mniej gościnni?

Mało się kontaktowałem z Anglikami, rzadko bywałem w ich domach. Rodzice trzymali się towarzystwa polonijnego.

A jednak!

W Anglii żyją fajni ludzie, nie chcę na nich narzekać. Mentalne różnice widać podczas witania się mężczyzn. W Anglii się nie całują. Niektórzy moi polscy przyjaciele śmieją się, że jestem chłodnym Anglikiem, bo stronię od całowania.

Zwycięza powściągliwe wychowanie.

W Anglii chodziłem z polskimi dziećmi do szkoły sobotniej, należałem do polskiego harcerstwa, występowałem w teatrzykach w Ognisku Polskim – rodzice dbali o polskie wychowanie.

Gdy miałem 16 lat, przestałem się uczyć – mówiąc delikatnie. I rodzice postanowili wysłać mnie na dwa lata do katolickiej szkoły z internatem, prowadzonej przez benedyktynów. Byłem tam krótko, lecz... wystarczająco długo. Szkoda mi chłopców, którzy w internacie mieszkali od piątego, szóstego roku życia do pełnoletności. Kilkanaście lat poza rodziną skazywało na sztuczne życie – z najbliższymi widywali się wyłącznie w Boże Narodzenie czy podczas letnich wakacji.

Miałem szczęście: wychowałem się w domu, w którym była mama, tata, siostra i jej koleżanki oraz ja i moi koledzy. Ale świetnie pamiętam, z jakim przejęciem oglądałem „Jeżeli...” Lindsaya Andersona, film z 1968 r. o brytyjskiej szkole z internatem, z mundurkami, z hierarchicznością, z żelazną dyscypliną. Znałem ten świat aż za dobrze.

Niemal w tym samym czasie co „Jeżeli...” powstał inny ważny film – „Powiększenie” Antoniego. Tłem jest Londyn z czasów Beatlesów i Led Zeppelin.

„Powiększenie” widziałem już na pierwszym roku studiów fotograficznych w London College of Printing. Zachwyciłem się tą historią ze względu na wątek fotografa, ciemni, odbitek, powiększania i odkrytej dzięki zdjęciu tajemnicy. A wkoło te wszystkie modelki.

Scena z Veruschką fotografowaną przez „tańczącego” nad nią głównego bohatera przeszła do klasyki.

Fotografowanie modelek prawie się na nich kładąc – to nie w moim stylu.

Zbyt blisko?
Zbyt intymnie.

Może podobieństwo tkwi w tym, że Pan jako reporter też wchodzi blisko w ludzkie życia.

Staram się to zrobić w ten sposób, by ten człowiek tego nie poczuł i by potem nie narzekał.

Nigdy nikt nie narzekał?

Kiedyś pewna reporterka, prowadząca program w telewizji i charakterystycznie

Transformacja ustrojowa
kompletnie mnie
znokautowała,
długo nie mogłem
nic mądrego zrobić.

**Komuna w swojej
szarzyźnie była jednak
skrycie barwna.**

układająca nogi, miała do mnie pretensje o zmarszczki widoczne na zdjęciu. Ale to była sesja u mnie w ogrodzie i nie korzystałem z filtrów zmiękcujących. Zresztą nigdy z takich rzeczy nie korzystałem.

Skoro „Powiększenie” oglądał Pan na starcie kariery, ciekawi mnie, czy było w Panu przekonanie, że uda się w zawodzie fotografa?

Mogło się nie udać! Co ja bym w Anglii fotografował? Moim wielkim sukcesem było to, że wymyśliłem przyjazd do Polski – to stworzyło moją karierę.

Komuna pomagała?

Za żelazną kurtyną byłem jedynym zachodnim fotografem. A w Polsce było przaśnie, zupełnie inaczej niż na Zachodzie. Inne kolory, inne twarze. Trudno napisać, nawet wymówić słowo „przaśnie”, ale właśnie ono najlepiej oddaje estetykę i atmosferę.

Za pierwszym razem byłem tu za rządów Gomułki – ale nawet nie kojarzyłem, że to on jest odpowiedzialny za marzec '68. Wiedziałem o inwazji na Czechosłowację i o studenckich rozruchach w Paryżu, ale pojęcia nie miałem o antysemickiej nagonce w Polsce.

Czy ja jestem fotografem społecznie zaangażowanym? Chciałbym, tyle że nigdy na to nie starczyło czasu. Wsiąkłem w świat tygodników amerykańskich, które oczekiwały ode mnie fotografii reporterskiej. Za dużo miałem roboty, by szukać własnych tematów – co tydzień musiałem być w innym miejscu. Ale jeszcze na studiach zdążyłem zrobić album społecznie zaangażowany – w domu starców w Walii.

No tak, młodzi z upodobaniem fotografują starszych.

Dla mnie było to o tyle ważne, że to byli Polacy – żołnierze i lotnicy, którzy zostali w Anglii, teraz samotni, bo ich najbliżsi już poumierali. Nie miał się kto nimi zająć, więc trafili do dawnego obozu wojskowego położonego nad morzem. Ciekawe było obserwować, jak w ich środowisku tworzyły się frakcje. Najprzyjemniejsi w kontakcie byli ci, którzy nie brali udziału w niesnaskach wojskowo-politycznych, tylko zajmowali się tym, co tu i teraz – własnym ogródkiem.

A Gdańsk w 1980 r.?

Z Michaelem Dobbsem byliście pierwszymi zagranicznymi dziennikarzami wpuszczonymi do strajkującej Stocznii. W tamtej epoce człowiek z aparatem budził wyłącznie podejrzenia.

Z jednej strony stocznioowcy mogli być wobec mnie nieufni, bo za dobrze mówię po polsku, a udaję, że jestem Anglikiem... Z drugiej: fakt, że pracowałem dla „Newsweeka”, otwierał przede mną wszystkie drzwi. Poza tym wyglądałem na fotografa – byłem zziąpany i objuczony sprzętem.

A po zakończonym strajku w Gdańsku też było ciekawie – cały czas trzeba było trzymać rękę na pulsie. Pozostawałem w kontakcie z innymi dziennikarzami zagranicznymi w Polsce. Nie było komórek i internetu, więc pytałem kolegów w agencjach amerykańskich i francuskich, co się dzieje w Polsce i gdzie powinienem teraz być. Jeździłem po całej Polsce za Wałęsą, pamiętam, jak po prowokacji bydgoskiej potrafił skutecznie wygasić strajki na południu.

Pan jeździł za Wałęsą, a za Panem jeździł kontrwywiad.

W pewien sposób przyzwyczaiłem się do tego, że ktoś depcze mi po piętach. Ale czy cały czas mnie pilnowali? Tego to już nie wiem. Znalazłem swoją teczkę w IPN-ie, a w niej skrupulatne, często niepotrzebne informacje. Np. o której godzinie przyjechałem do Wałbrzycha, w którym hotelu nocuję, gdzie zaparkowałem samochód, do kogo dzwoniłem i kto dzwonił do mnie. Najbardziej byli zainteresowani, kiedy w tym samym hotelu nocował ktoś z brytyjskiej czy amerykańskiej ambasady. Koniecznie chcieli sprawdzić moje koneksje z obcym wywiadem. Rozumiem tę metodę: bezpieczeństwa →

→ musiała gromadzić fakty, by ewentualnie móc je wykorzystać i powiedzieć, że wiedzą o mnie wszystko.

Wykorzystała?

Nigdy. A w teczce znalazłem raporty pisane przez naszego sąsiada – podglądał moją rodzinę w łazience. Narzekał, że zamurowaliśmy okienko i on nic nie może zobaczyć. A myśmy musieli to zrobić, bo gołębie w to okienko wpadały, umierały, śmierdziały.

W donosie napisanym przez mojego znajomego padło spostrzeżenie, że w obecności żony robię wrażenie, jakbym nie miał nic do powiedzenia. Siedzę cichutko i tylko obserwuję.

To prawda?

Najprawdziwsza.

A Pana spostrzeżenia na temat Wałęsy, którego Pan fotografował w latach 80. i 90.?

Poznałem go drugiego dnia strajku w Gdańsku. Od razu było widać, że to fa-

cet, który wie, jak rozmawiać z władzą, wtedy jeszcze z dyrekcją Stoczni. Później, kiedy zaczął prowadzić rozmowy z partią, nie było cienia wątpliwości, że jest w tym znakomity, że ma charyzmę, że daleko zajdzie. Więc najważniejszy dla mnie moment zdarzył się wtedy, gdy w sierpniu '80 spotkałem wąsatego robotnika, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem; pod koniec strajku ten sam człowiek był już bohaterem, a za trzy lata laureatem Pokojowej Nagrody Nobla. Lech imponująco łąpał kontakt z ludźmi – porywał, chciało się go słuchać, trafiał w sedno sprawy. Ale tylko gdy mówił od siebie, improwizował. Kiedy zaczynał czytać z kartki, wchodził w ton oficjalny, spał się i natychmiast płał, gubił. Mam identycznie – w ogóle mnie to nie dziwi.

Kto jeszcze miał charyzmę na miarę Wałęsy?

Tu mam kłopot, bo spotykałem głównie polityków, a oni rzadko są ciekawymi ludźmi – w tym rozdaniu Lechu wygrywa

od samego początku. Choć na pewno za imponował mi Gorbaczow – pierwszy radziecki przywódca, który okazał się normalnym człowiekiem z normalną żoną. Prawdziwy polityk, a nie bezmyślny bandyta.

Byłem też fanem Żelaznej Damy – fotografowałem Margaret Thatcher w 1988 r. w trakcie wizyty w Polsce. Rzucało się w oczy, że to jest zupełnie inny typ człowieka. Choć urodzona w niezbyt bogatej rodzinie, klasą i prezencją odstawiała od reszty polityków – szarych i nieciekawych, właściwie niezauważalnych – których spotykałem na tych wszystkich G7 czy G8. Więc to jest moja święta trójca: Wałęsa, Gorbaczow, Thatcher.

Jakieś euforyczne zdarzenie, które Pan fotografował?

Rok 1979 – pierwsza wizyta Jana Pawła II tutaj. Dziesięć dni jazdy za Ojcem Świętym przez całą Polskę. Widziałem setki tysięcy uśmiechniętych, szczęśliwych twarzy. Pierwszy moment, kiedy nad komunizmem zaświeciło słońce.



W warsztacie na Pradze z pierwszym numerem „Tygodnika Solidarność”. Warszawa, 1989 r.

Po lewej: Chris Niedenthal z Lechem Wałęsą na rybach pod Gdańskiem w dniu przyznania mu Nagrody Nobla, październik 1983 r.

Margaret Thatcher w Gdańsku, listopad 1988 r. ZOMO w akcji przy Szkole Straży Pożarnej na Żoliborzu. Warszawa, grudzień 1981 r.

Przed kościołem na rynku w Wadowicach, kilka dni po zamachu na papieża, maj 1981 r.



A później?

Czerwiec '89 i wybory – ludzie nareszcie poczuli, że coś mogą, że granice nie są zamknięte, że kończy się epoka podległości. Choć jeszcze większą euforię obserwowałam w Niemczech. 9 listopada dotarła do mnie wiadomość: mur berliński właśnie zaczął się rozpadać. Następnego dnia o świcie wyleciałem z Warszawy, godzinę później byłem w Berlinie. Niedaleko lotniska sfotografowałem mieszkańców Berlina Zachodniego, którzy oklaskiwali wschodnioniemieckie samochody za każdym razem, kiedy przejeżdżały swobodnie przez otwartą bramę. Wszędzie, gdzie się znalazłem – czy to przy Bramie Brandenburskiej, czy na dworcu Berlin Zoo – kłębił się tłum radosnych ludzi. Trochę zdezorientowanych – większość z nich to byli mieszkańcy wschodniego Berlina, całe życie marzący o Zachodzie, i to ich marzenie właśnie się spełniło.

A dla Pana? Czym był ten rok?

Poczułem się doszczętnie wypalony. Zawodowo, po tej ciągłej, bezustannej

pracy, pogoni. Transformacja ustrojowa kompletnie mnie znokautowała – przez długi czas nie mogłem nic mądrego zrobić. Komuna w swojej szarzyźnie była jednak skrycie barwna. Lata 90. nie należały do ciekawych.

Gospodarcza samowolka na polskich ulicach – wszędzie szczęki, ludzie handlujący towaram z łózek polowych – przecież to był wielki temat.

Stadion Dziesięciolecia? Ten gigantyczny bazar sfotografowałem, ale już z mniejszym zapalem. Ileż można? W takich warunkach fotografowanie robiło się zwykłą prasówką, np. ze spotkania G7 w Monachium. Czysta nuda. Nie to co walka z systemem! Ona była naprawdę fotogeniczna.

A dziś?

Dziś ludzie niechętnie się fotografują, znają swoje nowe prawa. Szczególnie RODO niszczy pracę fotoreportera. Rozumiem to, gdy ktoś jest fotografowany na swoim prywatnym terenie. Ale czło-

wiek na ulicy niekoniecznie ma prawo do swojego wizerunku – przebywa przecież w miejscu publicznym. Tak uważam.

No nie wiem.

Ale dlaczego mnie mają karać za to, że sfotografowałem jakiegoś mężczyznę, który obejmuje w ulicy nie swoją żonę? To jego problem, nie mój.

Poza tym domofony wszystko zepsuły, za PRL-u było ich bardzo mało. Nie da się wejść do apartamentowca i robić zdjęć z dachu czy klatki schodowej.

Pan mówił: wszystko się zaczęło w Polsce... Tu też chodzi o miłość, przyjechał Pan w 1973 r. do kobiety. Ale o tym się nie rozmawia.

Bo?

Bo z tamtą kobietą nie wyszło. Wyszło z żoną.

To najpierw porozmawiajmy o innych kobietach przez Pana fotografowanych. Mam swoje ulubione zdjęcie: ➔



ZDJĘCIA: CHRIS NIEDENTHAL / ZAWÓD: FOTOGRAF / WYDAWNICTWO MARGINESY

→ po zamachu na papieża kobieta klęczy przed kościołem z przewieszonym przez rękę papierem toaletowym, który wygląda jak różaniec.

Kobiety w Polsce zawsze były silniejsze od mężczyzn. Gdy papież został postrzelony, to one modliły się w kościele w Wadowicach. Nie były bierne – działały, nawet jeśli sprowadzało się to do zmówienia różańca.

One też działały w opozycji i organizowały strajki sierpniowe, jak Henryka Krzywonos, Alina Pienkowska, Anna Walentynowicz. Nie ma ich na Pana zdjęciach.

Walentynowicz kategorycznie odmówiła. Ale fakt, w tamtym czasie na pierwszym planie byli mężczyźni. Tyle że za nimi stały mądre, inteligentne, milczące kobiety. Teraz odzyskują głos. Fotografowałem w ostatnich miesiącach na warszawskich ulicach Strajk Kobiet. Widziałem je z bliska – młodzieńki, starutkie – wszystkie odważne i zdeterminowane. Właściwie cała w nich teraz nadzieja, że obalą szkodliwy i niemoralny system.

Naprawdę Pan w to wierzy?

Wierzę. Widać, że Jarosław Kaczyński boi się kobiet asertywnych i klarownie wyrażających zdanie. Sam jest człowiekiem słabym, wystraszone, choć udaje silnego. Wszyscy tego typu mężczyźni tak mają. Nie chcę się kobietom podlizywać, ale to one mają większą od mężczyzn zdolność rządzenia.

No a Pana żona?

Jesteśmy małżeństwem pół wieku – staliśmy się jednością.

I żonę fotografuje Pan co dzień?

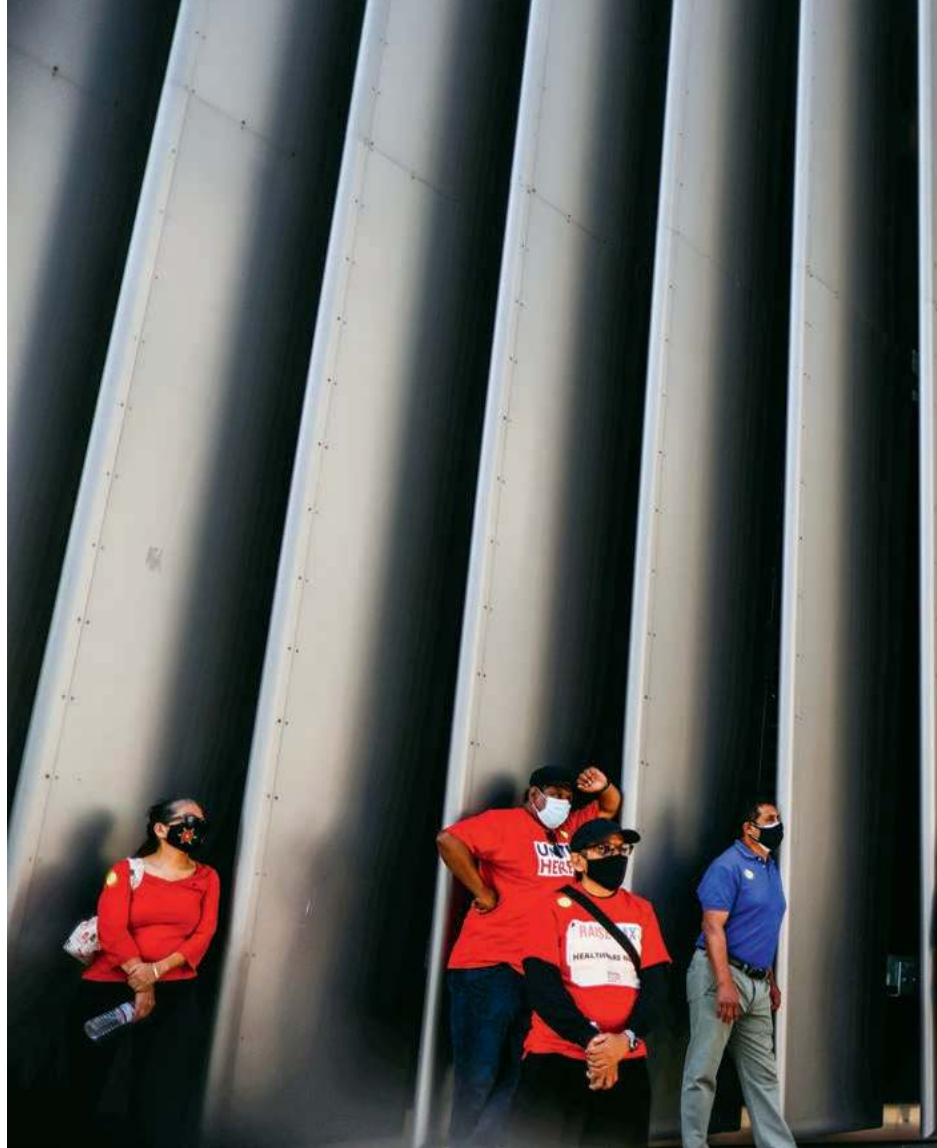
Nie potrafię – zupełnie przeszła mi umiejętność fotografowania rodziny.

To naganne.

Przyznaję. Powinienem dostać za to co najmniej pięć lat. Ale też i żonie puszczać nerwy, kiedy próbuje ją sfotografować – więc mogę przerzucić na nią odpowiedzialność. Natomiast gdy widzi zrobione przeze mnie rodzinne zdjęcia, pyta z przekąsem: „Ty naprawdę żyjesz z fotografią?”

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA



Obolały umysł

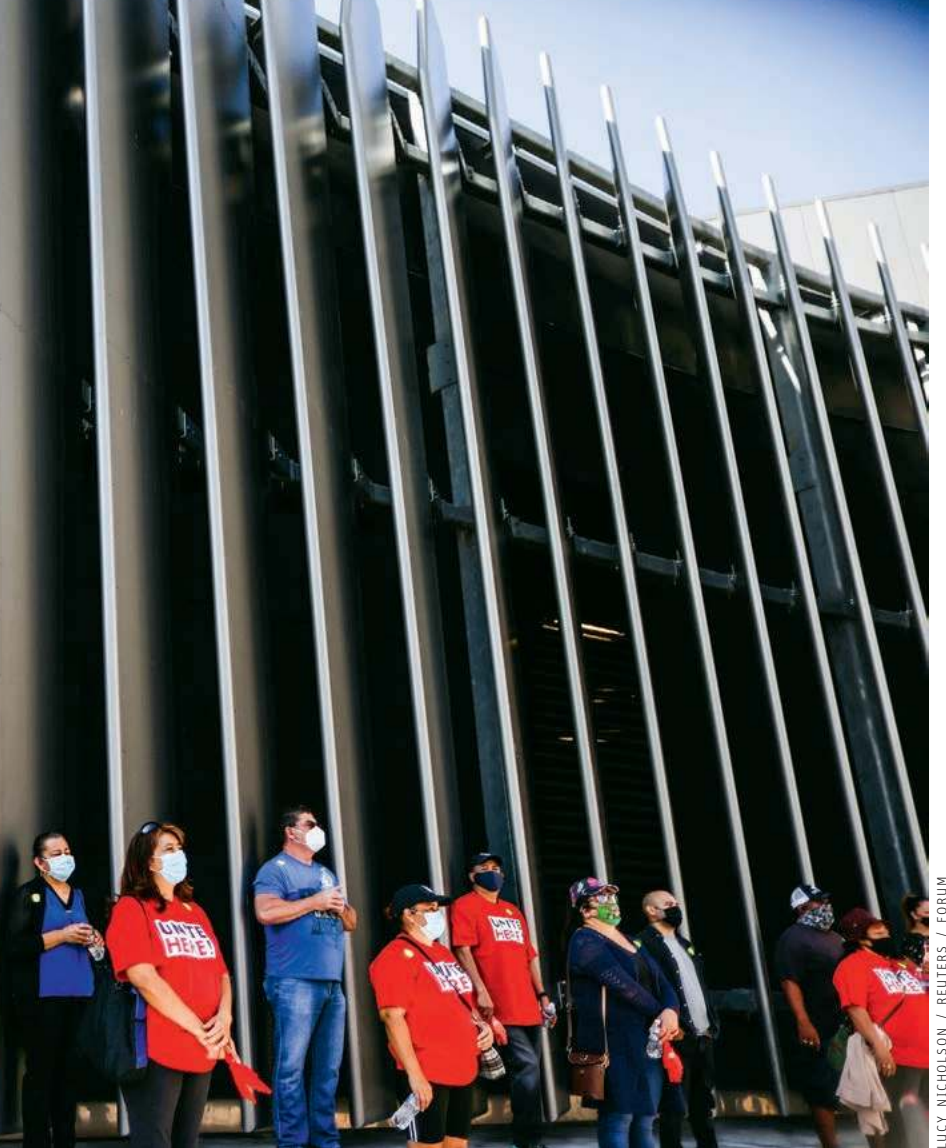
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Opieka zdrowotna jest prawem człowieka – pisze Timothy Snyder ze szpitalnego łóżka, gdzie sam stoczył walkę o życie. Tej lekcji choroby i niemocy nie zapomni nigdy.

TRUDNA KOŃCÓWKA DRUGIEJ DEKADY XXI wieku zaczęła się dla słynnego historyka i publicysty w grudniu 2019 r. W Monachium lekarze przeoczyli zapalenie wyrostka, powodujące zakażenie krwi. Na oddziale ratunkowym w New Haven, gdzie mieszka i wykłada na Uniwersytecie Yale, sądzono, że ma grypę i dramatyzuje. Towarzyszyła mu znajoma lekarka, ale z powodu koloru skóry nie trak-

towano jej alarmów poważnie. Sepsę zdiagnozowano w ostatnim momencie.

Na szczęście Snydera udało się uratować, i choć wciąż zmaga się z konsekwencjami choroby, powrócił do pracy historyka i publicysty. Właściwie ani na chwilę jej nie przerwał, zważywszy, jak powstawał jego esej „Amerykańska choroba. Szpitalne zapiski o wolności”, właśnie wydany po polsku.



LUCY NICHOLSON / REUTERS / FORUM

Protest pracowników lotniska domagających się rozszerzenia opieki zdrowotnej.
Lotnisko LAX, Los Angeles, 24 września 2020 r.

Przez trzy miesiące, które spędził pod niezbyt czujnym okiem lekarzy, historyk notował przemyslenia. Zaczął od diagnozy swoich emocji: „tylko wściekłość, samotna wściekłość”. Można było sobie wiele obiecywać po jego złości na indolencję służby zdrowia, obnażającą hipokryzję każdej amerykańskiej władzy, która uważała się za strażnika konstytucji i słynnej frazy „*We the People of the United States*”, a tolerowała podział na ludzi zasługujących na leczenie i niegodnych leczenia.

Erudycja Snydera, jego talent do analizy historii, brak złudzeń wobec współczesności i charakterystyczna dla wytrawnego publicysty skłonność do ostrych diagnoz zapowiadały chłodne i zwalające z nóg rozliczenie amerykańskiego mitu równych szans. Dodając do tego jego osobisty dramat, prowokujący do bezkompromisowego bilansu, a nawet do refleksji eschatologicznej, można się było spodziewać tekstu na miarę

„Śmiertelności” Christophera Hitchensa (1949–2011). Czyli dzieła uwierającego wielu, ale bardzo potrzebnego w epoce pandemii, która sprawia, że dotychczasowe nierówności rosną w tempie wykładniczym.

Esejoterapia

„W moim krwiobiegu krążyły bakterie, a ja wciąż myślałem o wolności” – podobnych zdań, konkurujących ze sobą w pretensjonalności, w „Amerykańskiej chorobie” można znaleźć sporo. Stan, w jakim trafił do szpitala w New Haven, Snyder określa na dwa sposoby: jako niemoc (*malaise*) i chorobę (*malady*). Sięga zwłaszcza po rozumienie choroby w publicystyce z czasów rewolucji amerykańskiej, kiedy tak nazywano zarówno fizyczną niemoc, jak i tyranie.

Ojcem chrześnym tytułowej figury eseju Snydera jest James Madison, późniejszy czwarty prezydent Stanów Zjed-

noczonych, który w liście do Thomasa Jeffersona w kwietniu 1800 r. określił relacje między społeczeństwem Ameryki a młodym państwem jako „naszą powszechną chorobę”, przejawiającą się w podwójnej niemocy: cierpieniu słabszych oraz niesprawności lub braku woli państwa, by temu cierpieniu użyć.

„Częścią naszej choroby jest to, że w naszym kraju w żadnym obszarze życia, a nawet śmierci nie traktujemy poważnie postulatu, że »wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi«” – podkreśla Snyder. Wykorzystuje sprawdzony pomysł kompozycyjny i układu wywód w cztery lekcje. Pierwsza głosi, że opieka zdrowotna jest prawem człowieka, bez którego niemożliwa jest demokracja ani prawo dążenia do szczęścia, które chciał zapewnić Amerykanom już Jefferson, obok prawa do życia i wolności. Chorzy nie jesteśmy wolni i nie możemy zabiegać o własne szczęście. W drugiej lekcji Snyder pokłada nadzieję w dzieciach i ich edukacji. Trzecią lekcję poświęca rehabilitacji kategorii prawdy w epoce post-Trumpowej. W czwartej składa los Amerykanów w ręce lekarzy i nauki.

Snyder podkreśla, że pisanie „Amerykańskiej choroby” było częścią jego terapii – sposobem, by wygonić niemoc nie tylko z ciała, ale także umysłu intelektualisty, który swój los w świecie wolnych ludzi brał do tej pory za pewnik. Rewizja wartości oraz osobisty, wręcz intymny ton tego rozrachunku prowokują, by umieścić go na półce wraz z innymi dziennikami choroby, esejami będącymi pokłosiem choroby i zapiskami rozczarowania autorskim *credo*.

To własne zmagania z rakiem piersi, a wiele lat później z białaczką zainspirowały Susan Sontag (1933–2004) do napisania „Choroby jako metafory”, „AIDS i jego metafor”, „Widoku cudzego cierpienia” oraz do skomponowania zbioru pism rozproszonych „Where the Stress Falls”. To nie są testamenty, Sontag nie rozlicza w nich własnego doświadczenia, ale raczej chce je ocalić przed kulturą, która obróci je w dramat i banał jednocześnie. Pierwsze dwie książki napisała, by rozbroić stygmat choroby: „Tak więc napisałam książkę, napisałam ją bardzo szybko, pod wpływem ewangelicznego zapału, a także niepokoju o to, jak wiele czasu zostało mi na życie i na pisanie. Moim celem było ulżenie w zbytecznych cierpieniach (...) uspokojenie wyobraźni, a nie jej rozbudzanie” ➔

→ – wspominała okoliczności powstania „Choroby jako metafory”.

Ta motywacja nie jest obca Snyderowi, choć w przeciwieństwie do subtelnej krytyki u Sontag, w „Amerykańskiej chorobie” aktywistyczny apel o zmianę nie tylko świadomości, ale i rzeczywistości wybrzmiewa od pierwszych akapitów, a pod koniec eseju jest już wybijany na werblach. Odslania też kulisy tego, co w trakcie choroby działo się z jego słabnącym ciałem i niespokojnym umysłem. Przypomina w tym geście Hitchensa, który w „Śmiertelności” dokumentował kroczące zwycięstwo raka przełyku nad jego organizmem, nie tracąc nic z ostrości i sarkastycznego tonu oskarżeń rzuconych pod adresem kultury i polityki.

Dobrym duchem książki Snydera wydaje się zmarły w 2010 r. jego przyjaciel, historyk Tony Judt, chorujący na stwardnienie zanikowe boczne, ale do końca aktywny intelektualnie. Spektrum ważkich kwestii, fundamentalnych dla przyszłego dobrostanu świata, które Judt porusza w swojej ostatniej książce, „Żle ma się kraj. Rozprawa o naszych współczesnych bolączkach”, jest jednak znacznie szersze niż wymierzony w relację wolności i ochrony zdrowia esej Snydera. Także za zapisem jego rozmów z Judtem, prowadzonych rok przed śmiercią przyjaciela i zatytułowanych „Rozważania o wieku XX”, stoi inny zamiar: wpisania złożonej biografii odchodzącego intelektualisty w historię Ameryki i Europy oraz zostawienia potomnym przestrogi o kruchości ładu uchodzącego za pewnik.

Książka Snydera jest jednak inna. Nie pisze wszak diariusza umierania ani pamiętników zmagania z własną psychiką. Działa niczym sygnalista, który donosi o moralnym przestępstwie zadowolonej z siebie władzy. Rozkłada na kawałki rozczarowanie Ameryką, drażni je i przebija na wylot. Stawia się w roli rzecznika nieubezpieczonych Amerykanów, choć tak naprawę więcej go od nich dzieli, niż z nimi łączy.

Oburzony intelektualista

„Gdybym zmarł, moja śmierć byłaby aż nazbyt typowa – trafiłbym do ponurych statystyk” – twierdzi i po części ma rację. Obrazki z amerykańskich szpitali wydają się dziwnie znajome. To notoryczne przepełnienie oddziałów, łóżka na korytarzach albo we wnękach za zasłonką, za którą pielęgniarka zagląda z rzadka, a le-

karz jeszcze rządziej. Amerykanie umierają zbyt młodo, częściej niż Europejczycy popełniają samobójstwa, i to w USA koronawirus zebrał tragiczniejsze żniwo niż w innych rozwiniętych państwach. Miliony nie mają ubezpieczenia zdrowotnego lub ich świadczenia nie obejmują terapii trudnych chorób.

Jednocześnie Snyder miał zdecydowanie większe niż przeciętny Amerykanin szanse, by przeżyć – jako ubezpieczony profesor uniwersytetu z Ligi Bluszczonej, którego niepokoi głównie to, że sąsiednie łóżko zajął alkoholik, piniacz albo... ktoś powracający z Chin w momencie, gdy Pekin potwierdził już istnienie nowego wirusa. Podkreśla, że nie pociągał za sznurki znajomości z wpływowymi nazwiskami, aby otrzymać lepszą opiekę. Był po prostu typem człowieka, któremu koniec końców służba zdrowia w USA pomoże, bo jest wypłacalny (z goryczą wspomina zresztą o tym, że mimo niezłego ubezpieczenia otrzymał niespodziewany i słony rachunek za dodatkowe procedury).

Na tej priorytetowej liście nie ma czarnoskórych kobiet i ich nowo narodzonych dzieci, imigrantów pracujących bez zabezpieczeń socjalnych czy pogrążonych w marazmie i nałogach białych mieszkańców miasteczek i przedmieść w południowych stanach. Przyszłość jawi się też dramatycznie dla wchodzącego na rynek pracy młodego pokolenia, które albo będzie za chwilę wydawać krocie na prywatne leczenie, albo z niego w ogóle zrezygnuje. Snyder argumentuje, w duchu społecznego utilitaryzmu, że pandemia pokazała, dlaczego wszystkim Ame-

rykanom należy zapewnić bezpłatny dostęp do podstawowej opieki zdrowotnej i do zasiłków chorobowych. Bez tego nieubezpieczeni nie zostali zdiagnozowani, chodzili do pracy, bojąc się ją stracić, i zakażali innych. Stanowili więc zagrożenie publiczne.

Dla wzmocnienia stanowiska, że opieka zdrowotna idzie w parze z wolnością i demokracją, Snyder przywołuje nieoczywistego mentora – Friedricha von Hayeka (1899–1992), ikonę (neo)liberalnej myśli wolnorynkowej, który w swej antysocjalistycznej „Droście do zniewolenia” nie odrzucał argumentów za tworzeniem „szerokiego systemu ubezpieczeń społecznych”. Ale zagorzałym zwolennikiem tego rozwiązania też nie był i czynienie z niego poplecznika idei powszechnej opieki zdrowotnej jest co najmniej ryzykowne.

Liczne historyczne analogie w „Amerykańskiej chorobie” są naszkicowane grubą kreską, która być może znajduje uzasadnienie, jeśli celem ma być przekonanie do egalitarnych postulatów wielbicieli wolności obywatelskich. „Naziści traktowali opiekę zdrowotną jako sposób na oddzielenie ludzi od podludzi i nieludzi. Jeżeli uważamy innych za nosicieli schorzeń, a siebie samych za zdrowe ofiary, jesteśmy niewiele lepsi od nich. Jeżeli naprawdę sprzeciwiamy się nazistowskiemu złu, będziemy starali się myśleć o tym, jak osiągnąć jego przeciwieństwo, czyli dobro. Częścią tego jest zrozumienie, że wszyscy ludzie są narażeni na choroby i mają równe prawo do opieki” – dowodzi Snyder.



AARON LYNETT / MATERIAŁY PRASOWE

Timothy Snyder. Toronto, styczeń 2011 r.

Moralnie ma rację, retorycznie jego ogólnikowe porównanie amerykańskiej polityki społecznej do ideologii III Rzeszy przypomina chwytanie się *argumentum ad Hitlerum*, kiedy mówcy brakuje bardziej subtelnych stwierdzeń. Odwołaniu do Hitlera depcze po piętach *reductio ad Stalinum* – analogia do stalinowskiego Gułagu, gdzie rządziła logika odwrotnej opieki zdrowotnej, a więc udzielania pomocy medycznej tylko tym, którzy rokowali, że będzie ich można nadal eksploatować w morderczej pracy.

Ameryka jawi się jako kraj, który z epoki totalitaryzmów nie wyciągnął żadnej lekcji, w przeciwieństwie do Niemiec, Japonii czy Austrii, w której Snyder widzi najlepszy wzór do naśladowania. Związany z Instytutem Nauk o Człowieku w Wiedniu, nie raz korzystał z tamtejszej służby zdrowia, gdzie – jak twierdzi – logika życia wygrywa z logiką zysku. W stolicy Austrii urodził się jego syn, zaopiekowany wraz z matką tak długo, jak długo potrzebowali. „Paradoks wolności polega na tym, że nikt nie jest wolny bez pomocy. Wolność nie może być samotna, ale wymaga solidarności” – tak broni modelu europejskiego.

Książka Snydera jest wzorowo odrobioną lekcją z bycia oburzonym w słusznej sprawie. Nie zostawia suchej nitki ani na publicznej opiece, ani na prywatnych klinikach, które wypychają trudnych albo ledwie zaleczonych pacjentów po to, by zwolnili miejsce kolejnym klientom: „Żadna propaganda nie jest w stanie ukryć podstawowego faktu o amerykańskim komercyjnym systemie opieki zdrowotnej: płacimy ogromne kwoty za przywilej umierania młodzieży”.

Trzeba nam Gandalfa

Dla kogo ten pamflet został napisany, poza tym, że stanowi część terapii autora? Europejczyków tylko utwierdzi w obiegowej opinii, że Ameryka to dziwny kraj. Nie dla lewicy, chyba że autor, robiąc wypisy z prospołecznych tez, miał zamiar przychodzić z drewnem do lasu. Być może książka kierowana jest do zatwardziałych konserwatywno-liberalnych inteligentów, którzy wciąż wierzą, że publiczny i komercyjny system opieki zdrowotnej doskonale się uzupełniają, i każdy może realnie wybrać, jak chce być leczony. To im Snyder wymachuje przez oczami swoim świadectwem: „patrzcie, ktoś taki jak ja prawie umarł, czyli z tym systemem

Snyder nie pisze diariusza umierania.

Działa niczym sygnalista,
który donosi o moralnym
przestępstwie zadowolonej
z siebie władzy.

Rozkłada na kawałki
rozzarowanie Ameryką,
draży je i przebija na wylot.

coś jest nie tak”. „Sprzeciwianie się opiece zdrowotnej w przekonaniu, że daje ona korzyści tym, którzy na nią nie zasługują, przypomina zepchnięcie kogoś innego z urwiska, a następnie skok za nim w przekonaniu, że upadek zostanie zamortyzowany przez zwłoki zamordowanego przez nas człowieka” – puentuje.

Polskich czytelników polechce cytowanie „Pana Tadeusza”. Mickiewicz pisze wprawdzie o utracie zdrowia, ale lektura dosłowna jego słów bez kontekstu traci banałem i zadziwia u autora, który w książce „Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś 1569–1999” (pol. wyd. 2006) prześledził każdy niuans Mickiewiczowskiej inwokacji. Porusza za to dygresja o niewymienionym z nazwiska Jerzym Jedlickim, promotorze pracy doktorskiej Snydera. Polski historyk, do późnych lat wysportowany, padł ofiarą prywatnej służby zdrowia i po niedbałym wszczęciu endoprotezy stawu biodrowego nigdy nie odzyskał sprawności i życia bez bólu.

W tej opowieści nie mogło zabraknąć wspomnienia o rodzinie autora i wersji amerykańskiego snu, która przypadła im w udziale. Obaj dziadkowie pracowali na roli, będąc w oczach małego chłopca mocarzami o umięśnionych ramionach, którzy wszystko potrafili zrobić, nigdy nie skarżąc się na ból. Jak tysiące innych amerykańskich mężczyzn wierzyli, że ich znój ma sens – dla przyszłości ich dzieci. Dziś ból jest nieskuteczny, nic nie gwarantuje, można go tylko sztucznie uśmierzć tabletkami (Snyder nawiązuje do dotykającego gros amerykańskiego spo-

łeczeństwa uzależnienia od opiatów) – a władzy w to graj. „Kiedyś amerykańscy politycy konkurowali o wizję lepszej przyszłości, natomiast dziś duża część naszej polityki polega na wywoływaniu bólu i manipulowaniu nim” – stawia diagnozę Snyder.

Przesileniem jest oczywiście pandemia COVID-19. Ucierpiała w niej też rodzina Snydera – jego teściowa, matka Marci Shore, doznała udaru będącego prawdopodobnie powikłaniem po tej chorobie. Autor „Amerykańskiej choroby” punktuje zarówno decyzje Donalda Trumpa oznaczające cięcia środków na zdrowie publiczne i międzynarodową walkę z koronawirusem, jak i retoryczne opakowanie tej nierozumnej strategii, opartej na magicznym zaklęciu, że niepoznanie prawdy o istocie i skali zagrożenia doprowadzi do nieureczywistnienia się tej prawdy.

Decyzję Trumpa, by separować Amerykanów od prawdy, Snyder porównuje do postawy Neville’a Chamberlaina, utrzymującego pod koniec lat 30. zeszłego wieku, że wojny z III Rzeszą można uniknąć. Historia już go osądziła, przeciwstawiając mu Winstona Churchilla. Zdaniem autora odpowiedzią na autokratów pokroju byłego prezydenta USA nie są współczesne kopie Churchilla, ale przywódca na miarę... czarodzieja Gandalfa z „Władcy Pierścieni” J.R.R. Tolkiena (tę powieść Snyder czytał dzieciom, zanim zachorował). Ktoś taki robi wszystko, by zbudować światową koalicję przeciw pandemii, bo wie, że nie pokona jej sam.

Co robić? Autor „Skrwawionych ziem” chce po platońsku oddać władzę w służbie zdrowia i w walce z pandemią w ręce ekspertów. Wtedy Ameryka da sobie szansę na to, by społeczna rzeczywistość przypominała idee, z których powstała. „Opieka zdrowotna powinna być prawem, lekarze powinni decydować, należy dążyć do prawdy, a dzieci powinny zobaczyć lepszą Amerykę” – pisze. Serce chce, by tak się stało, rozum podpowiada, że to nie ma prawa się udać. Ale jeśli ta książka i jej lektura ma być częścią terapii, jakiej poddaje się autor wraz z czytelnikami, to potrzebuje ona obietnicy pomyślnego zakończenia.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Timothy Snyder **AMERYKAŃSKA CHOROBA. SZPITALNE ZAPISKI O WOLNOŚCI**, przeł. Bartłomiej Pietrzyk, Znak Horyzont, Kraków 2021



Kadr z filmu „Epicentrum”

Ostatnia wyspa

ANITA PIOTROWSKA

„Epicentrum”, dokument Huberta Saupera, pokazuje, czym jest kolonizowanie wyobraźni: kto opowiada nam historie, ten ma władzę.

JESTEŚ WNUCZKĄ HITLERA?” – PYTA Kubański chłopiec Oonę Chaplin zaraz po seansie filmu „Dyktator”. Aktorka prowadzi w Hawanie warsztaty artystyczne dla dzieciaków, ucząc ich, prócz tańca flamenco, wcielania się w różne postacie i oddzielania życia od fikcji. Łatwo nie jest, bo Kubańczycy, nie tylko ci najmłodsi, zdają się czuć wyśmianie w swojej zrujnowanej utopii. Aczkolwiek – co także pokazuje dokument „Epicentrum” – potrafią być bardzo wyczuleni na manipulację, kiedy przychodzi ona z zewnątrz.

Austriacki filmowiec Hubert Sauper, znany ze świetnych filmów dokumentalnych o neokolonialnej Afryce („Kosz-

mar Darwina”, „Jesteśmy waszymi przyjaciółmi”), współczesną Kubę portretuje meandrycznymi ruchami kamery. Nie wystarcza mu obraz roztańczonej wyspy szczęśliwej z „Buena Vista Social Club” (1999) Wima Wendersa czy odbite w pojedynczych losach obrazy upadku i trwania, jak w „Ojczyźnie albo śmierci” (2011) Witalija Manskiego. Zaczyna przewrotnie, bo nie od rzeczywistości, lecz od kina, by na przykładzie „ostatniego kraju komunistycznego” pokazać, że wynaleziony ponad sto lat temu kinematograf stał się dla Kubańczyków czymś więcej niż maszyną snów. Bardziej niż gdziekolwiek indziej okazał się maszyną władzy, a nawet maszyną wojenną.

Oto w 1898 r. w hawańskim porcie dochodzi do eksplozji i zatonięcia amerykańskiego okrętu USS Maine. Amerykanie natychmiast o tym kręcą – w podwójnym znaczeniu tego słowa. Siła filmowej iluzji jest tak wielka, że zaczyna działać niczym gorący *fake news*, stając się pretekstem do wojny z Hiszpanami i przejęcia kontroli nad wyspą. „To ściema!” – wołają dziś młodzi kubańscy widzowie, oglądając nieme, czarno-białe kadry, zainscenizowane w jakimś basenie. Dla nich nawet „wielki skok w dziejach ludzkości”, transmitowany w 1969 r. na cały świat, waży tyle, co „Podróż na Księżyc” Georgesa Mélièsa, klasyk kina *science fiction*. I nic dziwnego: gdy dorośli bohaterowie Saupera żartują o amerykańskiej kolonizacji srebrnego globu, „aby uczynić go znowu wielkim”, dobrze pamiętają, że pierwszym miejscem za granicą, gdzie Amerykanie triumfalnie zatknęli swoją flagę, była Kuba właśnie. A konkretnie znane nam skądinąd Guantanamo.

„Epicentrum”, najlepszy dokument zagraniczny ubiegłorocznego festiwalu Sundance, pokazuje zatem, czym jest kolonizowanie wyobraźni: kto opowiada nam historie, ten ma władzę. Mali bohaterowie uczą się, jak oszukuje ich kino,

a równocześnie sami uczestniczą w wielkim oszustwie: spontanicznie śpiewają przed kamerą rewolucyjne pieśni, recytują definicje imperializmu, licytują się, kto zna lepiej kubańską konstytucję.

Ale reżyser i operator filmu w jednej osobie idzie w swych obserwacjach znacznie dalej. Jakby mimochodem zanurza się w zniszczoną Hawanę, która czy to w karaibskim słońcu, czy nocą w kiepskim świetle latarni, zawsze wygląda malowniczo. Nie interesuje go rola turysty z obiektywem wycelowanym w egzotykę i lokalne kurioza. Dzięki temu, że wchodzi z mieszkańcami miasta w bliskie, serdeczne relacje, zamiast uprawiać pornografię nędzy – problematyzuje ją. Pokazuje, jak w turystycznym raju miejscowi traktowani są niczym ludzkie zoo, jak psioczą na USA, a jednocześnie marzą o Disneylandzie, jak łatwo bogatemu seksturyście kupić sobie kubańskie dziecko.

A to właśnie mała Leonelis, rezolutna prymuska, która marzy, by zostać aktorką serialową, służy Sauperowi za główną przewodniczkę po Hawanie. Dwuznaczność niektórych scen z dziećmi została zresztą wpisana w ten częściowo autotematyczny film. Sauper demaskuje bowiem siebie jako filmowca polującego na atrakcje. Próbuje także odwracać role, dając swoim bohaterom okazję do bycia przez chwilę rozwyrzonymi turystami.

Jesteśmy w kraju, gdzie luksusowe pióro kosztuje tyle co sto pielęgniarzskich pensji, gdzie *gringo* ciągle jest bogiem i wszystkiemu winien imperializm. Lecz już pierwsze minuty filmu upewniły nas, że „Epicentrum” to nie pocztówka z krainy absurdu, po której jeździć będziemy uroczym zdezelowanym pastelowym chevroletem, odwołując się do pamiętającego dawny splendor hotele i upadłe rafinerie cukru używanego ongiś do produkcji coca-coli. Owszem, i takich wycieczek u Saupera nie brakuje, będzie też wyprawa w mafijną przeszłość Kuby z małym akcentem polskim. Najważniejszy jednakże okazuje się eseistyczny wymiar filmu.

Reżyser patrzy na Kubę z perspektywy zgoła kosmicznej, niczym Werner Herzog prowadzi zza kadru rozpozetywany wywód, wpłata w ścieżkę dźwiękową fragmenty Mozarta i Scarlattiego, sypie cytata z filmowych

staroci. Poprzez intertekstualne zapełnienia próbuje wskazać na różnice między „kłamstwem”, które niesie w sobie wyzwalającą prawdę (na czym ufundowane zostały narracyjne formy sztuki, w tym również kino), a kłamstwem, które jest cynicznym praniem mózgu, zamykającym obywateli w mentalnym matriksie. Chwilami rzecz by się chciało, że szalejąca w wolnym świecie dezinformacja i spiskowe teorie mają podobny wpływ na naszą zbiorową psychę. Bohaterowie „Epicentrum” wskazują zresztą, i poniekąd słusznie, na paradoksy naszej zachodniej wolności słowa. Aczkolwiek lepiej byłoby zapytać o tę kwestię bardziej zainteresowanych: miejscowego dziennikarza, nauczyciela historii czy artystę.

Jedno rzuca się w oczy: Kubańczycy z filmu Saupera wydają się dużo od nas szczęśliwsi. Albowiem poza wszystkim mamy do czynienia z dokumentem o ludziach, którzy uwierzyli, że żyją w raju. W tle sporo się dzieje: wyspę odwiedza prezydent Obama, umiera Fidel Castro, nowy prezydent USA stawia mur imigrantom z Ameryki Łacińskiej, jednak tu wiatr większych zmian jeszcze nie dotarł. Choć przecież wiadomo, że są one nieuchronne – niechże tylko internet się uwolni i przyspieszy.

Tymczasem z wypowiedzi bohaterów przebija niezgoda na bycie kasy-nem, skansenem czy zamtużem. I lęk, że mogliby na powrót stać się tanią montownią dla wielkich koncernów. Na świecie trwa właśnie odliczanie, kiedy wraz z globalizacją pryśnie mit Kuby biednej, ale *sexy*. Sauper swoim filmem próbuje uratować nie tyle ów mit, co ogromną siłę witalną żyjących tam ludzi, którym na różne sposoby zawsze ktoś odbierał podmiotowość. ©

EPICENTRUM (*Epicentro*) – reż. Hubert Sauper. Prod. Austria/Francja 2020. Dostępny na platformie vod.mdag.pl.



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarke „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

WARTO ZOBACZYĆ

1. Umrzesz w wieku 20 lat



Dramat, reż. Amjad Abu Alala, Francja/ Niemcy/Egipt/Sudan/ Katar 2019, Cinemax2, 3 II, 20.30, 4 II, 10.30, 5 II, 23.35, 6 II, 13.40

Nieczęsto trafiają do nas filmy z Afryki, a szczególnie rozgrywane się w Sudanie. Tytułowa klątwa pada na chłopca z pustynnych rejonów kraju i w realny sposób wpływa na jego dalsze losy. Urodzony w Dubaju reżyser pokazuje, jak religia i tradycja mogą położyć się cieniem na ludzkim życiu od samych jego początków.

2. Skok



Dokumentalny, reż. Giedrė Žickytė, Litwa/Lotwa/Francja 2020, HBO, 4 II, 21.40, HBO GO

Historię Simasa Kudirki

ogląda się niczym kino sensacyjno-przygodowe z czasów zimnej wojny. W 1970 r. litewski radiotelegrafista, pływający oczywiście pod radziecką banderą, dosłownie przeskoczył na amerykański statek. Nie otrzymał jednak azylu politycznego. Rozpoczęła się za to dramatyczna batalia o uciekiniera, w której stawką była jego wolność i bezpieczeństwo.

3. Jak najdalej stąd



Dramat, reż. Piotr Domalewski, Polska 2020, TVP VOD
Twórca „Cichej nocy” tym razem z innej strony przygląda się imigracji

zarobkowej Polaków. Główną bohaterką jest buńczuczna nastolatka, która dopiero po śmierci ojca w dalekiej Irlandii zaczyna naprawdę go poznawać. Chwilami gorzki, chwilami zabawny obraz otrzymał aż trzy ważne nagrody w Gdyni (m.in. za świetną rolę Zofii Stafiej) i niedawno Paszport „Polityki”.

4. Shindisi



Wojenny, reż. Dito Tsintsadze, Gruzja 2019, HBO GO, Ipla, Player

W sierpniu 2008 r.

wybuchła kolejna wojna

w Osetii Południowej. Na podstawie autentycznych wydarzeń film relacjonuje heroiczną akcję w okolicach wioski Shindisi. Kiedy wspierające separatystów wojska rosyjskie zaczęły ostrzeliwać osaczonych Gruzynów, z pomocą rannym pospieszyli okoliczni mieszkańcy.

JAN

Klata:

Łączcie się w czujności



KTO CHCE OBCOWAĆ Z KULTURĄ, NIE MA ŁATWO. Nie dość, że musi się bezustannie doszkalać, być na bieżąco z wszystkimi nurtami i falami, lansami i dąsami, to pami i dołami, wyrabiać w sobie wrażliwość na najsztubtelniejsze drgnienia cudzych – bądź co bądź – dusz artystycznych, to jeszcze zobowiązany jest do ciągłej uważności na kolejny ruch twórców, być może niebacznie niemiły.

Konsumenci kultury wszystkich krajów – łączcie się, łączcie się w czujności na to, co ci wasi kuglarze wycyniają, co wesołkowie chcą zmalować, bo sytuacja może być poważna! Może konkretny przykład: hinduski komik Faruqui w trakcie występu dnia 1 stycznia 2021 r. wyrażał się o bogach, wyrażał się w sposób budzący zastrzeżenia, i to

wielokrotne. Co na to bogowie? Nie wiadomo, wiadomo, że zastrzeżenia obudziły się w niektórych widzach, którzy zwrócili się o pomoc do policji. Właściwie to nie tyle się zwrócili do policji, co przerwali występ artysty, pobili go i doprowadzili na komisariat, gdzie został zaaresztowany. I siedzi po dziś dzień. Co w tym dziwnego? Niby nic, niby normalka, ale okazuje się, że komik Faruqui dopiero zamierzał obrazić bogów, ale nie zdążył. Jego żart był więc czysto hipotetyczny.

Spontaniczna reakcja zniesmaczonej publiczności nastąpiła jednak w wymiarze bardzo konkretnym. Kompletnie zszokowanych ewentualnym dowcipem widzów było kilkunastu, a przewodził im – jak się kompletnie przypadkowo złożyło – syn czołowego polityka partii rządzącej, przywódca „straży obywatelskiej”. Czujność została doceniona przez aparat bezpieczeństwa oraz organy sprawiedliwości, porządek został tym razem przywrócony, ale z artystami nigdy nic nie wiadomo. Podając przykład z Indii, apeluję o czujność wszędzie, apeluję o straż prewencji obywatelskiej: lepiej zapobiegać niż leczyć, lepiej wkraczać na scenę i przerywać występy, zanim artyści zdążą zmalować coś, co nas spontanicznie zniesmaczy.

Kto sieje wiatr, zbiera burzę. Kto nie zdążył zasiać – tym bardziej. Trzeba uważać. ©

Lektor:

Historia narasta



■ Irena Grudzińska-Gross
MIŁOSZ I DŁUGI CIEŃ WOJNY
Fundacja „Pogranicze”,
Sejny 2020, ss. 194. Seria „Meridian”.

OD ZAKOŃCZENIA II WOJNY światowej minęło już ponad 75 lat, ale wydarzenia i postawy społeczne tamtego czasu znajdują się w centrum polsko-polskiego sporu i sterowanej przez władze polityki historycznej. „Trudna do zniesienia prawda o okrucieństwie wojennej przemocy, poniżeniu i dewastacji moralnej – pisze mocno Irena Grudzińska-Gross – przetworzona została, by użyć pojęć Marii Janion, w bajkę o dwóch

przeciwnikach, w rodzaj czarno-białego westernu. Jednych bohaterów zastąpiono tu drugimi, odrzucając przy tym główny trzon uprzedniej polityki historycznej – antyfasyzm. Jego rolę przejęły ahistoryczny antykomunizm i antylewicowość. Zamiana ta dała przyzwolenie na spotężnienie nacjonalizmu i odnowę polskiego faszyzmu”. Równocześnie prace badaczy Zagłady sprawiają, że obraz stosunku

społeczeństwa polskiego do skazanych na śmierć Żydów ciemnieje. Jan Błoński w sławnym artykule „Biedni Polacy patrzą na getto”, opublikowanym w 1987 r. na łamach „Tygodnika” i skądinąd atakowanym zaciekle przez obrońców narodowego honoru, przyjął pojęcie współwiny przez obojętność, podkreślał jednak, że Polacy nie uczestniczyli w przemocy wobec Żydów, konkludując: „Bóg tę rękę zatrzymał”. Grudzińska-Gross, odwołując się do nowych badań, kontruje: „Ta ręka nie została zatrzymana”. Osią jej rozważań jest postać Miłosza i jego wojenne wiersze. Poeta przeciwstawiający zbiorowym uniesieniom racje rozumu, chłodno patrzący na wrześnieją klęskę i na mocarstwowe złudzenia młodych narodowców, które wcale wraz z klęską nie minęły, uczestnik działań konspi-

racyjnych, który jednak nie wziął udziału w powstaniu warszawskim – staje się bohaterem książki rewidującej rycerskie mity i broniącej prawa do „cywilności”, będącej pochwałą wrażliwości i sprzeciwem wobec estetyzacji wojny. Grudzińska-Gross podejmuje polemikę z niektórymi stwierdzeniami biografów Miłosza, Andrzeja Franaszka, krytykuje sposób, w jaki inny badacz, Stanisław Bereś, przedstawia konflikt Miłosza z twórcami kręgu „Sztuki i Narodu”, analizuje też Miłoszową religijność i wpływ, jaki miała na niego lektura pism Simone Weil. Na końcu zaś znalazł się szkic Joanny Tokarskiej-Bakir, która powraca do sporu Miłosza z Janem Józefem Szczepańskim, sięgając po zachowany w aktach IPN życiorys autora „Końca legendy”, wymuszony nań przez UB. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Oskarżony kur



TRZYSTA CZTERDZIEŚCI OSIEM: TYLE MANDATÓW liczy wyższa izba francuskiego parlamentu. Dumne córki i synowie Marianny, wydelegowani przez setkę departamentów, które tworzą najbardziej jednolity w różnorodności kraj Europy. Od

dżdżystego Calais przez pachnący lawendą Var aż po terytoria Gujany i Polinezji, resztówki po imperium, cenne jak ostatnie perły turlające się po dnie uratowanej z rabunku szkatułki. Wszyscy ci ludzie zasiedli w zeszłym tygodniu, by ponad podziałami partyjnymi, które są na co dzień treścią ich kariery, zatwierdzić ustawę „o ochronie zmysłowego dziedzictwa wsi”.

Czytam na stronie senatu w uzasadnieniu: „pianie koguta, szelest cykad, zapach obory czy końskiego łajna powodują coraz liczniejsze sąsiedzkie spory na wsi”. Spór o łajno? Trwa od dawna, wyostrzyła go jeszcze pandemia – więcej ludzi niż dotąd zainstalowało się na dłużej w swoich drugich domach albo je dopiero kupiło, żeby popracować zdalnie z widokiem na strumyk i krówki medytujące na wzgórzu. Ale bukoliczny obrazek w ich głowach rozmija się z rzeczywistością. „Częścią naszego dziedzictwa są dźwięki, zapachy, prace i praktyki. Nowi mieszkańcy wsi nie są do tego przyzwyczajeni” – mówił ogólnie jeden z ministrów w trakcie procedowania nowego prawa.

Dlatego chodzą do władz i do sądów, żądając spuszczenia wody ze stawu sąsiadów, bo żaby nocami rechoczą. Albo skarżą się na odgłosy i smród kaczek z sąsiedniej hodowli czy na hałas traktora wyjeżdżającego na pole o świcie. W Prowansji zażądali od pewnej gminy wytrucia cykad. Na szczęście włodarze nie tylko posłali ich do (głuchego) diabła, ale w następnym roku postawili cykadzie okazały pomnik, żeby było jasne, kto tu jest u siebie.

Najgłośniejsze były w ostatnim czasie dwa procesy o kura. W Bretanii miastowi zażądali od sąsiadów uciszenia ptaka (docenienie ten eufemizm), podczas gdy w Alzacji oskarżonym był człowiek, który nie bawił się w pozwy, tylko zatłukł koguta za płotem. W pierwszym przypadku sąd nie rozstrzygał, czy kogutowi wolno pisać przed szóstą rano – takie prawo podstawowe zostało już umocowane we francuskim obiegu prawnym od 1995 r. Wydane wówczas przez sąd uzasadnienie owej Deklaracji Praw Koguta i Kapłona jest jednak dość niesympatyczne, zaczyna się od słów: „Z uwagi na to, że kogut jest zwierzęciem tyleż nieszkodliwym, co głupim i nigdy nikomu – nawet chińskim cyrkowcom – nie udało się go wytresować...”. Teraz zadaniem sądu było ustalenie, czy miejscowość, w której kogut dawał upust głupocie, można

zakwalifikować jako wiejską, skoro w sezonie grubo ponad połowa mieszkańców to letnicy.

Otóż to. Sednem problemu nie jest po prostu fakt, że wieś generuje specyficzne zapachy i dźwięki. To jest tak oczywiste, że nawet w przypływie zimowej mizantropii, po zjedzeniu talerza płuczek na kwaśno, nie zdołałbym wytknąć posłom i senatorom marnowania pieniędzy podatnika na roztrząsanie tego tematu. Chodzi raczej o to, że na coraz większych obszarach już nie da się tak jasno powiedzieć, czy coś jest jeszcze wsią, czy już tylko dalekim odpryskiem miasta.

Sami znacie z Polski takie okolice, gdzie większość gospodarstw należy do ludzi, którzy udają tylko wiejskość, bo swoje utrzymanie zawdzięczają zajęciom wielkomiejskim, które dają się wygodnie zapakować do laptopa i magicznie ożywić iskrą internetu. W przerwach od Zooma zdarzy im się podłubać w warzywniaku, bo własne rzodkiewki i marchew otrzepana z ziemi są kluczowym elementem wizerunku dobrego życia. Ale po świeże jajka i masło woła jednak podjechać, choćby z kilometr rowerem. Wykluczone, żeby im obora śmierzdziała tuż za oknem. Albo kogut budził o szóstej. Nie ma takiej godziny na zegarze.

Nie będę namawiał do nostalgicznego oporu przeciw takim przemianom. To by oznaczało podkręcanie konfliktu wieś–miasto, który i tak jest wystarczająco gorący i stanowi sprężynę wielu napięć społecznych. Podoba mi się ta francuska ustawa, bo nie zawiera sankcji, nie zakazuje nikomu próby negocjowania kształtu swojego otoczenia. Tamtejsze państwo, zgodnie ze swoją porządną paternalistyczną tradycją, po prostu napomina obywatelską trzódkę, że każde miejsce i sąsiedztwo ma swój sens wyrastający z przeszłości, a pracy na roli należy się pokłon, choćby czyniony obłudnie. Jak ojcu i matce, bo stąd – z pola, obory, kurnika i chlewu – nasz miejski, wiejski, ludzki ród. ©P

Na mojej mapie zmysłowego dziedzictwa polskiej wsi są dwa zapachy dymu, których już nic nie ocali – ten z pieca opalającego drewnem i ten z gospodarskiej wędzarni. Pierwszy jest sprzeczny z zielonym ładem, drugi z unijnymi normami bezpieczeństwa żywności. Tym bardziej trzeba szukać



nowych sposobów na surową kielbasę – w tej materii tradycje włoskiej wsi są bezcenne, nawet jeśli tamtejsza kielbasa różni się całkiem zestawem przypraw. Na przykład placek górali z okolic Trydentu, smaczam – dosłownie „pogromca głodu”. Zaraz się przekonacie, dlaczego. Rozkrajamy 200 g surowej kielbasy, połowę z tego rozdrabniamy i rumienimy 10 min. na patelni z garścią pokrojonego boczku, można też dodać cienko pokrojoną cebulę. Rozkłócamy w misce 2 jajka, dolewamy powoli 0,5 l mleka i dwie łyżki stopnionego masła. Wsypujemy garść startego parmezanu, potem stopniowo, ciągle pracując trzepaczką, 250 g mąki pszennej i 100 g mąki gryczanej (część pszennej można zastąpić kukurydzianą). Kiedy osiągniemy gładką masę, dodajemy wystudzoną kielbasę, wylewamy wszystko do nasmarowanej masłem formy, na wierzch kruszymy resztę kielbasy. Pieczemy w 180 stopniach przez ok. godzinę, aż ładnie się zrumieni. Można jeść przez parę dni, także na zimno.

PAN MAREK OD ZABAWEK

O rzeczach myślimy, że nie mogą mieć
woli i że to my po nie sięgamy.

A co, jeśli bywa odwrotnie?

Pewien porzucony pluszowy miś
machał przecież łapką do Marka Sosenki.

MONIKA ŚLIZOWSKA

NIE JEST ŁATWO SIĘ Z NIM UMÓWIĆ. ZAJĘTY, RZECZY WCIĄŻ wołają – trzeba coś obejrzeć, poświęcić czas praktykantce z historii sztuki, coś komuś pokazać. Opracować, poszukać źródeł. Gdy spotykamy się w antykwaracie, zanim przejdziemy przez labirynt przedmiotów do głębiej położonego pomieszczenia, by tam porozmawiać, jego żona, pani Bożena (kolekcjonerka m.in. filizanek i nietypowych sztuców), woła: – Proszę chwilę poczekać, bo on jeszcze nie jadł śniadania!

Jest już dawno po południu. Pani Bożena dopytuje, jak długo potrwa spotkanie. Słyszy: – Trochę potrwa. Pani chce usłyszeć o zabawce, a o zabawce nie da się krótko.

Ofiara kolekcjonerstwa

Zaczął się w 1977 r. Marek Sosenko, antykwarez i kolekcjoner, znawca m.in. pocztówek, postanowił wtedy zaadoptować jeszcze jedną kolekcję. – Pracowałem na planie filmowym jako

konsultant od przedmiotów. Poznałem panią, która wyprawała się z Polski i likwidowała olbrzymie mieszkanie rodzinne. Było tam wszystko, począwszy od tkanin, srebra, zabawek... Zaproponowała je młodemu wówczas muzeum zabawek w Kielcach, ale tam wybrano tylko jedną główkę od lalki. Powiedziała więc: „Nie. Marek, albo ty to weźmiesz, albo to wszystko przepadnie”.

Pan Marek się śmieje: – No i zostałem w pewien sposób ofiarą kolekcjonerstwa, ale bardzo świadomego, bo wiedziałem, że to jest niszowa dziedzina, którą przez wiele, wiele lat naprawdę zaniedbywano.

W latach 70. nikt w Polsce zabawek nie kolekcjonował, nie dostrzegał ich potencjału ani potrzeby opisywania. Czasem nawet wyjątkowe egzemplarze przetrwały kilka pokoleń, aż trafiały w tak „odkrywcze” dziecięce dłonie, że ulegały całkowitej demolce. Czasem trzymało się je z sentymentu, ale gdy



JACEK TARAN

Marek Sosenko w swoim antykwariacie, Kraków, styczeń 2021 r.

w domu robiło się ciasno, lądowały na śmietniku. Aż pojawił się ktoś, kto postanowił zabawki ratować: – Po pierwszej wystawie naszych zabawek w 1983 roku w Klubie Kolekcjonera w Krakowie nagle wszystkich oświeciło, że jest taki ktoś, kto podjął trudny i skomplikowany temat, często bardzo niewdzięczny, bo wiele zabawek trudno przechowywać.

Wtedy też nowe obiekty same zaczęły do niego przychodzić. Powiadomieni pocztą pantoflową krakowianie, zamiast wyrzucić pamiątki z dzieciństwa, woleli przekazać je panu Sosence. Kolekcja zaczęła rosnąć: – Po tamtej wystawie zobaczyłem też jej luki, słabość niektórych dziedzin. Mielśmy na przykład tylko kilka nieciekawych lalek. Zacząłem więc ją wzmacniać, szukać rzeczy, które decydowałyby o klasie zbioru.

– Czy rzecz chce zostać odnaleziona? – pytam.

– To jest coś wręcz metafizycznego – zamyśla się pan Marek. – Proszę sobie wyobrazić, że jakiś przedmiot, powiedzmy

wazon, leży niezauważony wśród wielu innych. I przez siedem, dziesięć lat nikt go nie dotyka, nie ogląda. Aż któregoś dnia ktoś przechadza się po antykwariacie i dochodzi właśnie do tego wazonu. Ogląda go, odkłada, nie kupuje. Ale potem następna osoba idzie już jakby świetlnym szlakiem i trafia dokładnie na ten przedmiot.

– Zabawka wzywająca pomocy? – pytam dalej.

Uśmiecha się na myśl o niej: – Przy ulicy Konopnickiej, koło Mangghi, stoi kamienica, kiedyś należąca do przedwojennego przedstawiciela Opla i Fiata w Polsce. Gdy likwidowano z niej dobytek, chodziłem tam i ciągle pytałem, czy nie ma jakichś zabawek, ale mówiono mi, że nie, niemożliwe, to było bezdzietne małżeństwo. I gdy zrezygnowany już wychodziłem, na jednym z balkonów, gdzie wystawiano worki z posegregowanymi szklami, tkaninami, metalami, makulaturą, zobaczyłem wystającą ląpkę. Jak u tonącego. Okazało się, że był to jeden z najstarszych misiów firmy Margarete Steiff, od której zaczęła się wielka światowa kariera tego pluszaka.

– Zabawka odnaleziona w najciekawszych okolicznościach?

– To była bardzo rzadka kolejką. Fabrycznie składała się z trzech elementów, a my mieliśmy dwa. Brakowało tego głównego, silnikowego. Kiedyś, po długiej przerwie, pojechaliśmy do Bytomia, na dodatek dość późno, gdy wszystkie ciekawe rzeczy na targu w zasadzie powinny być już wyprzedane. I patrzę – na stoisku stoi brakująca część kolejką, dokładnie od naszego egzemplarza, a dwie pozostałe nabyliśmy w Krakowie. Więc coś nas przyciągnęło, że akurat wtedy pojechaliśmy i tę kolejkę zdobyliśmy. To było wspaniałe i niezwykle, że po wielu, wielu latach udało się ją skompletować.

Śledztwo bez końca

Ile lalek zmieściłoby się na dużym stole? Ktoś powie, że może ze sto, ale czy weźmie pod uwagę, że jedno są wielkości palca, a inne sięgają wzrostu podrośniętego dziecka?

Naprawdę trudno wyobrazić sobie ogrom tej kolekcji, liczącej obecnie ok. 50 tys. zabawek, i ogrom miejsca, jakie zajmuje.

– To jest zbiór przekraczający wszelkie wyobrażenie swoją wielkością. Do tego stopnia, że są takie jego fragmenty, których dogłębnie nie poznaliśmy – wzdycha pan Marek.

Kolekcjonując zabawki, Sosenkowie zbierają też wszelką wiedzę o nich, związaną z nimi ikonografię, dokumentację. Zbiór uzupełniają niezwykle ważne dla pana Marka najstarsze polskie czasopisma i książeczki dla dzieci. W tym egzemplarze pierwszej powstałej z myślą o dzieciach XVII-wiecznej „Orbis pictus” Komeniusza.

– Są tak zaczytane, wyogłądane, wyświechtane, wypłamione, często podarte, bez stronic. Widać, jak były ważne! – tłumaczy pan Marek.

To wielki powód do dumy kolekcjonera, ale i niekończące się zadanie do wykonania: – Brakuje czasu na pracę naukową, a trzeba wszystko opisać, sfotografować, zmierzyć, znaleźć odniesienie w literaturze nowoczesnej i tej, którą uważamy za najważniejszą, czyli w katalogach producenckich i handlowych.

Te ostatnie są prawdziwą kopalnią wiedzy, bo pozwalają wyśledzić informację, gdzie i kiedy dany przedmiot się narodził. A śledzić można właściwie bez końca. Pomaga w tym specjalistyczna biblioteka, również wciąż się rozrastająca. – Nasza biblioteka zabawkowa składa się z różnych typów publikacji ➔

→ – mówi pana Marek. – Mamy wtórne opracowania o zabawkach, np. monografie poświęcone wyłącznie ozdobom choinkowym albo blaszanym samochodzikom; zwykle to literatura obca. Dalej: wydawnictwa katalogowe z opisami zbiorów i zasobów muzealnych, wszelka korespondencja mówiąca o zabawkach, literatura pamiątkarska, gdzie opisywane są zabawy, zabawki, a także cały wystrój pokoju dziecięcego, i oczywiście katalogi producenckie od najstarszych do współczesnych.

Jaką przyszłość Marek Sosenko wymarzył sobie dla nich?

– Koniecznie powinno powstać muzeum, dlatego że to jedna z największych i najpoważniejszych, najwszechstronniejszych kolekcji zabawek na świecie. Niewykorzystanie jej w sensie ekspozycyjnym, dokumentalnym, naukowym byłoby grzechem.

Która z zabawek jest najcenniejsza? Wizytówka kolekcji: szopka królowej Bony. – A dokładniej figurki woskowe z szopki, które po latach z dworu trafiały różnymi drogami do wielu osób. W XIX wieku trafiły do hrabiego Aleksandra Fredry i od niego, już znaną drogą, do artysty Aleksandra Haupta. Mimo że ustalił on dla nas bardzo umiarkowaną cenę, nabycie jej i tak stanowiło wyczyn. Uznaliśmy jednak, że niezrobienie tego byłoby błędem – opowiada pan Marek i dodaje: – Po Stanisławie Augustie Poniatowskim natomiasz dostaliśmy niekompletną zabawkę: podstawę, z drewna rzeźbionego i złoczonego, oraz metalową ramę od teatrzyku z ruchomymi figurkami i pozytywką, z Ciołkiem – herbem króla na froncie. Zachowujemy ją niekompletną, z nadzieją, że kiedyś będzie nas stać na jej zrekonstruowanie. Trzeba wyśledzić, jak dokładnie została zbudowana... to wymaga bardzo skomplikowanych mechanizmów.

Najstarsza wiekiem? Prekolumbijski kamienny króliczek przywieziony przez krakowskiego aktora, pisarza i podróżnika, Jerzego Krasickiego: – Pani, która podarowała nam tę zabawkę do kolekcji, przez trzy lata nie mogła się doprosić, żebym wreszcie do niej przyszedł, bo coś dla mnie ma. A ja ciągle nie miałem czasu i nie miałem czasu... aż w końcu na pół roku przed jej śmiercią znalazłem chwilę. Jeszcze trochę bym zwlekał i króliczek by przepadł.

Jakaś pozornie niepozorna? Zestaw klocków wykonany dla dzieci cesarza Wilhelma: – Szafa do ich przechowywania prawie się rozpadała; to 25 pełnych szuflad, około 300 kilogramów. Odkupiliśmy je od ludzi, którzy wyprowadzali się z budynku naprzeciwko kościoła św. Agnieszki. Przez parę dni siedziałem w piwnicy domu, gdzie trzymano te kamienne klocki, i kawałkiem szkła rozgrzebywałem miał węglowy, kurz i brud, żeby wydobyć ich jak najwięcej. Niezwykle ważna zabawka, choć gdy jest zmagazynowana – to tylko szafa. Natomiast gdy zbuduje się z nich ratusz, kościół, zamek, zaczynają pięknie wyglądać.

Pan Marek wzdycha: – Ale ta zabawa w budowanie, która dla dziecka jest czystą rozrywką, dla nas staje się przymusem.

Ułożenie zamku na wystawę w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa zajęło kilka dni.

Definicja szczęśliwej zabawki

Pan Marek obraca w rękach nakręcanego pieska, sprawdza mechanizm – chodzi. Przez przetarty mechaty materiał prześwituje plastikowy szkielet zabawki. Ogon, już parę razy doszywany, ledwo się trzyma.

– Widać, że był kochany – stwierdza. – Pójdzie do „szpitala”.

Rynek antyków preferuje te zabawki, które mimo zaawansowanego wieku są w idealnym stanie. Tylko czy one zdążyły nabrać wartości emocjonalnej?

– Mamy z żoną taką teorię, że im bardziej kochane zabawki, tym bardziej zniszczone – mówi pan Marek. – Już sam ukulem sobie też taką teorię, że jeśli bardzo stara zabawka przetrwała niezniszczona przez wiele lat, wiązało się to zawsze z jakimś fatum. Bo albo drogą rzecz kupiono dziecku choremu, które nie mogło się nią bawić, potem umarło. Niestety. Albo przedsiębiorstwa produkujące zabawki upadały i wtedy cały zapas zostawał nienaruszony. Znowu nieszczęście, tym razem dla właścicieli wytwórni.

Większość zabawek jednak trafia do kolekcji w stanie złym. Idą wtedy do owego „szpitala” na rekonwalescencję: – Gdy szukaliśmy kogoś do konserwacji, zgłosiło się parę osób. Ostatnia z nich, do której początkowo podchodziliśmy z rezerwą, okazała się tą właściwą. Rozpoczyna od rozpoznania obiektu, odnalezienia informacji, przygotowuje też karty katalogowe. Najwyższy stopień profesjonalizmu, a przy tym robi to z duszą. Cieszy się z każdego odszukania opisu przedmiotu, ze znalezienia surowców, z których może odtworzyć brakujące elementy.

Ale czy zawsze trzeba rekonstruować całość, czy fragment nie mówi więcej?

– Często stoimy przed dylematem, czy bardzo zniszczone zabawki poddawać zdecydowanym ingerencjom konserwatorskim, żeby przywrócić im urodę. Kilka specjalnie zostawiliśmy w ich naturalnym stanie, nawet bez mycia, czyszczenia. Są tak zużyte, że widać, jak bardzo były kochane.

Najładniejsza i najbrzydsza? Błysk w oku: – Mamy bardzo piękne lalki Kestnera, zwane googlie, z pierwszej połowy XX wieku. Z figlarnym wyrazem twarzy, figlarnymi wylupiającymi oczkami; zawsze się do nas uśmiechają. I mamy też lalkę, którą nieładnie nazwaliśmy „bładz”, bo wygląda jak panienka lekkich obyczajów: rozczochrane włosy, brudna, w obwisłej koszuli... Uszanowaliśmy stan, do jakiego doprowadziła ją historia, i zachowaliśmy ją w ten sposób. Po latach zadzwoniła do nas pani z RPA, która odwiedziła wystawę naszych zabawek w Bunkrze Sztuki. Okazało się, że to kolekcjonerka domów dla lalek, które są domami publicznymi. Taki oto niezwykły kierunek kolekcjonerstwa! Powiedziała, że nasza lalka była po prostu wymarzoną eksponatem do jednego z jej domów.

Najbardziej wstrząsająca historia? Zamyśla się. – Lalka, która dotarła ze Lwowa do Warszawy, tam przetrwała powstanie warszawskie, po czym przepadła. Po latach lwowianka, do której należała ta zabawka, natrafiła na nią zupełnie przypadkowo – pan Marek wzdycha. – To było coś niezwykłego: jak wielkie koło historia zatoczyła, by udało się znaleźć tę lalkę.

Powrót do patyczka

Jak wiele określeń może otrzymać pozornie błahie słowo „zabawka”. Pluszowa, plastikowa, gumowa. Porcelanowa, biskwitowa, z gałganków. Mechaniczna, papierowa, drewniana. Przemysłowa, rzemieślnicza, wykonana masowo lub jednorazowo. Ale też ta naturalna, czyli guzik na sznurku, kamyk lub patyczek, uruchamiające teatr wyobraźni. Bo przecież gdy dziecko bierze do ręki patyk i szmatkę i mówi, że to lalka – to jest lalka. Jeden rekwizyt, którym się bawimy, może spełniać różne role. – Teoria zabawy, gier jest bardzo ważna – mówi Marek Sosenko. – Dlatego jeżeli powstanie z naszych zbiorów muzeum, to bę-

dzie się nazywało muzeum zabawy – podkreśla – i zabawek.

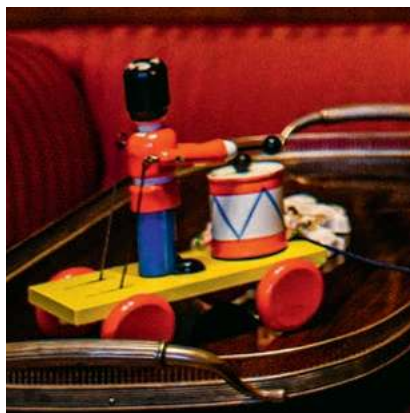
Jak pisze Katarzyna Kabacińska: „zabawa może istnieć bez zabawki, ale zabawka bez zabawy jest tylko zwykłym przedmiotem”. Tyle że z czasem ten zwykły przedmiot stał się istotny dla handlu. Przełom XIX i XX wieku to moment, w którym pojawia się nowożytna zabawka, a dziecko zostaje dostrzeżone jako klient. – Jako klient bardzo dobry – dodaje pan Marek. – Najstarszy katalog handlowy z zabawkami pochodzi albo z końca lat dwudziestych, albo początku lat trzydziestych XIX wieku, czyli już wtedy istniały sklepy specjalizujące się w handlu nimi. Były oczywiście zabawki tanie, drogie i bardzo drogie.

I tu wkracza też teatr wyobraźni. – Dla wielu dzieci, których rodzice nie mieli środków na zakup, jedyną szansą na kontakt z drogą zabawką było stanie przed wystawą sklepową. Niektóre obiekty na niej były nakręcone, poruszały się, więc to stanowiło żywy obraz. Dzieci, które dostawały drogie zabawki, bawiły się nimi, ale potem nudziły, przekazywały biedniejszym i tak dalej – opowiada Marek Sosenko. – Z czasem już fragmenty tego cennego przedmiotu same stawały się ważnymi zabawkami.

Wystarczyła więc, jak sam wspomina z dzieciństwa, chociażby karoseria lokomotywy, by w zabawie można było wykreować kompletny pojazd. Element tworzenia jest przecież najistotniejszy, a jego brak stanowi główny zarzut wobec współczesnej zabawki. Dopowiedziana najdrobniejszymi szczegółami, nie zostawia przestrzeni na jej dopełnienie.

Chodzi przecież o doświadczenie, a kreatywność w dzieciach jest ogromna. Nie tylko zresztą w dzieciach, bo nie ma granicy czasowej, która by wskazywała, do kiedy można interesować się zabawką, a od jakiego momentu się starzejemy i już nam nie wypada. – Gdy robimy wystawy, obserwujemy też zwiedzających – dodaje pan Marek. – Jedni oglądają je jako niezwykle świat, w którym się znaleźli, inni jako wspomnienie dawnych przeżyć. A są jeszcze tacy, którzy inspirować się tym, co widzą, kombinują, co można jeszcze z czego zrobić, jak wykorzystać – ich myślenie staje się bardzo kreatywne.

Wytworna zabawka obserwacyjna? Pochodzi z XVII wieku. – Wygląda jak akwarium. Wewnątrz jest ogród z papierowymi roślinami, woskowymi zwierzątkami i ludzikami, szklanymi fontannami, strumyczkami itd. Tę zabawkę Luigi Pirandello kupił Zofii Jachimeckiej, tłumaczce jego dzieł na język polski. Zobaczyła ją na wystawie antykwiariatu i tak się zachwyciła, że weszła i dla niej kupił – dzięki Nagrodzie Nobla stał się bogatym człowiekiem... – przerywa na chwilę. – Dawniej dziecko taką za-



JACEK TARAN

Element tworzenia jest w zabawie najistotniejszy,

a jego brak stanowi główny

zarzut wobec

współczesnej zabawki.

Dopowiedziana

najdrobniejszymi

szczegółami, nie zostawia

przestrzeni na jej dopełnienie.

bawkę obserwowało i przeżywało to, że też może się znaleźć w ogrodzie; co w nim przeżyje, kogo spotka. Zupełnie inny sposób uruchomienia wyobraźni, niż daje współczesna zabawka obserwacyjna: przeskakujemy w komputerze z obrazu na obraz, pstryk, pstryk, idziemy dalej. Po pewnym czasie zostaje pusta pamięć.

Jego pierwsze zabawki? Kiwa głową, pamięta je dobrze: – Przede wszystkim misiek. Z zielonego sztruksu z kanapy, zrobiony przez moich rodziców, wypchany trocinami i gałgankami. Oczywiście miał z guzików, głowę nieruchomą, ale ręce i nogi już tak: były na drutach, a jako podkładek dystansowych użyto pięciogroszówek cynkowych z okupacji. One miały dziurki, więc przez nie przełożyło się drut i dzięki temu ręce i nogi miśka dobrze się poruszały. Jak szedłem spać, zawsze sprawdzałem, czy te pięciogroszówki jeszcze są na miejscu, to było ważne...

I druga: – Kiedy mieszkaliśmy jeszcze w centrum, co jakiś czas drogą przejeżdżały ciężarówki Star 20, o charakterystycznym łukowatym przedzie. Miałem wtedy niecałe cztery lata, poszedłem do sąsiada stolarza i zobaczyłem, że ma kawałki drewna właśnie tak wymodelowane. Uprosiłem, żeby mi dał jeden i wąską deskę. Dwa elementy: ćwierć koła

i deseczka to było moje najważniejsze auto! Jak się przeprowadziliśmy, powiedziałem, że nie ruszę się bez mojej zabawki. Protest był wielki, więc rodzice szukali, szukali, aż w końcu ciężarówka się znalazła.

W co się bawić

Trzeba zrobić przerwę, bo głos chrypie od opowiadania, poza tym czeka już znajoma, która przyjechała z daleka. Jeszcze tylko pytanie: co zabawka mówi o nas?

– O mnie mówi bardzo wiele! – pan Marek się śmieje. – Przede wszystkim, że zmusiła mnie do dodatkowej ciężkiej pracy, do wydatkowania resztek wolnego czasu i energii na zajęcie się nią.

Po chwili dodaje: – Nie ma żadnych reguł, kto czym będzie się bawił. Chociaż dominuje przekonanie, że dziewczynki bawią się lalkami w gospodarstwo, a chłopcy samochodami, mechanizmami, to przecież wymieniają się nimi. Jeżeli więc przypisujemy pewne funkcje dzieciom, pamiętajmy, że nie dotyczy to stu procent społeczeństwa.

Wybór zabawek państwo Sosenkowie obserwowali też na przykładzie własnych dzieci: każde w dzieciństwie bawiło się czymś innym i w dorosłości znalazło sobie inne „zabawki” jako przedmiot zainteresowań. Cała trójka tworzy własne kolekcje: Katarzyna wybrała flakony po perfumach, Magdalena – pióra, Wojciech – aparaty fotograficzne. Chociaż... może to rzeczy same ich wybrały?

© MONIKA ŚLIZOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz: Nowy Nieład



BEZ ZASKOCZENIA PRZYJĘLIŚMY OGŁOSZENIE przez p. Kaczyńskiego Nowego Ładu w Polsce, a co za tym idzie – ukonstytuowanie krainy powszechnej zasobności i szczęścia między Bugiem a Nysą Łużycką. W bliżej nieokreślonej przyszłości, oczywiście. Znamienne jest – to konieczny na początku

wtręt – powszechne już pisanie ogłoszonego „Ładu” oraz przymiotnika „Nowy” dużymi literami. Wróży to jak poniżej.

Najefektowniej byłoby teraz powiedzieć, że polityków głoszących podobne projekty czy obietnice świat przerobił w ciągu ostatnich stu wieków na pęczki, i na tym oto kapitalnym spostrzeżeniu można by zakończyć dzielenie się z Czytelnikami naszą skrzydlatą myślą. Czytelnik nasz – zważmy – ukończył na ogół szkołę podstawową, a w jej wymagających ramach przeszedł zdaje się krótki kurs historii powszechnej i wie co nieco na temat kilku jej bohaterów. Jednak jest coś, co nas dopinguje do pracy, i jest to oczywiście kilka szczegółów o charakterze lokalnym.

Wśród władców polskich, z wyjątkami, megalomańskie szybowanie na temat szczęścia i dobrobytu mas nie było znowu tak powszechne, jak się wydaje. Nasza skłonność do psychologizowania jest nieokiełznana, więc uważamy, że polscy politycy byli raczej ostrożnymi sceptykami, rzeczywistość widzieli na ogół szaro-buro – co oczywiście nie znaczy, że wizje te były produkowane na trzeźwo. Mieli jakiś hamulec, który uniemożliwiał im popuszczanie publicznie, bez autocenzury, fantazjom na takim poziomie, na jakim zastrześlił nas ostatnio p. Kaczyński. Może było tak dlatego, że gdzieś coś wciąż ich umysłowo choćby ograniczało, że głowa poli-

tyka polskiego była na ogół wypełniona, owszem, kogłem-mogłem, ale raczej wytrawnym niż za słodkim.

Wniosek stąd płynie taki, że p. Kaczyński nie ma już żadnych ograniczeń w szybowaniu, snuciu i widzeniu rzeczywistości. Zapewne jest tak dlatego, że jego publiczność i otoczenie zbyt często mu klaszczą, za głośno i za spójnie skandując jego imię, a za mało myślą. No więc bajka na temat Nowego Ładu jest jak każda inna, opowiadana przestraszonym dzieciom przed snem: koi i tyle.

Jeśli ktoś czuje się nieswojo po przeczytaniu tego, co powyżej, to niech sobie mężnie i szybko uzmysłowi, bądź gdziekolwiek to sprawdzi, że mamy dziś w Polsce największy kryzys gospodarczy i społeczny od trzech dekad, także najniższy PKB, że w ciągu ostatniego roku umarło najwięcej obywateli od zakończenia II wojny światowej, a dziennie – w ramach epidemii i Nowego Nieładu – umiera, lekko licząc, kilkuset Polaków. Stąd zapowiedzi totalnego szczęścia i bogactwa są jakby nie na czasie.

Określenie „lekko licząc” świetnie oddaje propagandowe oblicze rządów p. Kaczyńskiego i jego koleśi, i dotyczy wszystkiego, w tym zdrowia publicznego i gospodarki, stosunków społecznych, polityki zagranicznej i czego kto chce, co ta ekipa robi bądź w co się angażuje, w tym owego Nowego Ładu pisanego dużymi literami. Nawiasem, jeśli chodzi o nowości tego typu, to od dawna apelujemy o czytanie nie tak dawnej historii Portugalii i zadekretowanego tamże naonczas przez p. Salazara ustroju o nazwie Nowe Państwo. Będzie to dla każdego w Polsce lektura pouczająca. Ostrzegamy, że wszelkie podobieństwa są uderzające i że ta bliźniaczość jest przykra w dotyku.

Na koniec wypada opowiedzieć, co będzie, gdy Nowy Ład już powstanie, gdy wszyscy będą tu szczęśliwi, śliczni i cholernie bogaci, najbogatsi w Europie – jak to nam daje do zrozumienia jakby nieco oderwany od ogólnodostępnych danych p. Kaczyński. Otóż nie, nie opowiemy, bo to się nie uda i niestety najmniej śmieszne będzie tłumaczenie, dlaczego ten zamiysł się nie powiódł, kto jest temu winien, kto rzucił Polskę pod nogi kłody i komu zależy, by Polska była biedna, a naród kwilił i jadł obierki. Objasnienia w tym guście, prócz buńczucznych ogłaszania Nowych Ładów, też zawsze się powtarzają. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@TygodnikPowszechny.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.



i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze

na warunkach opisanych w regulaminie

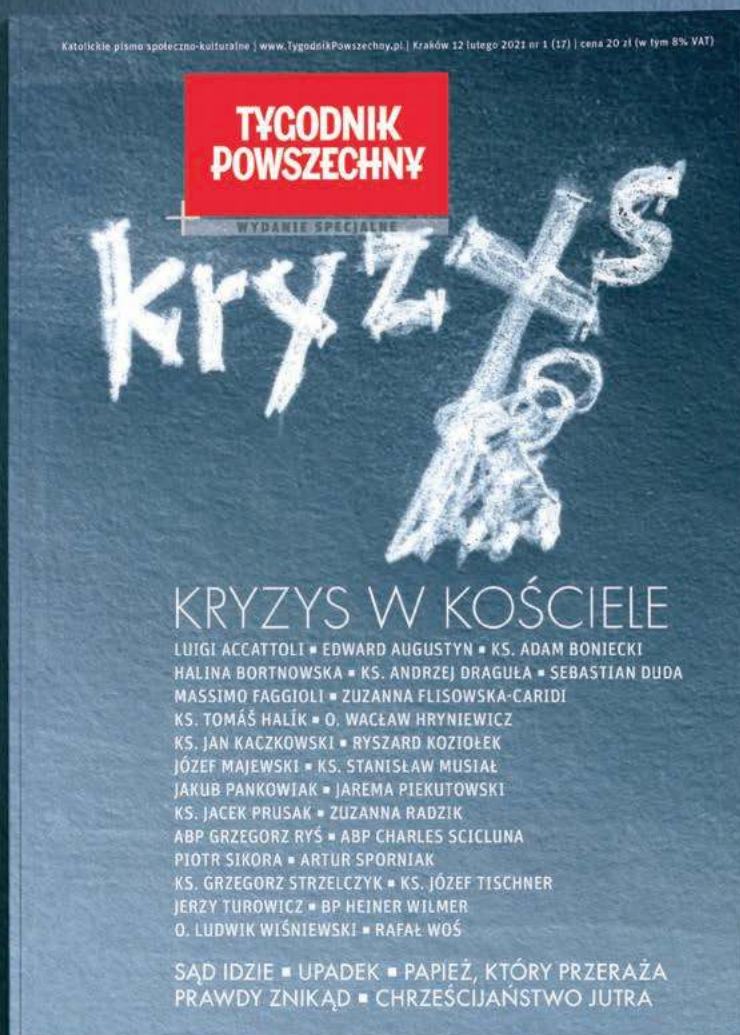
Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Premiera – już w piątek 12 lutego! wydanie specjalne KRYZYS W KOŚCIELE

Kiedy się wydaje, że pod lawiną ujawnionych skandali Kościół jeśli nie umarł, to właśnie umiera, papież Franciszek, jak Jezus do żałobników w domu Jaira, mówi: „Nie płaczcie, nie umarła dziewczeczka, ale śpi”.

Ks. Adam Boniecki

Skandale obyczajowe i nadużycia związane z systemem władzy w Kościele, flirty z polityką, błyskawicznie przyspieszająca laicyzacja, pełzająca rebelia przeciwko reformującemu Kościół papieżowi Franciszkowi, a także poszukiwanie dróg wyjścia i wizja chrześcijaństwa przyszłości – to tematy kolejnego wydania specjalnego „Tygodnika Powszechnego”. Wśród autorów, ekspertów i rozmówców „TP” – najwybitniejsi komentatorzy życia Kościoła z Polski i ze świata, watykaniści, hierarchowie, teologowie i reporterzy, a bieżące komentarze dopełniają klasyczne teksty autorstwa m.in. Jerzego Turowicza i ks. Józefa Tischnera.



„Kryzys w Kościele” – już od **piątku 12 lutego** w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/kryzyswkosciele

weź, czytaj!